

PŁATKI SNIEGU

DOROTA JANKOWSKA

W PUŁAPCE STRACHU
SYTUACJI BEZ WYBORU
NIEŚWIADOMOŚCI
JESTEŚMY ZDOLNI ZROBIĆ TO
CO NAM KAŻĄ

Dorota Jankowska

Płatki śniegu

Korektor Tomasz Jankowski

© Dorota Jankowska, 2018

Wyobraź sobie, że twoje życie okazuje się iluzją. Ktoś cię ściga, dopada i porywa. Budzisz się na łóżku ze skrępowanymi kończynami i nagle uświadamiasz sobie, że jesteś częścią układanki, która ma zamiar cię zabić. Wciel się w postać Elii Madej. Kobiety, którą ze zwykłej, szarej rzeczywistości wyrzywa raz na zawsze jeden dzień, jedno niecodzienne wydarzenie, jedna chwila. Każdy z nas ma coś do ukrycia. Poznaj najbardziej strzeżoną tajemnicę.

ISBN 978-83-8126-246-0

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym
Ridero

Spis treści

CZĘŚĆ I

Kolejny szary dzień

Polecenie służbowe

Bar

Zastępstwo

Ucieczka

Chatka

On

Przystanek

Kryjówka

Rozejm

Lustrzany gmach

ON

Wspomnienia

Intruzi

CZĘŚĆ II

Uwięziona

W pułapce

Obłąd

Prawda

Laboratorium

CZĘŚĆ III

Edward

CZEŚĆ IV

Obcy

Przed burzą

Powrót do piekła

Konfrontacja

Ocalenie

Nadzieja

W matni

Obdarta z godności

Drań

Daria

Gorsza prawda

Diabeł

Szok

Przeznaczenie

Dla mojego żeglarza.

W chwilach zwątpienia prowadził mnie na właściwy kurs.

CZĘŚĆ I

KOLEJNY SZARY DZIEŃ

Z dziennika:

Powiadają, że człowiek, jako istota rozumna, sam dokonuje wyborów. Ale czy na pewno? Przecież w głównej mierze to, co stanie się z nami, zależy od tego, gdzie się urodzimy, jakie geny nam przekazano oraz od tego, jak nas wychowano.

Socjalizacja — o niej właśnie mowa. A co, jeśli ten proces nie nastąpi? Czy jest to w ogóle możliwe? Jeżeli nie byłoby dookoła człowieka nikogo, kto mógłby wpłynąć na jego postępowanie, kim wtedy by się stał? Czy nadal określano by go mianem największego drapieżnika? Czy człowieczeństwo, kształtowane przez istotę ludzką, zanikłoby na rzecz dzikich instynktów?

Każdy z nas w pewnym momencie swojego życia zadaje sobie różne pytania. Mnie zawsze dręczyło jedno: czy poza tym parszywym światem, na którym żyjemy, podłym i nędznym, jest coś jeszcze? Czy jesteśmy częścią czegoś większego, czyjegoś starannie uknutego planu? Jeżeli tak, to jakiego?

Nie chciałabym żyć tylko po to, aby na końcu swoich marnych dni stwierdzić, że wszystko to, co nas otacza, nie ma najmniejszego sensu. Chociaż może już tak myślę?

Patrząc dookoła na wszystko, czego jako istota myśląca dokonał człowiek, raczej tracę wiarę w to „coś”. Do czego nas doprowadziła ta nasza „inteligencja”? Omal nie zniszczyliśmy naszego jedyne go domu, jakim jest Ziemia, a teraz ponosimy tego konsekwencje.

Odkładam długopis na drewniany blat okrągłego stolika. Zamykam pamiętnik i przecieram opuszkami palców zaspane oczy. Nie spałam zbyt długo, trzy godziny to zdecydowanie za mało na regenerację przemęczonego organizmu. Nieustanna praca zaprzęta moją głowę dniami i nocami. Nie powinnam zabierać jej do domu, ale czasem nie mam innego wyboru, gdy szefostwo oczekuje natychmiastowych wyników. Jednak dzisiejszej nocy budziłam się zrana z innego powodu. Dzisiaj mija kolejna rocznica śmierci mojej matki. Śniła mi się. Była uśmiechnięta, przepelniała ją radość, tańczyła do muzyki płynącej z przenośnego odtwarzacza. Wspinała się delikatnie na palcach, jej różowa plisowana spódnica do połowy łydki falowała pod wpływem jej obrotów, a kasztanowe włosy sprężyste opadały na ramiona.

Spoglądam na tarczę małego, srebrnego zegarka. Jego pleciona bransoleta ze szlachetnej stali oplata delikatnie mój lewy przegub. Ofiarowała mi go w prezencie na zakończenie studiów. Przypomina mi, jak bardzo czas jest ulotny. Za każdym razem, gdy działo się coś złego w moim życiu, powtarzała mi, że to jedna z jego składni. Prawdziwe życie jest wtedy, gdy doświadczamy zarówno dobrych, jak i mniej przyjemnych rzeczy. Samo dobro to iluzja, zło natomiast — paranoja, ale połączenie dwóch odmiennych czynników nadaje sens naszemu istnieniu.

Tęsknię za nią. Czasami odwiedzam miejsce jej pochówku i siadam na kamiennej ławeczce, wspominając nasze najlepsze przygody. Nigdy do końca nie pogodziłam się z jej śmiercią. W dniu jej pochówku poczułam jednak stratę. Ciężko było mi przywyknąć do pustych pomieszczeń w naszym mieszkaniu. Pozostały mi tylko wspomnienia o niej oraz tabliczka z imieniem i nazwiskiem na marmurowej ścianie. Zdaję sobie sprawę,

że nadejdzie kiedyś dzień, gdy ujrzę ją ponownie. W taki dzień jak ten mogę jedynie ją wspominać.

Potrząsam głową, opuszkiem palca wycieram wilgotny kącik prawego oka. Obserwując otoczenie, odciągam myśli od przeszłości, skupiając się na dniu dzisiejszym.

Nieustannie bawię się bransoletą z zegarkiem, obracając go wokół nadgarstka. Dochodzi już siódma rano, a kawa w ogóle mi nie pomaga. Dźwigam rękę, daję znak kelnerce, aby złożyć drugie zamówienie. Czekam cierpliwie, aż obsłuży mężczyznę po drugiej stronie. Jak co dzień siedzę w swojej ulubionej kawiarence oddalonej o dwa kilometry od miejsca pracy. Ładuję baterie kofeiną, by rozbudzić się i nabrać chociaż trochę energii do działania podczas kolejnego dnia.

„Z wiekiem coraz gorzej mi to wychodzi” — myślę.

Za oknem knajpki nadal pada rześisty deszcz. Dzisiejszy poranek nikogo chyba nie rozpieszcza. Mgliste, szare powietrze i ten ziąb na zewnątrz sprawiają, że odechciewa się czegokolwiek. W taką pogodę parasol zda się jak łysemu grzebień. Siąpiąca mżawka przeplatana płatkami śniegu wpada na twarz ofiary niczym gromada cieniutkich igiełek, kłując policzki, brodę, nawet oka nie oszczędzi. Na samo wyobrażenie tego, co na zewnątrz, przechodzą mnie zimne dreszcze. Z radością zakopałabym się pod grubą warstwą puchowej pierzyny. Staram się już nie zwracać na to uwagi, pocieszając się tym, że jeszcze tylko parę tygodni i przyjdzie upragniona wiosna. Nareszcie zimowa chandra odejdzie w zapomnienie, wszystko zacznie kwitnąć, a skóra poczuje na sobie dotyk promieni gorącego słońca.

Na mojej twarzy pojawia się delikatny uśmiech, wzdycham głęboko na samą myśl o długim urlopie i błogim lenistwie nad jeziorem.

— Co podać? — pyta wysoka kelnerka w błękitnym fartuszkuprzepasany wokół talii.

Mam nadzieję, że nie zauważyła mojej głupiej, wesołej miny wlepionej w okno.

— Jeszcze jedną dużą kawę bez mleka proszę — uśmiecham się serdecznie. Pewnie i tak już pomyślała swoje.

Nagle światła lamp zaczynają migotać. Czerwone, zwisające z sufitu nad stolikami szklane klosze bujają się na wszystkie strony. Dzieje się tak już od ponad pół roku. Codziennie z rana spada napięcie w całym mieście. Na domiar złego nawiedzają nas małe trzęsienia ziemi. Na początku to zjawisko było frustrujące, ludzie byli rozdrażnieni i zniechęceni warunkami życia. Po dłuższym czasie zaczęli się jednak przyzwyczajać, tak samo jak ja. Oczywiście nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za uciążliwe, niespodziewane spadki energii. Emocje wzbierały na sile, więc władze wydały krótkie oświadczenie, które na jakiś czas uspokoiło mieszkańców. Tłumaczyli to przerwami w przepływie prądu. Podobno elektrownia wciąż zмага się z uszkodzeniami powstałymi po ataku. Nie naprawią tego, dopóki nie dostaną nowych funduszy.

— To się chyba nigdy nie skończy — komentuje poirytowana kelnerka, kładąc filiżankę na stolik.

— Liczę, że jednak coś z tym zrobią. — Łapię dłonią klosz. W końcu drgania ustępują, a światło przestaje migać.

— Już siedem miesięcy się z tym guzdrzą. Naobiecywali cuda, a nic się nie polepszyło. — Podaje mi rachunek.

Płacę kobiecie za zamówienie. Sięgam dłonią w stronę cukiernicy. Światła gasną, trącam dłonią kubek z kawą, czarny płyn wylewa się na stół. W ostatniej sekundzie udaje mi się zabrać nogę, inaczej gorąca ciecz spłynęłaby na nogawkę moich ulubionych dzinsów.

— Pięknie... Ach, jak ja kocham poranki w tym mieście — mamroczę rozdrażniona pod nosem.

Chowam swój pamiętnik do torebki, blat wycieram papierowymi serwetkami. Wypijam resztkę tego, co zostało z napoju, i pospiesznie wychodzę na zewnątrz. Ulice pokrywa gęsta mgła, ciężko cokolwiek zobaczyć, ale trasę znam na pamięć. Codziennie pokonuję pieszo tę samą drogę, mijając te same uliczki i identyczne zabudowania, nawet ludzie zawsze są ci sami. Wyglądają jak zaprogramowane roboty. Jednakowe, niewyspane twarze snują się o świcie, zmierzając do celu. Z łatwością można zauważyć, gdy kogoś brakuje w danym miejscu o danym czasie.

Przeciskam się przez grupkę ludzi przechodzącą po wąskich pasach na jezdni. Ich monotony ubiór i nieobecny wzrok uświadamiają mi, że nie tylko ja wolalabym pozostać w swoim łóżku. W oddali, pomiędzy gęsto stojącymi budynkami, zauważam ulubione, małe delikatesy. Gdy idę po swoje łakocie, zawsze mijam tego samego starszego pana w długim, wełnianym, beżowym płaszczu. Jego włosy mieniają się w promieniach słońca srebrzystymi nićmi, a grubsze pasma padają na oczy. Mężczyzna nieustannie nerwowo zaczesuje je do tyłu, lecz po chwili nieposłuszne wracają na jego twarz. Widocznie nie tylko ja jestem takim łakomczuchem. Czasami łapię się na podjadaniu słodkości, ale w sumie po to one są. Przepyszne, kruche ciasteczka nie mogą zaszkodzić,

a czekoladowe trufle? No cóż, nie potrafię sobie odmówić, chociaż za każdym razem besztam się, gdy sięgam po kolejną pralinę.

Dzisiejszy dzień jest jednak inny, już dawno nie widziałam takiej mgły. Gęsto rozlane na ulicach mleko ogranicza pole widzenia niemal do minimum. Ciężko rozpoznać twarze ludzi, którzy zapewne tak samo jak ja zmierzają do pracy. W szarości odnajduję mój ulubiony sklep i otwieram ciężkie, metalowe drzwi z drewnianą wywieszką *Delikatesy Ali*. Mały mosiężny dzwoneczek zawieszony na framudze za każdym razem komunikuje o czymś nadejściu. Prądu dalej nie ma, ale na szczęście można tutaj zrobić zakupy nawet wtedy, gdy kasy nie działają. Ekspedientka zawsze z uśmiechem pakuje moje ulubione łakocie do małej kartonowej torebeczki z nadrukowanym różowym logo sklepu.

Biorę swoje zakupy, wychodzę i pospiesznie zmierzam do pracy. Nieprzyjemna pogoda daje mi do zrozumienia, że zakup białego płaszcza nie był najlepszym wyborem na zmienną pogodę. Już za pierwszym razem, gdy wyszłam na spacer wokół jeziora, byłam zmuszona go wyczyścić. Dzisiaj znowu zrobiłam ten sam błąd co poprzednio — w najgorszą chlapę założyłam jasny płaszcz. Nic na to nie poradzę — jest moim ulubionym i w dodatku bardzo ciepłym.

Odwijam i stawiam kołnierz, zakrywając szyję. Wyjmuję włosy na zewnątrz tak, by się nie splątały. Szybki marsz zamieniam w trucht, starając się nie spóźnić. Przyspieszam, szukając w torebce przepustki. Musi być gdzieś w teczce. Nie patrząc, co znajduje się przede mną, wyciągam ją i otwieram. Kilka kartek porywa nagły podmuch wiatru. Zbieram je z ziemi

jak najszybciej. Przepustka leży tuż obok nich, w połowie zamoczona w kałuży.

— Uf, zdążyłam. — Przypinam blaszkę identyfikatora do klapy płaszcza i wchodzę do szklanego pomieszczenia spełniającego zadanie skanera.

— Dzień dobry pani Elio, jak zawsze punktualna — mówi tęgi, miły strażnik, po czym wpuszcza do budynku.

— Dzień dobry, staram się. — Posyłam serdeczny uśmiech i idę spokojnie dalej.

POLECENIE SŁUŻBOWE

Tkwią w martwym punkcie jak szpilka na tablicy korkowej.

Chwała temu, kto wymyślił windę. Wspinaczka po tyłu piętrach byłaby dla mnie męczarnią, a przy tym ogromną stratą czasu. Wciskam przycisk dziewięć spośród dwudziestu pięciu innych na panelu. Drzwi windy zamykają się, nagle czyjaś dłoń je blokuje. Rozwiera metalowe skrzydła. Odsuwam się, obcy mężczyzna staje obok. Nie zerkam, chociaż bardzo mnie kusi. Po parunastu sekundach drzwi rozsuwają się ponownie i wychodzę. Skręcam w lewo, potem w prawo. Wszystkie biura są już pełne ludzi, co parę kroków da się usłyszeć na przemian krzyki i śmiech. Pomieszczenia wyglądają identycznie. Wszystkie oszklone. Na wysokości oczu, na otwierającym się skrzydle, widnieje czarny napis informujący o tym, kto zajmuje dane biuro i do jakiego należy sektora. Mój sektor liczy tylko dwie osoby — mnie oraz moją asystentkę. Na tafli widnieje napis: *Elia Madej — sektor C: kontrola*. Otwieram szklane drzwi odciskiem wskazującego oraz serdecznego palca lewej dłoni. Wchodzę do swojego biura, w ręce trzymając ostatnie karmelowe ciągutki.

— Hej Elia! — woła do mnie z daleka Daria.

Wyrywa mnie z zamyślenia, jej głos wprawia mnie w osłupienie. Zaskoczona, zaciskam dłoń na torebce, puste papierki po cukierkach szeleszczą pod moimi palcami.

— Czekają nas dziś nadgodziny. Przyjechał nowy transport, jest tego... dość sporo — chrząka wymownie, wskazując na stertę kartonowych pudeł po drugiej stronie biura.

Chyba wiem, co mnie dzisiaj czeka.

— Super... Tak jakbym nie miała co robić w domu — mamrocze pod nosem.

Daria szczyrzy się do mnie swoimi równymi białymi ząbkami. Rudawe włosy jak zawsze idealnie zaczesane w kok. Granatowe spodnie z lejącego materiału nienagannie zaprasowane. Żakardowa, łososiowa bluzka z dekoltem w serek doskonale dopasowana do jej smukłych kształtów. Jak ona to robi, że zawsze ma tyle siły? Jedno mnie pociesza — że jest niziutka. Ja nie zaliczam się do wysokich, ale ona przy mnie wygląda jak małe dziecko.

— Weź się w garść, ogarnij się i do dzieła — mówię sobie.

Zdejmuję wierzchnią część garderoby, zawieszając na haczyku razem z torebką tuż obok wejścia. Poprawiam swoją czarną, odrobinę za bardzo opinającą piersi bluzkę. Rozmasowując ręką bolesne miejsce na karku, uruchamiam główny komputer. Otwieram pierwszą z brzegu teczkę opatrzoną czerwoną pieczęcią: *Tajne — Pilne, Uprawniona: Elia Madej*. Wewnątrz włożono polecenie służbowe zapisane na przenośnym urządzeniu. Odcisk tych samych linii papilarnych co przy wejściu pozwala na odczytanie zaszyfrowanej wiadomości. Co kilka tygodni dostaję od przełożonych wytyczne postępowania, gdy natkniemy się na jakieś potrzebne im przedmioty. Dzisiaj jest podobnie. Krótki list i zdjęcie.

Polecenie służbowe:

W razie odnalezienia dwóch przedmiotów: nośnika oraz adaptera, proszę o niezwłoczny kontakt z przełożonym.

Fotografia przedstawia projekt małego urządzenia starego typu. Nieistotny jest jednak jego wygląd, a widniejące na nim wytłoczone dwie splecione, srebrne nici DNA. Adapter natomiast ma wybite symbole S.M.L.

Zatwierdzam odczytaną wiadomość, ta automatycznie się kasuje.

— Znowu nas męczą tymi poleceniami? — pyta Daria wklepująca dane z kartek do komputera.

— Niestety tak — odpowiadam krótko. Obracam się w jej stronę, zamykając teczkę.

— Dopiero co wypełniłyśmy ostatnie zadanie, a znowu narzucają nam kolejne. Czy to się kiedyś skończy?

— Wątpię. Jutro przekażę ci, czego szukamy. Dzisiaj dokończymy tę wczorajszą dostawę. — Wskazuję palcem na dwa jeszcze nieotwarte kartony.

Większość czasu zajmuje mi przerzucenie stosu papierów w pudłach, a jest ich naprawdę sporo. Po wojnie, która skończyła się pięć lat temu, w miastach jest jeden wielki bałagan, a nasza organizacja zajmuje się właśnie utylizacją tego bałaganu. Mimo że nie odbudowujemy doszczętnie zniszczonych domów i miast — odwalamy tę gorszą robotę. Cały elektroniczny, zneutralizowany syf trzeba pozbierać, opisać i uszeregować. Niezdatne do użytku zutylizować, a to, co się przyda — przekazać do kolejnego działu w celu naprawy.

Codziennie przysyłają do nas dziesiątki pudeł z dokumentacją i elektroniką. Każde urządzenie czy podzespół

przechodzi przez moje biuro. Sprawdzam jego legalność i oddaję do analizy. Sprzęt, który się tutaj przewija, mógłby narobić naprawdę ogromnego spustoszenia. Nawet teraz, gdy zostaliśmy wyzwoleni przez impuls elektromagnetyczny, który unieszkodliwił broń, nadal istnieje realne zagrożenie, że nie wszystkie ogniska zapalne powodujące chaos zostały ugaszone. Podobno dlatego mamy problem z dostawami prądu.

Przed wojną jakiś urzędnik niemający wielkiego znaczenia, otwierając drzwi do kancelarii prezydenta, znalazł list. Zawarty w nim manifest najeźdźców miał informować ludność o kłamstwach i obłudach władz rządzących. Otwarcie oświadczyli nieuchronne odcięcie głowy hydrze i największemu uzurpatorowi. Kimkolwiek on był. Oczywiście oficjalnie list nigdy nie został odczytany. Skrawki zdań przemycono i wrzucono w sieć.

Najeźdźcy nazwali się Egidą i święcie przekonani o swej dobrej woli, rozpoczęli wojnę o wolność. Nikt nie wiedział, kim są, kogo reprezentują i czego tak naprawdę chcą. Jakiś uczony znalazł w tym symbolikę mitologii greckiej. Egida była tarczą boga Zeusa i bogini Ateny. Może i trafne spostrzeżenie, ale nadal nie wiadomo, czyją są tarczą.

Prezydent zarządził godzinę policyjną. Coś niszczyło miasta, ale nie wiedzieliśmy co i jak. Nocami mieszkańcy zamykali się w piwnicach i schronach. W dzień ukazywały się skutki natarcia Egidy. Mieli nas ocalić od czegoś, czego nie rozumieliśmy, a tymczasem pogrążali nas, prowadząc naszą technologicznie rozwiniętą cywilizację ku upadkowi. Po kilku latach impuls uwolnił wszystkich. Tak przynajmniej się nam wydaje. Chociaż ja mam swoje teorie... Albo faktycznie ktoś ocalał i nam szkodzi, albo to jakaś wielka korporacyjna ściema. Tak czy siak, problem

wciąż istnieje, ale nie w lustrzanym gmachu. Cała instytucja, w której pracuję, jest podpięta do osobnej sieci energetycznej należącej do rządu. Dopóki jesteśmy im potrzebni, niczego nam tu nie zabraknie.

Przerzucam dokumentację już dobre dziewięć godzin. Powieki stają się coraz cięższe. Czasami myślę, czy nie zmienić pracy na inną. Nie żebym się tutaj nudziła, wręcz przeciwnie — każdy dzień przynosi coś nowego. Tak jak dzisiaj, gdy akurat do mnie trafiło pudło z kilkoma nieuszkodzonymi, elektronicznymi zabawkami. Kładąc je na skaner, domyślam się ich niezwyklej wartości. Symbol omegi przewinał się przez moje ręce już na samym początku kariery w korporacji. Szefowie byli bardzo zadowoleni ze znaleziska. Byłam ciekawa, czym jest maleńkie urządzenie w szklanej kapsułce. Niestety skaner już wtedy miał wprowadzoną blokadę systemu. Rozpoznaje, czym jest urządzenie, testuje parametry techniczne i sprawdza, z jakiego pochodzi źródła. Zaszyfrowana dokumentacja wraz z przedmiotem wychodzi z mojego biura, a następnie idzie do kolejnego działu. Niewiele nam mówią, niewiele też wiemy o tym, co tak naprawdę sprawdzamy. Nie jest to praca marzeń, przypomina raczej obsługę na poczcie, która jest pomiędzy dwoma punktami: nadawcy i odbiorcy. Z jedną różnicą — oboje nie są anonimowi. Ja jestem pomiędzy dwoma niewiadomymi.

Skąd się biorą te rzeczy i do czego je wykorzystują? Czy to ważne? Znalezienie białego kruka w stosie bezużyteczności sprawia przyjemność. W takie dni rutyna staje się mniej dokuczliwa. Te perełki mogłyby zaowocować nagrodą, a nawet i awansem... Kto wie? Czasem mam ochotę

zając się czymś innym tylko dlatego, aby nie tkwić całe życie w jednym miejscu. Czy to aż tak wiele? A może powinnam dziękować za to, co mam?

— Daria... Co my zrobimy, gdy wszystko, co należało zrobić, zostanie wykonane? Gdzie my się podziejemy? — pytam, żeby zagadać, by nie usnąć nad tymi papierzyskami.

Daria patrzy na mnie z zainteresowaniem i nagle odpala:

— Znajdziemy sobie jakichś przystojnych, bogatych facetów i nie trzeba będzie się martwić.

Wybucham śmiechem, słysząc te bzdury. Znamy się zaledwie rok, ale już od naszego pierwszego spotkania wiedziałam, że to będzie dobra przyjaciółka. Nie mam wielu znajomych, moje życie wypełnia praca. Daria jest jedyną moją odskocznią od rzeczywistości.

— Czekaj, bo ktoś zwróci uwagę na dwa konusy... Chyba jednak postawię na dobrą butelkę mocnej, przeźroczystej cieczy. — Teraz ja szczerzę zęby. Nie wytrzymuję długo, uśmiech zamienia się stopniowo w rechot. Nie wiem, czy ona śmieje się ze mnie, czy razem ze mną.

— A poza tym — zaczyna — że jest późno i trzeba by już iść do domu, to kto dzisiaj rano z tobą przyszedł? — pyta Daria z uśmiechem, zalepiając taśmą kartonowe skrzynki.

— Nie rozumiem. — Zerkam z zainteresowaniem na Darię. — Przecież przyszłam sama. Pewnie jakiś nowy kurier się wałęsał. Ostatnio firma często ich zmienia.

— Z pewnością nie mają do nich zbyt dużego zaufania — rzuca.

— Uff... — wzdycham głęboko ze zmęczenia. — Dobra, koniec tego dobrego. Spadamy do domu, resztę dokończymy jutro — stwierdzam i zabieram swoje rzeczy. — Jak znajdziesz

chwile, to wpadnij do Matta. Dzisiaj nie odpuszczę małego drinka.

— Dzisiaj nie dam rady — uśmiecha się tajemniczo.

— O! Czyżby randka? To my tutaj sobie żartujemy, a ty sobie na randkę idziesz? — mrużę oczy i, śmiejąc się, zakładam płaszcz.

— To nic takiego — zapewnia, wruszając ramionami.

— Kim jest wybranek? — Ciekawość mnie pożera.

— Dopiero go poznałam. To tylko niezobowiązujące spotkanie.

— Czeka, bo uwierzę. — Zabieram torebkę i wkładam do niej kilka teczek do opracowania w domu. Patrzę uważnie na Darię.

— No co? — Czerwieni się lekko.

— Opowiesz mi jutro. — Uśmiecham się szeroko. — Jeśli facet okaże się dupkiem, to wiesz, gdzie mnie szukać. Cześć i do zobaczenia. Uciekam, bo zaraz naprawdę padnę na twarz — dodaję przez ramię, zamykając po drodze swój komputer.

BAR

Wychodząc z budynku, zauważam, że mgła na szczęście opadła, a lampy znowu świecą. Świeże, ale jeszcze zimowe powietrze dociera do moich płuc. Napawam się zapachem pogodnego wieczoru. Jak dla mnie dzień mógłby w ogóle nie istnieć. Od razu czuję się lepiej, więc pozwalam sobie na chwilę relaksu w ulubionym barze.

Rozsiadam się przy kominku z „Cosmopolitanem” w ręce.

— Pff... Znaleźć sobie bogatego chłopca? Też wymyśliła! Pewnie by się okazało, że to raczej rozpieszczone dziecko niż samiec z prawdziwego zdarzenia — cedzę przez zęby i upijam czerwonego drinka, oblizując plasterek cytryny.

— Co tam mamrociesz, Elia? — pyta życzliwie barman. — Nie zapominaj, że jedyny prawdziwy mężczyzna, jaki został na tych ziemiach, wciąż o tobie myśli i w dodatku masz go na wyciągnięcie ręki!

Matt jest błyskotliwym i inteligentnym barmanem. Jego rudawe włosy na brodzie są dłuższe niż te na głowie. Przyciąga spojrzenia wszystkich kobiet i nie tylko. Uwielbia nazywać się prawdziwym dżentelmenem. Wprawdzie jest gejem, ale to pomaga mu w kontaktach z ludźmi, przydatnych w jego fachu. Potrafi słuchać, a ludzie aż lgną do niego, opowiadając mu o wszystkich swoich problemach. Słyszy więcej niż niejeden ksiądz w konfesjonale, w dodatku sprzedając przy tym mnóstwo alkoholu. W sumie jest nawet całkiem przystojny. Ktoś, kto

go nie zna, widziałby w nim co najwyżej przesadnie zadbanego i pachnącego cytrusami przystojniaka.

— Sorry Matt, niestety nie mam w spodniach czegoś, co mogłoby cię zainteresować.

— Widzę, że dzisiaj nie w sosie? Co jest? Miałaś ciężki dzień? — Jego ogromne męskie dłonie sprawnie wkładają kufle do automatycznej zmywarki.

— Nie... Po prostu... — ciągnę — nie myślałeś czasem, że wszystko, co cię otacza, to jakieś jedno wielkie nieporozumienie? Wiecznie powtarzające się scenariusze, szarzyzna. Potrzebuję kolorów!

— Uwielbiam kolory! — krzyczy radośnie Matt.

Podziwiam jego entuzjazm; mój wygaś i czeka na wskrzeszenie.

— Chcę się w końcu obudzić z tego letargu. Masz na to jakieś lekarstwo? — pytam. W palcach zwijam papierową serwetkę, tworząc z niej cieniutką rurkę.

— Wydaje mi się, że mam — rzuca zadowolony, pstrykając palcami. — Poczekaj, zrobię dla ciebie coś specjalnego!

— Matt, co to za tablica? — pytam, zerkając na małą wywieszkę przytwierdzoną nad butelkami z alkoholem naprzeciwko mnie. — Jutro piwo gratis. Albo coś świętujesz, albo postradałeś zmysły! Nie wiem, czego prędzej zabraknie: miejsca czy piwa?

— Nie bądź taka pewna. To głębsze przesłanie, powiedziałbym nawet: filozoficzne.

Parskam głośnym śmiechem w jego stronę.

— Tak. Piwne przesłanie filozoficzne. Wybacz moją szczerość, ale czy ty przypadkiem nie zaczynasz się zachowywać jak typowy facet? Szczerze, nie poznaję cię...

— Nie piwne, Elia. Życiowe! — burzy się.

— Jasne... — Upijam łyk drinka.

Widzę, jak jego dłonie zwinnie serwują ogniste whisky dla grupki mężczyzn. Typowy napój dla męskiej płci wzajemnie celebrującej swoje życiowe sukcesy i porażki. Ich uśmiechy i przekrzykiwania dają mi do zrozumienia, że to raczej ja świętuję swoją porażkę, siedząc samotnie w barze w towarzystwie słomki i drinka. A jedynym moim przyjacielem jest właśnie barman. Poza Darią, która właśnie uwodzi kolejną ofiarę.

— Zastanów się. — Chowa pieniądze do kasetki. — Natura człowieka może być prosta lub złożona. Siedzisz tu dzisiaj i zastanawiasz się nad przyszłością. Myślisz o jutrze, kiedy tak naprawdę ono nie istnieje.

— Nie wiedziałam, że jesteś za pan brat z filozofią. — Uśmiecham się.

— Rusz głową. — Nachyla się w moją stronę, opierając przedramiona o bar. — Widzisz tę tablicę dzisiaj. Przyjdiesz jutro, bo przeczytałaś, że będzie darmowe piwo, ale co przeczytasz jutro?

— Dobra... Już rozumiem. — Wymachuję dłońmi, składając broń.

— Siedzisz przed tą samą tablicą! Jutro nie istnieje! — wyjaśnia. — Jest tylko dzisiaj, tu i teraz!

— Och Matt, jesteś zbyt dobry w te klocki. Dlaczego nie otworzysz swojej knajpy? Sprzedajesz lekarstwa na ludzkie bóle szybciej niż piekarz swoje bułki.

Uśmiecha się zadowolony. Dobrze wiem, że ceni sobie komplementy.

— W dodatku całkiem smaczne te twoje lekarstwa — mamroczę jakby do siebie, mieszając w kieliszku resztę słodkiego antidotum.

— Elia, dobrze wiesz, że tutaj to ja jestem tym, który słucha, a ty jesteś tą, która mówi, więc nie odwracaj kota ogonem... kotku. — Patrzy na mnie z udawaną powagą.

Czy to możliwe, abym się już wstawiła? Rozczulam się nad swoją osobą jak stara panna.

— Czy to nie żałosny widok mojej osoby siedzącej samotnie na barowym stolku?

— Pleciesz bzdury. A ja to co jestem, powietrze? — marszczy gniewnie czoło. — Gdzie masz Darię? Ona od razu wybiłaby ci ten czarny humor z głowy.

— Ty wolisz facetów — rzucam mu w twarz — a Daria ma dzisiaj randkę. Więc jak to inaczej podsumować? Albo jestem brzydka, albo nieprzystosowana społecznie.

Matt wyciąga spod lady miskę orzeszków i rzuca we mnie jednym, trafiając w ucho.

— Jeśli zmienię orientację, to będziesz pierwsza, do której przyjdę. — Puszczam oczko w moją stronę.

— Nie wątpię, każdy kocha mój masaż pleców. — Uśmiecham się.

— Czyli twój stan depresyjny to wina Darii? — wierci dziurę głębiej.

Kładę łokieć na ladę i podpieram twarz o dłoń.

— Nie zaprzeczę, że dołożyła oliwy do ognia.

— Kobieto, co ci się stało? Weź się ogarnij, poderwij jakiegoś faceta. Idź z nim do łóżka, na drugi dzień poczujesz się lepiej.

— No sama nie wiem. Seks bez zobowiązań?

— Bez zobowiązań — powtarza, przytakując głową. — Może z małym kacem po alkoholu i moralnym po przespaniu z nieznanym, ale seks dobrze ci zrobi.

— Może masz rację. Za bardzo się przejmuję.

— Zawsze mam rację, w końcu jestem barmanem. — Uśmiecha się i podchodzi do mężczyzny po drugiej stronie baru.

Chciałabym trochę tej odwagi, którą ma w sobie Matt. Ma rację, nie warto się wszystkim zadrećcać. Chyba za dużo ostatnio pracuję. Nie mam czasu dla siebie.

— Elio, to dla ciebie od tajemniczego wielbiciela. — Matt zaciska usta, ukrywając uśmiech. Podchodzi i stawia na barze kieliszek. Wzrokiem wskazuje na stolik wesółch mężczyzn, którzy wcześniej zamawiali ogniste whisky. — Czasem wystarczy poczekać, a los sam uśmiechnie się do ciebie.

— Nie jestem do końca przekonana, czy to los.

— Przesadzasz. To od mężczyzny przy stoliku.

— Ogniste whisky, miło. — Obracam się w stronę stolika mężczyzn, trzymając w dłoni kieliszek. Nie wiedząc, od którego z nich jest podarunek, unoszę go do góry na znak podziękowania i upijam jednocześnie z nimi. Ostry mocny smak przechodzi przez moje gardło, powodując lekkie pieczenie przełyku.

— A to od firmy. — Podaje duży kielich po brzegi wypełniony barwami tęczy.

— Nie wiedziałam, że w drinku może być tyle różnych kolorów i do tego wszystko idealnie się komponuje. Jak ty to robisz?

Matt nie odpowiada, lecz posyła w moją stronę półuśmiech i idzie do siedzącego obok klienta.

Brzegi naczynia zwilżone cytryną i oprószone cukrem zwieńczają całość. Zabieram kieliszek i siadam bliżej kominka.

Upijam pierwszy łyk, czuję słodkokwaśną nutę mocnego trunku. Na tyle mocnego, żeby zaszumiało mi w głowie. Po połowie mam już dosyć. Matt miał rację — to coś specjalnego. Poza tym w końcu sama chciałam kolorów, to je dostałam. Wszystkie moje mięśnie nagle się rozluźniają, myśli przestają napierać. Mogę w spokoju odetchnąć. Powoli zaczyna mi się lekko kręcić w głowie, języki palącego się ognia wyglądają, jakby miały ochotę mnie połaskotać. Zniekształcony śmiech klienteli brzmi jak popsuta płyta odtwarzana w kółko.

Na krańcu drewnianej ławki dosiada się jakaś postać, wygląda na zziębniętą. Rozciera energicznie dłonie nad ogniem. Wszystko zaczyna wirować, nie mam zamiaru już z nikim rozmawiać. Wstaję i powoli staram się dojść do drzwi.

— Uważaj na siebie!

Ktoś krzyczy za mną, to ta postać... Ale nie jestem w stanie zobaczyć twarzy tej osoby. Tak bardzo chcę się już położyć.

— Cześć Matt! — Posyłam buziaka w jego stronę i wychodzę.

ZASTĘPSTWO

Życie biegnie jednostajnym tempem, czasem załamuje się i dźwiga niczym anomalie twojego serca.

— O matko... Co to był za drink? — Wypompowana z sił budzę się z małym kacem, chwytam za pękającą od bólu głowę i usiłuję pozbierać myśli do kupy. Biorę szybki, orzeźwiający prysznic. Zakładam pierwsze z brzegu czyste ubranie i biegiem wychodzę, żeby tylko jeszcze zdążyć wypić poranną kawę.

W kawiarni jest już gwaro o tej godzinie, wszyscy spieszą do pracy.

— Podwójne espresso na wynos proszę — mówię zziębnięta do kasjerki. Płacę i wychodzę pospiesznie. Co parę kroków upijam gorący łyk napoju. Pędzę ciasnym skrótem, wiedząc, że spóźnienia nie są mile widziane, w szczególności w moim dziale. Zauważam delikatesy i zbaczam z trasy do sklepiku.

— Jeszcze tylko coś słodkiego — mówię do siebie. Wyrzucam do kosza kartonowy kubek i rozcieram dłonie, aby je rozgrzać. Dzisiaj pozwolę sobie na więcej kalorii, po takim drinku trzeba się troszkę pożywić.

Nagle ktoś mnie szturcha na wysokości biodra.

— Oj, przepraszam — mówi starszy mężczyzna, po czym idzie dalej w kierunku stoiska z gazetami. Zabierając swój ulubiony przegląd sportowy, obraca się w moją stronę. To ten staruszek, którego zawsze spotykam. Wygląda na bardzo

sympatyczną osobę. Nigdy nie zamieniłam z nim słowa, ale co pewien czas słyszę jego konwersacje z ekspedientką, która uwielbia plotkować z każdym klientem. Nieraz toczą bitwy o to, kto zna bardziej śmieszny kawał.

Delikatnie się do niego uśmiecham, ale speszony ucieka wzrokiem.

W biurowcu przechodzę przez bramki skanujące. Kierując się do swojego stanowiska, zauważam na biurku kartkę.

Pani Daria Bonar jest na zwolnieniu lekarskim. Na najbliższe tygodnie dostanie Pani zastępstwo.

Z poważaniem,

Dyrekcja

— Super! Jeszcze mi tego brakowało, żeby jakiś żółtodziób zawalił mi terminy!

Rzucam skórzaną kurtkę na biurko. Jestem tak zdenerwowana, że nie spostrzegam nowej twarzy naprzeciw mnie. Jej właściciel mierzy mnie wzrokiem na wskroś.

— Cześć! — mówi nieznajomy.

Mężczyzna, podchodząc, wyciąga do mnie dłoń. Nie uśmiecha się, patrzy uważnie. Nie wiem, czy mnie już zaszufładował, czy zlekceważył moje marudzenie. Jestem mistrzynią reguły pierwszych trzech sekund. Za każdym razem, gdy poznaję kogoś nowego, chlapię jakąś głupotę albo robię jakąś błazenadę. Daria przyzwyczała się już do tego, nawet okrzyknęła mnie mianem „pani falstart”.

Odganiem natłok myśli i speszona oddaję uścisk.

— Mam na imię Robert i jestem twoim nowym, jak to powiedziałaś... złotodziobem. Mam na pewien czas zastąpić Darię. Jestem wtajemniczony w twoje obowiązki, więc możemy zabrać się do roboty. Chyba że chcesz jeszcze pomarudzić na mój temat?

„No super, jeszcze nadętego kolesia mi potrzeba” — myślę. Przewracam oczami, ale nie daję za wygraną.

— No dobra, więc rozumiem, że wiesz, czego szukać, ale czy tłumaczyli ci po co? — pytam. Tylko ja mogę to wiedzieć, a jeżeli góra powierzyła mu również takie zadanie, to oznaczałoby wielkie zmiany w kadrach.

Każda rzecz związana z Egidą zbliża mnie do awansu. Domyśliłam się, że owe omegi widniejące na urządzeniach należały właśnie do tego ugrupowania. Nie pozwolę na to, żeby jakiś nowicjusz odebrał mi awans.

— Nie Elio, jeśli mogę po imieniu?

Przytakuję. Lepiej, aby nie było między nami spięć.

— Dyrekcja zaznaczyła, że mam nie wnikać w temat i robić swoje. Posegregowałem już parę dokumentów, które mogą ci się przydać. — Wskazuje palcem na regał pełen segregatorów. — Rozumiem, że materiały odnoszące się do chipów mają być przypięte do pudła z urządzeniem, a reszcie mam przypisać numer kontrolny?

— Yyy... Tak, masz rację, dobrze cię poinstruowali. Chipy oraz wszelkie moduły pamięci muszą trafić bezpośrednio do mnie, ponieważ one znajdują się w innym miejscu niż reszta urządzeń — informuję, żeby nie myślał, że jest tu najmądrzejszy.

Na moje szczęście dyskusję przerywa dźwięk dzwoniącego telefonu.

— Cześć El, i jak tam? Praca wre?

Jestem zmuszona trzymać telefon z dala od ucha, kaszel Darii brzmi jak u nałogowego palacza tytoniu. Pomimo że jest parę kilometrów ode mnie, mam wrażenie, jakby miała wypluć przez telefon płuca.

— Wybacz mi za dziś, ale mnie rozłożyło. Jak ci się podoba nowe zastępstwo? Niezłe ciacho, prawda? — chichocze.

— Skąd wiesz?

— Spotkałam go raz przed podpisaniem umowy o pracę. Wymieniliśmy kilka zdań i tyle. A dzisiaj, dzwoniąc do kadr, powiedzieli mi, kto mnie zastąpi.

Wzdycham głęboko, siadam na krześle i zbieram strzępki własnych myśli.

— Zrobiłaś mi niespodziankę, pewnie będę musiała cały ten bałagan uporządkować sama. Wiesz, jak to jest z nowymi — marudzę i nerwowo masuję pulsującą od migreny skroń.

— Jejku El, nie bądź taka, no...

— Lepiej powiedz, jak udała się tajemnicza randka. — Staram się ją odciągnąć od tematu świeżego zastępstwa. Zerkam przez ramię na mężczyznę, jak szpieg śledzący swoją ofiarę.

— Nawet przyzwoicie, kolacja była w porządku.

— Tyle masz do powiedzenia, „była w porządku”? A facet? — dopytuję, ciekawość mnie zżera od środka. — Nie rób się zołą, podziel się pikanterią z najlepszą kumpelą. Powiedz, że chociaż jedna z nas ma życie seksualne — naciskam błagalnie.

— Ale z ciebie natręt. Do niczego nie doszło. Była kolacja, a potem spacer do domu. Już w połowie drogi z restauracji zaczęłam kichać jak opętana. Resztę możesz sobie dopowiedzieć.

— Randka z paczką chusteczek i aspiryną? Idealny duet — stwierdzam.

Zerkam na mojego nowego asystenta. Widzę, jak się niecierpliwi, chociaż stara się ze wszystkich sił nie ukazywać zainteresowania moją rozmową. Z radością gawędziłabym dzisiaj cały dzień, aby nie musieć z nim pracować.

— Dobra, kończę, ale musisz przyznać, że niezłe ciacho. Gdybym tam była, to zjadłabym tego pączka... — przerywa kaszlem Daria.

— Lecz się — rechoczę do słuchawki.

— Pa, Elio.

— Zadzwoń jutro, a teraz marsz do łóżka. Pa.

Odkładam słuchawkę, spoglądając ukradkiem na Roberta. Może Daria ma trochę racji. Jest przystojny, nie mogę zaprzeczyć. Pełne, namiętne usta, których sama mu zazdroszczę. Jego średniej długości, kasztanowe, gęste włosy delikatnie opadają na przenikliwe, onieśmielające, zielone oczy. To właśnie jego oczy najbardziej mnie zaintrygowały, nie potrafię określić dokładnie ich barwy. Na pewno zielone, tęczęwki przypominają szmaragdy, a może bliżej im do morskiego turkusy niż do szlachetnego kamienia? Musiałabym zgłębić bardziej jego spojrzenie, co jest raczej niemożliwe i niestosowne. Niewiele zdołaliśmy ze sobą porozmawiać, zresztą, o czym bym mogła z nim pogadać? Bo chyba nie o kolorze lakieru do paznokci? W sumie to Daria zawsze kłapie dziobem, a ja tylko przytakuję. Taki układ bardziej mi pasuje. On się nie odzywa nieproszony, a ja nie muszę odpowiadać na durne pytania.

Zabieram dwa pudła ze stanowiska Darii i przeglądam za nią stertę papierów oraz elektroniczne maleństwa. Trafiam na dokumentację dotyczącą procedur postępowania w razie wybuchu epidemii choroby zakaźnej przenoszonej drogą kropelkową. Przytwierdzam na wieko kartonowego pudła żółtą

nalepkę oznaczającą przekazanie do kolejnego, odpowiedniego sektora, w którym będą wiedzieć, co z tym zrobić. Rzadko zdarza mi się dostać w swoje ręce tego typu dokumenty. Najwyraźniej ktoś przez pomyłkę umieścił je w pudłach z elektroniką. W drugiej skrzynce odnajduję tylko dwa sprawne urządzenia — jedno z nich to adapter, którego szukają.

— Cudownie! — Cieszę się ogromnie, na twarz wylewa mi się radość z szybkiego sukcesu. Jeszcze tylko ten nieszczęsny mały dysk i po kłopotcie. Wkładam adapter do foliowego woreczka i opisuję, aby laboratorium wiedziało, że po testach musi mi go zwrócić.

Pochłonięta pracą, nie zwracam uwagi, jak wskazówki zegara pędzą po jego tarczy. Dochodzi 17.00. Przecieram zmęczone od długiego czytania oczy. Zbieram swoje rzeczy. Wychodząc, żegnam się z Robertem i wracam prosto do domu. Koniecznie muszę odespać wczorajszy wieczór.

UCIECZKA

Czy wszystko, czego dotykamy, jest prawdziwe? Czy wszystko, co widzimy, naprawdę istnieje? Jak mamy wierzyć w coś, czego nie możemy ani dotknąć, ani zobaczyć? Czy to właśnie na tym polega wiara?

Czuję, jak czarny narkotyk rozprowadza się po całym moim krwiobiegu, aż dociera do najbardziej nieprzytomnej części mojego ciała — serca. Jak tak dalej pójdzie, to ta mała pompka odpowiadająca za moje życie może nie wytrzymać takiej ilości kofeiny w połączeniu ze zmęczeniem. Dopijam ostatnie krople kawy, kończąc swój poranny rytuał. Dzisiaj nie zwracam zbyt wiele uwagi na ludzi, chociaż zauważyłam, że w delikatesach brakuje starszego mężczyzny, którego codziennie spotykam. Pojawiły się za to dwie nowe twarze. Aż jestem z siebie dumna, że pomimo bycia senną, o tej porze dnia jestem taka spostrzegawcza.

— Ej, to chyba ona — szepcze niższy mężczyzna. Pokazuje drugiemu, ubranemu w czarny kaptur, małe zdjęcie.

Nagle łapie mnie mocno za ramię i zaczyna ciągnąć do wyjścia. Ludzie patrzą na tę dziwną sytuację, lecz zupełnie nie reagują.

— Co ty robisz? Puść! To boli! — krzyczę.

Wiergam, kopię napastnika w goleń. Ten aż jęczy z bólu, a ja uciekam, przewracając stoisko z chrupkami. Drzwi zatrząskują się za mną, widzę przez szybę, jak mężczyzna

z wyrazem bólu na twarzy zaczyna biec w moim kierunku. Nagle ktoś znowu szarpie mnie za ramię i ciągnie za rękaw skórzanej kurtki.

— Co jest z wami, zrobiłam wam coś?! Puszczaj! — wrzeszczę z bólu. Napastnik wbija mi palce w mięsień. Po wczorajszym nie jestem w dobrej formie. Tak to jest, jak się codziennie chodzi na drinka do Matta.

— Chodź ze mną szybko, zaraz cię złapią i nie będą tacy mili! — syczy mężczyzna, ciągnąc mnie dalej.

Patrzę mu w oczy i z przerażeniem się zgadzam. Zadaje mi niezły ból, raczej nie jestem w stanie się wyrwać z jego uścisku.

— Robert? Co ty tu robisz? Puść mnie, to boli! — Staram się wyszarpać z jego rąk, ale na marne. — Nie wiedziałam, że jesteś fanem łakoci, raczej wyglądasz na kogoś, kto wciska w siebie coś zdrowszego niż puste kalorie!

— Zamkniesz się w końcu, czy mam cię uciszyć?! — Szarpie za rękaw. Poganiając, wpycha mnie do samochodu. — Wiesz, czego od ciebie chcieli? — Patrzy na mnie ze złością, zaciska dłonie na kierownicy, a pedał gazu wciska do samego końca.

Gwałtowny start wbija mnie w siedzenie, głowa niefortunnie uderza o twardy zagłówek, powodując na twarzy bolesny grymas.

— Nareszcie! Może teraz przestaniesz nadawać jak radiostacja. Więc?

— Co więc!? Nie mam pojęcia, o co im chodziło i czego chcieli. Dokąd jedziemy? — pytam i rozglądam się na wszystkie strony.

— Jak najdalej stąd — rzuca rozdrażniony.

Wszystko stało się tak szybko. Nawet nie zauważyłam, kiedy minęliśmy granicę miasta. Patrzę na krajobraz za oknem.

Nie poznaję tego otoczenia. Długo już tutaj nie byłam. Stare budynki, jeszcze nieodbudowane po wojnie. Jedynie ulice zostały odnowione. Przecież transport musi jakoś trafiać na miejsce. Serce podchodzi mi do gardła, gdy wjeżdżamy na stary most łączący niegdyś dwa sąsiadujące miasta. Byłam przekonana, że już dawno go rozebrali lub odnowili, ale chyba się myliłam. Widać, że jest zdewastowany. Co kilka metrów pojawia się wyrwa w jezdni. Robert zręcznie je omija. Wbijam palce w siedzenie fotela, mięśnie mam spięte.

Wojna zmieniła wszystko, nie tylko to, co znajduje się dookoła. Ludzie stali się bardziej samolubni i podejrzliwi. Nic już nie wygląda jak kiedyś. Nie odczuwamy radości z życia, tylko idziemy przez nie jakbyśmy byli do tego zmuszeni. Odcinamy się od społeczeństwa, zamykamy w swoim małym otoczeniu, nie dopuszczając do siebie obcych. Tworzymy maleńkie grupki i trzymamy się tego, co dobrze nam znane.

Nagle rozlega się głośny huk i ogromny wstrząs. Zielony, stary samochód z impetem uderza w nasz bok. Dwóch zbirów chce nas zepchnąć z mostu. Wgniecione drzwi wbijają mi się w ramię i przeszywa mnie ogromna fala bólu. Kolejne uderzenie. Staję się jak kukła, bezwładne ręce opadają wzdłuż ciała. Moja głowa, powracając, uderza w ramę drzwi. Nie potrafię się ruszyć. Po chwili uzmysławiam sobie, jakie piękne kolory ma słońce, gdy przymruży się oczy. Promienie tej pięknej kuli muskają moje ciało i szepczą. Mam wrażenie, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Widzę gęsty las... Robert coś krzyczy, wydziera się ze złością, ale ja nie umiem się ruszyć. Głowa opada na jego ramię.

Nastaje cisza i ciemność.

CHATKA

Życie jest darem, kruchym darem. Trzeba o nie dbać i czerpać z niego każdą najmniejszą kroplę życiodajnego soku. Bo gdy jezioro zaczyna wysychać, uświadamiamy sobie, co straciliśmy.

Dopiero teraz dostrzegam kolor jego oczu. Nie jest taki, jak zdawał się na początku. Są zielone, ale mają jakby wylany barwnik. Źrenice otacza brązowa, cienka obwódka przypominająca aureolę. Zapada się w głąb czarnej dziury, tworząc niesamowitą, pociągającą głębię. Niejeden malarz zachwyciłby się ich teksturą. Są tak hipnotyzujące, że przy dłuższym wpatrywaniu sprawiają wrażenie, jakby pływały. Może to ja pływam? Jego ciepłe spojrzenie może oznaczać, że w głębi serca jest dobrym i rozsądnym mężczyzną. Usta takie pełne, idealnie wyrysowane, kąciki lekko zadarte, przyciągają uwagę i kuszą, by dotknąć. Niejedna kobieta chciałaby takie posiadać.

Z marzeń wyrywa mnie okropny, kłujący ból ramienia. Robert zakłada ciasno bandaż, a ja gapię się jak jakaś napalona nastolatka.

— Dobra mała, oszczędzaj tę rękę, bo paskudnie oberwałaś. Opatrunek trzeba będzie zmienić za parę godzin, a głowa może trochę boleć. Dostałaś niezły środek przeciwbólowy, więc lepiej, żebyś nie wstawiała — informuje, zbierając z nocnego stolika zakrwawione gazy. Wstaje i odchodzi.

— I że niby to było w mojej ręce? — Spoglądam z rozdziawionymi ustami na spory kawałek zakrwawionego metalu. — Co ty, chirurg jakiś, czy co? — Chichoczę pod nosem.

Przystaje w progu, obraca się w moją stronę z gniewną miną na twarzy. Podchodzi blisko łóżka, zawieszając nade mną głowę.

— Ty w ogóle kojarzysz, co się stało, Elio?! — ciska groźnie.

Dopiero po chwili do mnie dociera, co tak naprawdę się wydarzyło. Uśmiech schodzi z twarzy, pojawia się przerażenie i lęk. Cofam się do końca łóżka, na którym leżę, i ze łzami w oczach spoglądam w jego stronę. Chcę zapytać, ale nie potrafię wykrztusić żadnego słowa. Przypominam sobie ucieczkę samochodem i tych dwóch mężczyzn w sąsiednim pojeździe. Ogromny wstrząs i przeszywający ból. Tak bardzo bolesny, że traciłam powoli świadomość i kontakt z otoczeniem. Pożerałam ramię, rozchodząc się na boki i, dżgając coraz to mocniej, przyduszając mnie. Robert krzyczał w moją stronę, ale nie słyszałam go. Jego usta się poruszały, ale słowa nie docierały do mnie. Potrząsał mną. Ostatnie co pamiętam, to blask słonecznych promieni. Musiałam zemdleć.

Biorę się w garść, oblizuję usta.

— Gdzie my w ogóle jesteśmy? — pytam.

Nie odpowiada, przygląda się.

— Kto to był? — nie odpuszczam. Chcę wiedzieć, co się tutaj dzieje. — Jeszcze zwolnią mnie z pracy, a przeze mnie i ty wylecisz.

Robert prostuje się, jego wzrok się zmienia, ale nie wiem, czego mam w nim szukać. Złości czy żalu za to, co się wydarzyło. Przybiera gniewną minę i wychodzi z pokoju.

Zostaję sama, bijąc się z myślami, co mogło się wydarzyć. Czego chcą ci ludzie? Może to był tylko rabunek? Nie,

to niemożliwe, jeden z nich miał zdjęcie. Oni szukali konkretnej osoby. Tylko po co?

Po dłuższej chwili Robert wraca, podaje mi szklankę wody. Zerkam na niego niepewnie. Nie jestem do końca przekonana, czy mogę zaufać komuś, kogo ledwie znam. Nic nie mówi, tylko czeka. Zabieram z jego rąk szklankę i piję w milczeniu. Jego spojrzenie mnie peszy, ale nie daję za wygraną. Odkładam puste naczynie na stolik przy łóżku. Robert wychodzi z pokoju.

Jestem senna, czuję obolałe mięśnie przy każdym ruchu, tak jak po treningu. Obracam się na prawy bok i przyciągam do siebie kolana. Miałam już kiedyś zakwasy, chciałam wtedy rzucić kilka kilogramów przed rozmową o pracę. Dało mi to więcej bólu niż pożytku. Przez tygodniowy jogging nabawiłam się kontuzji kolana. Teraz odzywa się co jakiś czas, gdy za bardzo je przeforsuję. Wtulam głowę w poduszkę i rozluźniam się. Przed zaśnięciem dostrzegam, jak Robert rozpala ogień w kominku. To chyba stary dom. Pachnie tu drewnem.

Biegnę długim korytarzem, z betonowych ścian łuszczy się wyblakła, żółtawa farba. Jarzeniówki w zielonym kolorze migoczą krótkim, natarczywym światłem. Nie wiem, gdzie jest mój cel, słyszę tylko trzaskające drzwi za moimi plecami. Biegnę dalej, zerkając co chwilę za siebie, ale trzaski się nie oddalają. Wzbierają na sile. Są coraz głośniejsze i potężniejsze. Jak długie są korytarze? Przecież nie mogą ciągnąć się w nieskończoność.

— Pomocy! — wołam, ale nikt nie odpowiada. Nagle czuję mocny ucisk na ramieniu, a zaraz potem zniewalający ból. Patrząc napastnikowi w oczy. Przecież to on... Przecież to on...!

— To ty!?! — Coraz większy ból dźga uparcie moje ramię i promieniuje w górę, zaciskając gardło. Usiłuję się wyrwać, ale ogromna dłoń mocno mnie przytrzymuje. Długie szpony pokryte czarną mazią wbijają się, przebijając skórę. Zielony rękaw koszulki pokrywa plama krwi, która powiększa się z każdą sekundą. Jestem przerażona. Chcę krzyknąć, ale głos ugrzązł w gardle. Strach pożera moje trzewia, wierci od wewnątrz, przechodząc do krtani. Nie potrafię się ruszyć z miejsca. Przedemną na podłodze widzę smukły, długi cień. Czy to śmierć po mnie przyszła?

— Elia... — słyszę beznamiętny szept. — Elia!

Nagle serce przestaje bić.

— Elia, obudź się!

Robert mną potrząsa. Patrzy mi w oczy, jego twarz nie zdradza żadnych emocji.

Łapię oddech i podnoszę się, by zobaczyć, gdzie jestem. Dwa horrory w jednym śnie? Niestety nie, jeden z nich to rzeczywistość. Spoglądam na Roberta. Przepełniona koszulka przykleja mi się do ciała.

— Długo spałam? — Przecieram dłonią zapaconą twarz.

— Jakies dwie doby — odpowiada i puszcza moje ramię. — Może troszkę dłużej. — Lewy kącik jego ust unosi się.

— Kurde, coś ty mi dosypał do tej wody? — Wpatruję się w niego ze wściekłością, oczekując odpowiedzi.

— Za dużo gadasz, więc dostałaś trochę środka nasennego. — Uśmiecha się.

Widzę, że sprawia mu to ogromną przyjemność. Wstaję, łapię go za nadgarstek i przyciągam do siebie.

— To wcale nie jest zabawne! — krzyczę. Robert zbliża swoją twarz do mojej, dzielą nas zaledwie milimetry. Zaciskam zęby

i puszczam jego rękę. Nie powinnam igrać z losem, a tym bardziej z kimś, kogo ledwie znam.

— Mnie to wcale nie bawi. Lepiej doprowadź się do porządku, bo musimy stąd wyjechać i to zaraz!

Jego rozwścieczona twarz sprawia, że mój mózg przytomnieje.

— A nie możemy zostać dłużej? — pytam. — Nie za dobrze się czuję...

— To nie mój dom. — Odsuwa swoją twarz od mojej. — Powiedzmy, że się tu włamałem, więc nie... Nie możemy tu dłużej zostać — dodaje i odchodzi.

Nagły skurcz w podbrzuszu niesie ze sobą fatalne samopoczucie. Proszki wywołują okropny ból żołądka. Fale gorąca powodują zawroty głowy. Błagalnym spojrzeniem pytam o toaletę. Robert chyba dobrze wie, jak działa ten środek, bo od razu wskazuje drogę.

Wchodzę do ciasnej łazienki, na szczęście skurcz ustępuje.

— Dobrze, że jest prysznic. — Spoglądam na opatrunek. — Chyba trzeba umyć tę zaropiałą ranę.

Zdejmuję moją ulubioną bluzkę na ramiączkach. Dostrzegam, że jestem w samych majtkach. Co się stało z moimi spodniami i resztą rzeczy? Na całej prawej stronie zielonej koszulki zauważam ciemna plamę. Wygląda na zaschniętą krew. Nogę również pokrywa w paru miejscach czerwona, zaschnięta maź. Mogę się domyślić, w jakim stanie są moje ubrania. Usiłuję wyszorować plamę, ale nadaremnie. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że krwi nie da się zmyć z ubrań. Odsączam porządnie wodę i rozwieszam ją na rozgrzany grzejnik, aby wyschła.

Pospiesznie biorę gorącą kąpiel. Zaciskając zęby, ostrożnie obmywam ramię. Strużka krwi spływa po skórze, sącząc się na moją stopę. Staram się złapać miarowy oddech i skupić na czymś innym niż na przeszywającym bólu. Gorąca woda nie jest jego sprzymierzeńcem, ale nie znoszę zimnej kąpeli. Przykładam mały ręcznik do rany, delikatnie tamuję krew.

Wychodzę naga, sprawdzając wzrokiem, czy nie ma w pobliżu Roberta. Niezdarnie wkładam na siebie ubrania, które zastaję na łóżku po wyjściu z łazienki. Są męskie, to fakt, ale trudno. Naciągam jeszcze wilgotną bluzkę. Podwijam przydługie nogawki spodni i przewiążuję w pasie koszulę, by nie spadły z bioder. Zaplatam warkocz na mokrych włosach. Robert, nie pytając, wchodzi do pokoju, chwytając moje ramię i zakłada nowy opatrunek.

— Przepraszam za tego żółtodzioba — odpalam pełną skruchy.

Podnoszę spojrzenie i skupiam się na drewnianej komodzie, by odciągnąć myśli krążące wokół krwi. Wtedy mniej boli. Po chwili, gdy zakrywa ranę gazą, wracam spojrzeniem na jego twarz, na której maluje się zdziwienie. Brwi ma uniesione, wykrzywione niczym banany. Po chwili marszczy krzaczaste brwi, które nagle stykają się z krótkimi rzęsami.

— No wiesz, wtedy w biurze... Mam ostatnio niezbyt towarzyski nastrój. Nie chcę między nami nieporozumień — przerywam. — Ile ty w ogóle masz lat? Myślałam, że przydzielą mi kogoś młodego. Nie żebyś był stary, ale...

— Dzięki Elia, nie wiedziałem, że wyglądam tak staro — mówi. — Nie mam czterdziestki na karku, ale dwudziestki

też nie, w zasadzie to tak pomiędzy. I nie jestem zły za tego żółtodzioba, to chyba zresztą bardziej pasuje do ciebie.

Teraz on się śmieje, a ja mrużę oczy, ciskając groźne spojrzenie.

— Ja się bardzo dobrze znam na swojej robocie, gdybyś nie wiedział. Wszystko w tej firmie przechodzi przez moje ręce. I nie jestem żółtodziobem, mam tylko trochę mniej lat od ciebie. Aua... To bolało — syczę z bólu, czując klucie. — I jak wygląda rana? — Bacznie obserwuję ruchy jego dłoni ciasno bandażujących moje ramię.

— Nie za dobrze, ale jest oczyszczona. Potrzeba czasu, żeby się zasklepiła. Masz kilka szwów, to powinno przyspieszyć gojenie.

Bardzo chcę o coś zapytać, ale powstrzymuję się, w końcu niezbyt dobrze się znamy, a ja chyba faktycznie za dużo gadam.

Nagle słyszymy jakiś trzask. Wzdrygam się, zaciskając szczękę. Robert ucisza mnie, przykładając palec do ust. Słyszę powolne kroki przemieszczające się po drewnianym parkiecie. Zmierzają w naszym kierunku. Są w środku, idą po mnie. Wlepiam w niego przerażony wzrok. Chwyta mnie za zdrowe ramię i wpycha do włazu ukrytego w podłodze tuż obok łóżka, pod perskim dywanem. Dom nie jest podpiwniczony, otwór prowadzi pod spód drewnianej konstrukcji. Wąskie, małe schodki skrzypią pod naciskiem moich stóp. Mijam nogą jeden stopień, prawie ląduję na tyłku. Podciągam się cicho dłońmi, zapierając o poręcz. Jest ciemno i mokro, w powietrzu unosi się zapach drzew, a w oddali słychać cykające świerszcze. Jeżeli Robert się tu włamał, to skąd wiedział o ukrytym przejściu? Potrząsam głową, to nie czas na bycie prawym człowiekiem i wytykanie komuś kłamstwa. Opieram się plecami o ogromną

drewnianą podpore ̄ tu ̄ obok zej̄scia. Nabieram g ̄boko powietrza i wypuszczam, moje t ̄tno szaleje. Intruzi podchod ̄ bli ̄zej. Robert przyciska mnie do wspornika i okrywa nas czarn ̄ kurtk ̄, by w mroku nie by ̄o nas wida ̄. Szepty nagle cichn ̄. Do uszu dobiegaj ̄ odg ̄osy powolnych, ci ̄ ̄zkich krok ̄w przemieszczaj ̄cych si ̄ ludzi. Nad naszymi g ̄owami rozbrzmiewa d ̄wi ̄k kr ̄tkofal ̄wki. Nie rozumiem, o czym m ̄wi ̄, g ̄os jest zniekszta ̄cony przez grub ̄ warstw ̄ drewna. Okruchy py ̄u z uginaj ̄cych si ̄ desek spadaj ̄ na moje w ̄osy i twarz, laskocz ̄c po nosie. Po chwili obcy nie znalaz ̄szy tego, czego szukali, wychod ̄ i odje ̄dzaj ̄. Œwiat ̄a reflektor ̄w dosi ̄gaj ̄ moich st ̄p. Cofam je gwa ̄townie.

W ko ̄ncu mog ̄ swobodnie zaczerpn ̄c powietrza. Napi ̄te mi ̄ ̄nie rozlu ̄niaj ̄ si ̄, a zm ̄czona g ̄owa opada na jego rami ̄.

— Elia, musimy jecha ̄. Nie mo ̄emy tu d ̄u ̄zej zosta ̄, mog ̄ wr ̄ci ̄ w ka ̄dej chwili.

— Czemu mi pomagasz? — pytam cichym g ̄osem. Ch ̄on ̄ zapach wilgotnego, nocnego powietrza i jego koszulki.

— Bo mnie widzieli, teraz r ̄wnie ̄ i mi mog ̄ paln ̄c w ̄eb. Chod ̄ — pogania, wskazuj ̄c kiwni ̄ciem g ̄owy na wyj̄scie spod domu. — W lesie ukry ̄em samoch ̄d.

Pod ̄ ̄am jego ̄ladem.

— Tamten by ju ̄ raczej nigdzie nie zajecha ̄ — dodaje.

Jest ciemno i cicho. Nie wiem, czy bardziej mam si ̄ ba ̄ lasu, czy swojego towarzysza. Maszerujemy jakie ̄ p ̄l godziny wzd ̄u ̄z udeptanej, grz ̄skiej ̄cie ̄zki. Je ̄eli Robert ukry ̄ tu samoch ̄d, to chyba musi dobrze zna ̄ te tereny. Ch ̄odne powietrze sprawia, ̄e z moich ust wydobywa si ̄ para. Rami ̄ zaczyna doskwiera ̄, tak samo g ̄owa. Ci ̄ ̄ka wilgo ̄c powietrza spowalnia m ̄j oddech, nosem wdycham intensywn ̄ wo ̄ mokrej ̄ci ̄łki i trawy.

Dochodzimy do samochodu. Jest stary, ale najważniejsze, by był sprawny.

— I ten gruchot ma nas gdziekolwiek zawieźć? — patrzę na niego, palcem wskazując na kupę srebrnej, starej blachy gdzieniegdzie dotkliwie nadgryzionej odstręczającą rdzą.

— Wsiadaj mała, damy radę, ale błagam, zapnij ten przeklęty pas. Nie chcę cię mieć na sumieniu.

— Maruda — mówię do siebie półszepem, aby nie usłyszał.

— Nie wiem jak ty, ale ja bym się z chęcią czegoś napił.

— Wyjąłeś mi to z ust, może to uśmierzy ból. — Siadam na miejscu pasażera, zapinam pas, upewniając się, czy klamra utrzyma szarpnięcie.

Robert uważnie przygląda się i czeka, aż będę gotowa. Rusza powoli, przedzierając się przez błotnistą ścieżkę.

— Masz jakiś plan? Może pojedziemy do mojego mieszkania? — W myślach ganię się za zaproszenie prawie nieznanego do siebie.

— Chyba zwariowałaś, Elia! Te proszki ci zaszkodziły.

— Co w tym złego? — odburkuję w jego stronę.

— Jeśli chcesz dostać kulkę w łeb, to proszę bardzo. Widziałaś, co ukrywali pod płaszcami?

Nie odpowiadam, znoszę jego rozwścieczony wzrok. Od początku patrzy na mnie jak na idiotkę, więcej mi dokładać nie trzeba. To były ciężkie trzy dni. Ciekawe, co nas jeszcze czeka.

Las ciągnie się w nieskończoność. Brzask sączy się do kabiny samochodu. Słońce zaczyna wyłaniać się spomiędzy drzew. Szyby stopniowo parują z powodu różnicy temperatur. Spuszczam do połowy okno i wdycham świeże, poranne

powietrze. Mogłabym budzić się tak codziennie. Zapach kwiatów, rześkiego poranka i promieni słońca pobudza umysł do działania. Ten delikatny zapach lawendy chodzi za mną od dzieciństwa. Może to mydło, którym dopiero co myłam się w drewnianej chacie?

Las się kończy, a zaczyna coś w rodzaju pustyni, choć piasek w zasadzie nie jest piaskiem. To czerwona cegła, którą ktoś zmienił w piach. Nie ma tu już budynków. Podobno z tego piasku mają powstać nowe budowle mieszkalne. Wjeżdżamy w strefę nieprzesiedloną. To małe miasteczko zdaje się takie jak centrum, jednak jest w nim coś innego. W przeciwieństwie do kamienic, które znam, te w większości pokrywa bluszcz lub inna zielenina, przez co nie widać w nich szczelin i ubytków. Gdziekolwiek spojrzę, nie ma żywej duszy. Podobają mi się stare uliczki, mają w sobie nieodparty urok. Jedziemy wzdłuż głębokiego pęknięcia w asfalcie. To pewnie te cykliczne, poranne trzęsienia ziemi spowodowały rozejście się powierzchni drogi. Bruzda zdaje się nie być zbyt głęboka, ale samo jej istnienie jest zagrożeniem dla pojazdów lub bawiących się dzieciaków.

Nagle moim oczom ukazuje się ogromny neon przedstawiający tańczącą kobietę, trzymającą w dłoni napis: TINA.

— Czy ty mnie prowadzisz do burdelu? Chcesz sprzedać, wykorzystać, czy w innym celu?

— Chciałabyś... — rzuca krótko. Parkuje samochód tuż przed wejściem do baru. — Jeśli nie idziesz się napić, to poczekaj, tylko nie odchodź daleko.

— Wiesz, chyba wolę zostać tutaj. Takie speluny mnie nie podniecają, w przeciwieństwie do...

— Jak chcesz — przerywa moje tłumaczenie. — W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać — dodaje.

— Cudownie! — Nie chcę wdawać się z nim w dyskusję, już i tak patrzy na mnie jak na kretynkę. Rozsiadam się wygodniej w fotelu i staram się odprężyć ciało.

ON

Przeznaczenie. Choćbyś nie wiem, jak się starał, i tak cię dopadnie.

Rozdrażniony zatrzasnąłem nerwowo drzwi samochodu i wchodziłem do miejscowego, a zarazem jedyne na tym pustkowiu baru. Sam nie jestem fanem takiego typu zbiorowisk pijaczków, ale o tej godzinie nie powinno być tłoku. Miejscowi pracują, jedynie nieszczęśliwi emeryci marnują swój czas na zalewaniu wiecznie spragnionego robaka.

— Co ten babon sobie myśli?! — pytam sam siebie. Popycham nerwowo ciężkie drzwi. — Cześć Tina — rzucam w stronę kobiety za barem i siadam na wysokim stołku. — Polej mi jednego mocnego. Miałem ciężki tydzień. — Wykonuję dwa solidne, okrężne ruchy karku, żeby się rozluźnić. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co zaraz nastąpi. Ciekawość mojej siostry wprowadzi mnie w stan frustracji, gdy zacznie o wszystko wypytywać i wiercić dziurę w mózgu.

— Hej braciszku — uśmiecha się szeroko. — Nie ma problemu. Dla ciebie wszystko. Ćwiczenia ci w głowie?

— To po stłuczce. Naciągnąłem mięsień.

— Znowu motor? — śmieje się kobieta.

— Nie, tym razem samochód. — Unoszę jeden z kącików ust, ukazując małego diabełka czającego się na odpowiednią chwilę, aby odkryć swoje prawdziwe oblicze.

— Jak tam tatuś i jego... sprawy? — pyta zatroskana siostra.

— Wiedziałem — mówię do siebie podenerwowany.

— No co?

— Jeśli cię to tak interesuje, to sama go zapytaj. Mnie nie bardzo obchodzi jego żywot! — odpowiadam oburzony.

— Nie, dzięki, niech sam się bawi w te swoje wojenki. Mnie wystarczy to, co mam. — Tina zatacza ręką łuk, wskazując na bar.

— Tak też myślałem. — Wypijam duszkiem cały trunek, aż uchodzą ze mnie wszelkie złe emocje.

— Widzę, że przyprowadziłeś sobie jakąś panienkę, braciszku? — pyta zaintrygowana, spoglądając przez okno.

— Dowcipna jesteś.

— Jak zawsze. — Uśmiecha się dumnie. — Gdzie ją dorwałeś? Obawiałabym się prostytutki, czy kogoś w tym rodzaju, ale patrząc na jej strój, śmiem w to wątpić.

— Oj, uwierz, że nie. — Wypijam drugiego mocnego szota i całuję Tinę delikatnie w policzek. — Jesteś najlepsza, wiesz?

— Wiem, ale coś mi mówi, że wpakowałeś się w niezłe tarapaty. Mam rację? Czyżby przez panienkę? — Wierci głębiej, stukając palcami o kontuar.

— Może tak, a może nie? Jak tam twój biznes się kręci? — pytam, odwracając uwagę od dziewczyny, chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że zaraz mogę za to oberwać.

— Gdybyś wpadał częściej, to byś wiedział. — Rzuca we mnie ścierką i pokazuje język, zabierając pusty kieliszek.

— Przepraszam, za wiele się ostatnio działo. — Zerkam dyskretnie na stojący za oknem samochód. — Nie miałem czasu.

— Nie tłumacz się, jesteśmy z jednej rodziny. Przecież się nie rozplączę. — Wywraca oczami, wachlując dłonią rozpalone policzki. — Spadaj już, bo dziewczyna się niecierpliwi. Chyba właśnie zdecydowała się wejść.

— Idę do... no wiesz, zaraz wracam. Postaraj się ją zagadać, ale nie wystrasz jej — grożę palcem. — Ona też miała dzisiaj ciężki dzień.

— Dobra, dobra.

PRZYSTANEK

Czekam już ponad kwadrans, moje mięśnie wołają, by je rozciągnąć. Nie wytrzymam tu ani minuty dłużej, ileż można czekać?

— Co za obrzydliwy neon... Dobra, idę!

Wyjmuję kluczyki ze stacyjki i zatrzasnęję skrzypiące drzwi starego samochodu. Rozglądam się, czy nikt przypadkiem mnie nie obserwuje, ale dookoła nadal nie widać żywej duszy. Opustoszała okolica przyprawia mnie o gęsią skórę. Wygląda, jakby tutaj nikt nie mieszkał. Wzdłuż głównej drogi stoją rzędem stare budynki oblepione zielonym futrem z liści. Nie podoba mi się tutaj. Podchodzę do drzwi. Na sam dotyk lodowatej stalowej klamki przechodzą mnie dreszcze. Jakoś wolę swój ulubiony bar. Nie przywykłam do innych miejsc niż przytulny zakątek u Matta. Wchodzę do środka, na twarz wpada gęsty papierosowy dym zawieszony w powietrzu, wdziera się do moich płuc niczym drapieżca. Zaczyna mnie łaskotać w gardle, z trudem powstrzymuję odruch kaszlu. Wszyscy patrzą na mnie, jakby w życiu kobiety nie widzieli. Zatłoczone pomieszczenie wskazuje, że interes kręci się całkiem nieźle. Średnia wieku przekracza grubo ponad pięćdziesiątkę. Zimne wnętrze powoduje u człowieka chandrę, co z kolei przekłada się na ilość wlewanego w siebie alkoholu. Ściany pokryte imitacją beżowych cegiełek rozjaśniają je, kontrastując z czarnymi kutymi stolikami

i ławami. Wysokie hokery ze skórzanymi siedziskami zapraszają do lady.

— Cześć, był tu może Robert? Czekałam na niego w... — wskazuję dłonią na samochód stojący za oknem.

— Robert? A to dowcip, może być. Poszedł do klopa — oznajmia. — Jestem Tina, jego siostra, a ty? — Przerywa mi barmanka.

— Siostra? — pytam.

Faktycznie, rysy twarzy tej wysokiej, szczupłej brunetki z kolorowymi pasmami włosów i gdzieniegdzie splecionymi cieniutkimi warkoczami są bardzo podobne do mojego towarzysza. Tylko oczy są innego koloru. Jej brązowe ślepia bacznie mnie obserwują.

— Nie chwalił się, że ta Tina z neonu to jego siostra. Szczerze mówiąc, nie znam go długo. Dopiero co przyszedł zastąpić moją koleżankę w pracy.

Wodzę dyskretnie wzrokiem po pomieszczeniu, oczy mężczyzn patrzą w naszym kierunku. Speszona wracam spojrzeniem na kobietę, czuję się nieswojo.

— Mam na imię Elia. — Wyciągam w jej stronę dłoń, aby nie wyjść na osobę niecywilizowaną.

— Elia? Ta Elia? Nie wiedziałam, że to ty! — Tina patrzy na mnie z niedowierzaniem. Nagle nachyla się do mojego ucha, jakby nie chciała, aby inni ją usłyszeli, choć oni z zaciekawieniem patrzą na nasze twarze.

— Sprawdziłaś już paczuszkę? — szepcze.

— Paczuszkę?

— Tak, w kurtce miałaś mieć małą paczuszkę. Poszukaj i sprawdź, a najlepiej teraz wyjdź i schowaj się gdzieś, gdzie będziesz mogła ją odpakować. Pamiętaj! — Grozi palcem. —

Nie ufaj nikomu, tutaj każdy potrafi dobrze grać kogoś, kim naprawdę nie jest. — Kiwa głową w stronę grupki mężczyzn siedzących na skórzanej, czarnej kanapie w rogu.

Patrzę na nią zdezorientowana, a zarazem zaciekawiona. Wszystkie oczy cały czas skierowane są na mnie. Czuję, że jeśli zaraz się stąd nie wydostanę, będą kłopoty. Trzeba się ewakuować. Nie daję po sobie poznać zdenerwowania, wychodzę powoli, ale za drzwiami baru zaczynam uciekać. Szybki marsz po chwili przeradza się w trucht. Biegnę w stronę samochodu. Spoglądam przez ramię i widzę, jak Robert wybiega.

— Elia, stój! — woła podminowany.

Zaczyna mnie doganiać. Docieram do samochodu. Wsiadam, siłuję się z drzwiami, żeby je zamknąć. Pospiesznie wciskam pedał gazu, koła zaczynają buksować. Po chwili odjeżdżam zdenerwowana. Nagle przed maskę niespodziewanie wyjeżdża mi samochód. Hamuję gwałtownie. Moja głupota omal nie kończy się katastrofą. Spocone dłonie ślizgają się na kierownicy. Siedzę zszokowana w bezruchu, dopóki nie słyszę za sobą krzyków. Chcę wysiąść, ale Robert mnie uprzedza, otwiera drzwi samochodu, chwytając w pasie i powoli wyciąga.

— Co ty do cholery wyprawiasz!?! — krzyczy. Złość wylewa się na twarz. Jego poważna mina powoduje we mnie strach.

— Puszczaj! — warczę, starając się wyszarpać.

— Oszalałaś!?

— Puszczaj, mówię! — Szarpię się.

— Zabijesz się! Co cię opętało?

— Muszę wrócić do tego domku, zostawiłam tam coś ważnego! — Patrzę na drogę za jego plecami.

— Ty chyba nie jesteś zdrowa na umyśle! Chcesz, żeby nas złapali!?

Wypuszcza mnie z uścisku.

— Może i nie jestem, ale coś tam zostawiłam. — Obracam twarz w jego stronę. — Twoja siostra... Zaraz, skąd ona mnie w ogóle zna?

— Wydaje ci się...

— Akurat!

Popycha mnie na drugą stronę samochodu.

— Wsiadaj, zakradniemy się tam, ale później. Jedziemy, jestem diabelsko zmęczony. W przeciwieństwie do ciebie nie spałem od dwóch dni!

— Dobra, nie wrzeszcz, nie musisz jechać ze mną. Sama sobie poradzę!

— Na pewno... Tak jak teraz to pokazałaś? Wsiadaj!

Jego oczy ciemnieją od złości. Nie widziałam go wcześniej tak rozwścieczonego. Widzę, jak nabiera powietrze do płuc i powoli je wypuszcza. Siadam, drzwi samochodu nie chcą się zamknąć. Trzaskam nimi drugi raz, za trzecim zamykają się. Jego zaciśnięta szczeka rozluźnia się tak samo, jak napięte mięśnie na karku. Rusza. Milczy skupiony na jeździe.

Przemierzamy tę samą drogę, którą przyjechaliśmy. Dopiero teraz odnajduję wzrokiem schowane w ziemi po obu stronach drogi betonowe włazy. Przysypane czerwonym piachem nie zwracają na siebie uwagi, może to pozostałości po wyburzonych budynkach?

— Czego szukamy? — jego ton jest łagodniejszy.

— Mojej kurtki — odpowiadam krótko, nie chcąc wdawać się w dyskusję.

Robert nagle hamuje, moja głowa o mało co nie ląduje na desce rozdzielczej. Gdyby nie dłonie, którymi się podparłam, zaliczyłabym kolejnego guza.

— Po pierwsze, mówiłem, żebyś zapinała ten cholerny pas, bo cię nim tak zwiążę, że się już z niego nie oswobodzisz!

Ze złością na twarzy szarpie wściekle mój pas i zapina klamrę, powodując przy tym ponowny ból ramienia.

— Po drugie, chyba postradałaś zmysły. Dobrze słyszałem, że chcesz wrócić po kurtkę?

— Yyy... no tak. — Przetykam ślinę.

— A mogę zapytać, po co ci ta przeklęta, zniszczona kurtka? — draży niecierpliwie.

Mierzy mnie tymi swoimi zielonymi, wściekłymi ślepiami, jakby miał mnie zaraz udusić. Tina mówiła, że mam nikomu nie ufać, ale w sumie to jej brat.

— Wytlumaczysz, czy będziesz tak siedzieć? — dodaje.

— Twoja siostra pytała, czy znalazłam już jakąś paczkę. Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Mówiła, że muszę ją mieć. Pamiętam, jak parę dni temu szturchnął mnie w sklepie jakiś starzec i być może coś mi podrzucił do kurtki. — Nie patrzę na niego, nie chcę widzieć jego złości. — Pewnie tego szukało tych dwóch mężczyzn z delikatesów. Ja naprawdę muszę zobaczyć, co tam jest. Tina mówiła, że bym nikomu nie ufała.

— Tina? No pięknie. A Tina to co, jakiś jasnowidz? Nieważne, mogłaś od razu mówić, kurtka jest w bagażniku razem z resztą twoich rzeczy.

Widzę, jak napięcie odplywa z jego ciała. W jednym momencie wypuszcza skumulowane powietrze z płuc, ciągnie za drążek zmiany biegów i kieruje samochód z powrotem na trasę, wyduszając z niego maksymalną prędkość.

— Przepraszam bardzo — odwracam twarz w jego stronę. — Czy ty mi w ogóle mówiłeś, czym się tak naprawdę zajmujesz?

Przyszedłeś tylko na zastępstwo, ale widzę, że opryskliwy z siebie facet.

— Odezwała się... Dobra. Jedziemy w bezpieczne miejsce, ale inną trasą. O tej porze dnia mogą zaobserwować nagły ruch na drodze. Elia, ja cię proszę tylko o jedno: do celu mamy godzinę jazdy. Z łaski swojej zamknij tę swoją piękną buźkę, bo zakleję ci ją taśmą.

— No dobra marudo, to ja się zdrzemnę, a ty się męcz.

Wiercę się w niewygodnym fotelu, ramię zaczyna dawać się we znaki. Nie chcę tego robić, ale muszę.

— Robert... — zaczynam.

— Znowu będziesz trajkotać?

— Nie. To nie to. Mam małą prośbę. — Patrzę na niego skruszona.

— Jaką?

— Masz może jeszcze to cudowne lekarstwo na ból? Nie wiem, czy najpierw rozerwie mi czaszkę, czy ramię.

— Jest w schowku — wskazuje palcem. — Zielona, papierowa saszetka. Wsyp proszek do butelki z wodą, którą masz pod siedzeniem. Potrząśnij, żeby się rozpuścił i wypij. Na zdrowie. Tylko z tym nie przesadzaj. — Zerka z powagą. — Nie ma czasu na następne kilkudniowe drzemki — warczy, po czym skupia się na jeździe.

Przemierzamy trasę bocznymi ścieżkami, unikając głównych dróg, by nikt nas nie nakrył. Lekarstwo jest na tyle mocne, że droga zdaje się migotać, coś w stylu „pojawiam się i znikam”, ptak leci i na ułamek sekundy znika. Musi być na bazie opium albo innego narkotyku, faktycznie za wiele nie można zażywać. Halucynacje są inspirujące, ale do pewnego momentu — dopóki się ich nie boisz. Na szczęście moje

przywidzenia nie trwają długo. Zmęczenie bierze górę, świadomość daje za wygraną i, nie wiedząc w którym momencie, odpływam.

KRYJÓWKA

Sen to najlepsze lekarstwo na moralnego kaca, tylko po przebudzeniu pozostaje gorzki posmak.

Budzi mnie trzask zamykanych drzwi samochodu, ale jestem tak bardzo nieprzytomna, że nie potrafię wstać o własnych siłach. Po ręce spływa strużka krwi, jeden ze szwów musiał puścić. Za szybą samochodu widzę jakieś jasne światła. Szczypię się w udo, aby się ocknąć. Dopiero po paru próbach udaje mi się rozbudzić, chociaż nadal jestem zbyt zamroczona, by trzeźwo myśleć. Słyszę, jak Robert krząta się obok. Otwiera drzwi z mojej strony.

— Chodź, zaniosę cię do łóżka. Ta dawka zdecydowanie jest dla ciebie za mocna. — Nachyla się w moją stronę i odpina pas. Prawą rękę wsuwa pod kolana, a lewą łapie pod pachą i bierze mnie na ręce. — Ale przynajmniej przestaniesz kłapać językiem.

Ledwo udaje mi się objąć jego kark dłońmi. Czuję, jak moje ciało wiotczeje.

— Bierz, co chcesz... — szepczę i odlatuję.

Kroki. To te kroki. Biegnę szarym korytarzem. Wokół migoczą zielone światła, a z oddali dobiega szybki stukot obcasów. Czyjeś nagłe krzyki i gwizdy powodują narastającą panikę. Jest ich coraz więcej, zmierzają w moim kierunku. Słyszę głośny trzask zamykanych z impetem drzwi. Na posadzce leży

rozbite szkło. Biegnę dalej korytarzem, światła nagle zaczynają gasnąć za moimi plecami, jedno po drugim. Tunel robi się węższy. Nie wiem, jak zdołam się z niego wydostać. Jestem drobna, może się precisnę. Ktoś chwytą mnie za ramię i szarpie. Odwracam się, by spojrzeć, kim jest, ale nikogo nie widzę. Głosy się zbliżają. Zaczynają mnie otaczać. Zamykam z przerażeniem oczy. Nagle ktoś szarpie mnie za drugie ramię, odwracam głowę, unosząc wzrok.

— To ty? — pytam.

Budzę się zdyszana i mokra, po szyi spływają krople potu.

— To tylko sen, to tylko sen, uspokój serce — mówię. Po chwili dochodzę do siebie, zastanawiając się, gdzie jestem. Wzrokiem badam przestronny pokój w całości osnuty nieskazitelną bielą. To dom Roberta...

Leżę na ogromnym, okrągłym łóżku. Jest na nim tyle miejsca, że z łatwością można się w nim zgubić. Aksamitna, miła w dotyku kremowa pościel otula moje ciało. Jakby ktoś uszczknął dla mnie kawałek pierzastej chmury z nieba. To pewnie tutaj Robert przyprawdza swoje kochanki — na samą myśl uśmiecham się do siebie. Po chwili zachwytu przytomnieję. Zerkam powoli pod pierzynę.

„No ładnie, Elio. Ciekawe, kto ci to założył?” — karczę się w duchu. Moje wcześniejsze ubranie zniknęło. Satynowa, blad różowa koszula nocna na delikatnych koronkowych ramiączkach okrywa nagą skórę. W odbiciu lustra stojącego na wprost łóżka dostrzegam wewnątrz łazienki. Znajduje się w którymś z sąsiednich pomieszczeń. Łapię pierzynę i zakrywam się nią po same uszy.

— Hej mała! Widzę, że się wyspałaś. Wiesz, jeszcze nie miałem u siebie takiego śpiocha, jak ty. Jesteś

z gatunku niedźwiedzi? Zasypiasz na zimę, czy coś w tym rodzaju?

— Powiedzmy, że można tak to nazwać. — Przeciagam się powoli. Nigdy nie leżałam na tak wygodnym materacu. Jego struktura idealnie dopasowuje się do kształtu ciała, odciążając obolałe mięśnie.

— Pozwoliłem sobie ustawić w ten sposób lustro, żeby mieć cię na oku na wypadek kolejnych koszmarów.

Jego głos dochodzi z któregoś z pokoi.

— Koszmarów? To chyba po tym twoim tajemniczym proszku w saszetce. Na mnie mówisz ćpun, a sam masz tego od groma.

— Słyszałaś kiedyś o świadomym śnie?

— Świadomym śnie? Chodzi ci o kontrolę podczas snu?

— Tak.

— Myślałam, że to bujdy. — Rozprostowuję zdrową rękę nad głową i zsuwam nieco niżej na łóżku. Wlepiam spojrzenie w śmietanowy sufit.

— Przeciwnie, można się tego nauczyć.

— Jak?

— Gdy tylko zdasz sobie sprawę z tego, gdzie się znajdujesz, będziesz miała nad nim pełną kontrolę.

— I co niby miałabym robić?

— We śnie możesz nie tylko kreować swoje marzenie senne, ale i odgonić gnębiące cię koszmary. Umysł człowieka jest bezdennym skarbcem nieodgadnionego naczynia. Skrywa ogrom tajemnic. Tylko ty możesz odczytać to, co znajduje się w twoim.

— To by mi wiele pomogło, tylko jak się tego nauczyć?

— Są sprawdzone techniki, ale na sam początek polecam relaks i skupienie się na urzeczywistnieniu w umyśle kolorowych scenerii. Reszta sama przyjdzie z czasem. A gdy twój umysł

będzie gotowy, będziesz w stanie rozróżnić podczas snu, że to nie jest rzeczywistość.

Błądząc wzrokiem po pokoju, w lustrze zauważam, że Robert znajduje się w łazience, grzebie w szafce zawieszanej nad umywalką. Wokół pasa ma owinięty biały ręcznik sięgający przed kolana. Jest wysoki, ma dosyć dobrze zarysowane mięśnie, które ukazują swoje atuty przy każdym, nawet najmniejszym ruchu. Mokre i zmierzwione od tarłoszenia ręcznikiem włosy sterczą niesfornie na różne strony. W powietrzu unosi się charakterystyczna woń lawendy. To nią tak pięknie pachniało w jego samochodzie.

— O tak... — wzdycham i zaciągam się tym wspaniałym zapachem jak narkoman. Mogłabym się tak budzić każdego ranka.

— Co jest? Nigdy nie widziałas nagiego mężczyzny? — śmieje się Robert.

Ze wstydu chowam głowę pod kołdrę i udaję, że chcę jeszcze odpocząć.

— Dobra mała, nie ściemniaj mi, że będziesz dalej spać. Pokaż mi to twoje ramię, bo na głowę to już chyba nikt ci nie pomoże.

Zsuwam kołdrę poniżej nosa. Widzę, jak się uśmiecha, po czym znika w głąb łazienki. Wychodzi ubrany w dżinsowe spodnie z nagim torsem i mokrymi włosami. Rzuca we mnie rulonem bandażu i paczką gazy.

— A tak przy okazji — zaczynam, poprawiając poduszkę pod głowę — te ładne łaszki... Pomijając, że są od kochanki... To kto mi je założył? Kompletnie nie pamiętam, co się działo.

Robert otwiera białą saszetkę i odkłada na nocny stolik. Przypatruje się przez chwilę z lekko uniesioną brwią, chrząkając

przy tym wymownie.

— To nie ja — zaprzecza z podniesionymi rękami. — Sama się przebrałaś, mnie w to nie mieszaj i wyjdź już z tego łóżka. Ileż można leżeć?!

Wstaję i przechodzę koło niego. Boso jestem jeszcze niższa i muszę zadzierać brodę, by na niego spojrzeć.

— Wiesz co Robert, mam kumpla, który szuka związku. Może was spiknąć? — odpalam.

Chcę iść dalej, ale łapie mnie w pasie i przypiera do ściany, w szoku patrzę na jego rozwścieczoną twarz. Jedną dłonią łapie moją brodę, zadzierając ją do góry i zmuszając, bym patrzyła mu w oczy, drugą obejmuje biodro. Jego napierające ciało przytrzymuje mnie w bezruchu. Gorący dreszcz biegnie od serca w dół, ściska mnie w żołądku. Twarz ma blisko, widzę dokładnie jego czarne źrenice i każdą najmniejszą zmarszczkę na twarzy. Wstrzymuję oddech.

— Elia, nie przeginaj! Nie znasz mnie i nie szukaj struny, której nie powinnaś szarpać, każdy ma jakąś granicę. Nie jestem gejem i albo mi uwierzysz, albo mogę ci to zaraz udowodnić. Więc jak?

Kolejne dreszcze przechodzą przez moje ciało, jeden po drugim. Po chwili gorąc ustaje, a na jego miejsce pojawia się wrażenie chłodu, zaczynające się w palcach stóp, biegnące po łydkach, kolanach, udach i coraz to wyżej. Bosa wspinam się, z trudem utrzymując równowagę. Nagle czuję ostre, przeszywające ukłucie w barku, a po chwili na szyi.

— Boli — syczę i zaciskam oczy.

— Wierzę, przepraszam.

— Co to było, co mi wstrzyknąłeś? — Spoglądam na małą strzykawkę z metalowym ostrzem igły.

Robert nie zdejmując ze mnie wzroku, zaciska zęby, puszcza moje ramię i opiera się o przeciwległą ścianę. Krzyżuje ramiona na piersi i przybiera poważny wyraz twarzy.

— Zastrzyk. Taki, po którym nie będziesz spała jak niemowlę. — Przygląda się uważnie.

— Dlaczego tak patrzysz? — Rozcieram dłonią miejsce ukłucia na karku. Czuję, jak coś pękło we mnie, w środku. Dostałam za swoje.

— Pyskata jesteś, wiesz? Lepiej uważaj, co mówisz, bo ktoś może mieć mniej cierpliwości niż ja i skróci ci ten jęzor — warczy, obserwując uważnie moją twarz. — Teraz pokaż, co chciałaś odzyskać ze swojej kurtki. Im prędzej się tego dowiemy, tym szybciej będziemy mogli się rozejść. Każdy w swoją stronę.

Wkłada dłonie do kieszeni dżinsowych spodni. Schodząc po schodach, rzuca przez ramię, nie patrząc w moją stronę:

— Pysznic jest wolny, na szafce leżą ubrania. — Mrużąc oczy, mierzy wzrokiem moją sylwetkę. — Przypuszczam, że będą pasowały, przynajmniej na jakiś czas. Idę zrobić grzanki, a ty się doprowadź do porządku.

ROZEJM

Przestronna łazienka wygląda jak mój największy pokój, takiego luksusu pozazdrościłaby sama Kleopatra. Tutaj również wszystko utrzymane jest w białej tonacji. Ta nieskazitelna czystość zaczyna mnie przerażać. Zdejmuję koszulę nocną i wchodzę do kabiny prysznicowej. Biorę długą, odprężającą kąpiel. Zapach lawendy koi moje zszargane nerwy.

Ubrania są trochę za duże, ale podwinięte rękawy nie przeszkadzają. Uwielbiam koszulę w kratę. Przyjemny, flanelowy materiał nie drapie skóry. Przecierając wiszące na ścianie zaparowane lustro, nie poznaję samej siebie.

— Muszę wziąć się w garść, to wszystko za długo trwa — mówię, patrząc na swoje odbicie.

Cała prawa skroń przybiera różnorakie barwy. W tej palecie można by znaleźć nowe odcienie. Łuk brwiowy powoli się zasklepia. Blizna nie powinna być widoczna, pewnie przykryją ją małe, ciemne włoski. Ramię wygląda paskudnie, tutaj na pewno zostanie ślad. Staram się jakoś opatrzyć ranę, ale niezbyt dobrze mi to wychodzi. Przytrzymuję w zębach koniec bandaża, aby rulonem zawinąć ramię, ale ten zsuwa się co jakiś czas. Jeszcze parę nieudanych prób, a z nerwów cisnę opatrunkiem do kosza. Oczywiście w szkole uczyli nas bandażowania, ale nikt nie pokazał, jak to robić na sobie. Po wielu próbach udaje mi się okiełznać kawałek materiału i zapiąć klipsem, zabezpieczając od zsunięcia się.

W poszukiwaniu kuchni przechodzę przez wiele pomieszczeń, wszystkie są ogromne i przestronne. Jasne barwy czynią to miejsce bardzo spokojnym. Nie jestem przekonana o użyteczności tylu pomieszczeń dla jednej osoby. Jedna sypialnia, kuchnia, łazienka i gabinet w zupełności by wystarczył. Reszta jest zbędna, nie służy niczemu pożytecznemu, raczej zaleganiu warstwy kurzu w każdym zakamarku. Rozpoznaję również dużo elektroniki, także takiej, jaką sama się zajmuję.

— Idziesz? Zaraz wystygnie.

Słyszę głos z dolnego piętra.

— Tak, już... — Schodząc po szklanych stopniach, wyczuwam w powietrzu mój ulubiony narkotyk.

— Rozumiem, że skusisz się na kawę?

— Nie odmówię.

— Co, teraz będziesz niemową? Chyba się nie przestraszyłaś?

Spoglądam na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zresztą miał rację, po co się wdawać w takie dyskusje, jeżeli mamy rozwiązać problem i zapomnieć o tym, co się stało? Nie warto chyba wchodzić w szczegóły naszego życia, skoro każdy pójdzie w swoją stronę, nie odwracając się za siebie.

— Dobra, posłuchaj. Przepraszam za to, co zdarzyło się na górze, ale jestem zmęczony i nie mam nastroju do żartów. Siadaj, zjedz i napij się, a potem zobaczymy to twoje cacko.

— Nie ma sprawy. Oddam wszystko za kawę i... ja też przepraszam — mruczę cicho. Przygryzam dolną wargę ze spuszczonego wzrokiem, jak dziecko, które przyłapano na psotach.

— Wiesz, takie deklaracje lepiej zachowaj dla siebie, bo istnieją na tym świecie ludzie skłonni wykorzystać twoją słabość. — Przykłada filizankę do ust.

Rozsiadam się naprzeciw Roberta przy kuchennej wyspie i skruszona posłusznie zjadam parę tostów, popijając je kawą.

— Nie jestem zbyt towarzyska, gdy już rozmawiam z drugą osobą, to zaczyna mi odbijać. Po prostu nie wiem, jak prowadzić konwersację z kimś innym niż ja. — Staram się wyjaśnić, chociaż wydaje mi się, że zagmatwałam to jeszcze bardziej.

— Chodzi ci o to, że nie potrafisz rozmawiać z facetem?

— Chyba tak. Znaczy się... — Nie wiedząc, jak wytłumaczyć, pochłaniam jeszcze jeden tost, szukając wzrokiem czegoś, co mogłoby posłużyć na zmianę tematu.

— Pewnie jedyny facet, z jakim masz do czynienia to właśnie gej. Mam rację? — drąży głębiej, wiercąc w moim mózgu dziurę. — Stąd ten osąd o mojej orientacji.

— Może — odpowiadam. — Nie licz na triumf, nie przyznam się przecież do swojej porażki.

— Nie o to mi chodziło, zresztą... To nie jest istotne. — Opiera lewy łokieć o blat, nachylając się nad stołem.

— Nigdy nie czułam się swobodnie w kontaktach z mężczyznami. Wychowywała mnie matka. To ona była moim wzorem i najlepszą przyjaciółką — tłumaczę.

— Ciężko jest się przystosować do otoczenia, jeżeli czerpało się wzorce osobowe tylko od jednej płci. To nie ujmuje niczym takiej osobie, nawet staje się bardziej atrakcyjna, inna niż reszta.

— Masz do czynienia z psychologią czy ze mną flirtujesz? — Uśmiecham się.

— Nie lubię psychologii, chociaż moja siostra często poddaje ocenie innych ludzi według ich zachowania.

— Tina?

— Tak. Mam jedną siostrę. Uwierz, że to wystarczy.

— A dziewczyna? Masz jakąś? — Nagle poczułam, jak moje policzki oblewają się czerwienią. I po co mi było takie pytanie?

— Widzisz tutaj jakąś oprócz ciebie?

— Fakt. — Teraz do reszty nie wiem gdzie schować głowę, by nie zdradzić swojego wstydu.

— Przyniosłem twoją kurtkę. Leży w salonie. — Wskazuje kiwnięciem głowy pokój za moimi plecami, po czym wstaje i mija mnie.

Biorę kubek i podążam za nim do ogromnego pomieszczenia. Tutaj jest całkiem inaczej niż w pozostałych pokojach. Ściany są ciemne, grafitowe. Drewnianą, hebanową podłogę w paru miejscach przykrywa futro jakiegoś dzikiego, wielkiego zwierzęcia. Ogromny rozpalony kominek oświetla całe wnętrze. Czarna, skórzana sofa mieni się falującymi cieniami malowanymi przez światło ognia. Siadam na skraju, nie chcę wchodzić mu w paradę. Wystarczająco już mi pomógł, choć wcale nie musiał tego robić. Chwytam kurtkę i przeszukuję po kolei kieszenie.

— Jest! — Rozrywam szary papier, w jego wnętrzu znajduje się mały elektroniczny przedmiot. Oglądam urządzenie z każdej strony. — Interesujące...

— Dlaczego?

— Ten symbol, znam go. — Pokazuję mu palcem. — Dwie srebrne nici splecione ze sobą. Dostałam instrukcje z góry, aby od razu ich zawiadomić, jeśli znajdę takie urządzenie. Wygląda to na jakiś moduł pamięci starej klasy.

— Też tak myślę. Możemy go odpalić?

— Niestety, jedyny czytnik, o jakim wiem, zdolny otworzyć zawartość tego typu urządzenia, znajduje się w naszym biurze.

Szczerze wątpię, żeby mnie tam teraz wpuścili, zresztą ciebie tym bardziej. Ja zapewne straciłam już pracę. A z tego, co widzę, to ty wcale jej nie potrzebujesz. — Mierzę go pytającym wzrokiem, ale on nie daje się sprowokować.

— No to się tam zakradniemy. Trzeba się dowiedzieć, za co chcieli cię zabić.

— A może lepiej im to oddać, może nic nam nie zrobią?

— Chyba mama opowiadała ci za dużo bajek na dobranoc. Jeśli się nie mylę, biurowiec zamykają przed północą. Wtedy kręci się tam tylko jeden strażnik. Z łatwością ominiemy blokady. — Patrzy na zegarek na swoim przegubie. — Mamy cztery godziny.

— Ty mówisz poważnie... Ale jak to zrobimy?

— Nie możemy używać żadnych kart dostępu, bo pewnie od razu włączyłby się alarm. — Uśmiecha się tajemniczo. — Jestem dobrej myśli... Bez problemu powinienem włamać się do systemu zabezpieczeń.

— Super. — Udaję, że podskakuję z radości.

— Elia — zaczyna powoli, bacznie obserwując. — Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, w jakiej korporacji pracujesz. Za posiadanie tego urządzenia będą cię ścigać tak długo, aż go nie odzyskają. To nie jest zwykła instytucja sprzątająca po całym tym burdelu — impulsie.

Przypatruje się nadal mojej twarzy, jakby czekał na reakcję.

— Poniekąd jest — protestuję.

— Wiem, że dobra z ciebie osoba, ale to nie wystarczy. Oni mają w dupie to, kim jesteś i co robisz. Nie interesuje ich, czy komuś coś powiesz, czy będziesz siedzieć cicho. To jest główna siedziba korporacji Daniela Lloyda, a jeżeli on coś chce, to zazwyczaj to dostaje, bez względu na cenę.

— Żartujesz sobie ze mnie? — Prostuję się i zamieram w bezruchu, nie wiedząc, czy dobrze usłyszałam.

— Niestety nie. Pracujesz dla niego i o tym nie wiesz? Kto cię zatrudnił? — Kładzie lewą rękę na oparciu sofy i podpira dłonią głowę.

— Nie pamiętam imienia, ktoś z kadr, mówili, że to spółka...

— Wszystkim to mówią. — Posyła pocieszający uśmiech.

— Nie podpisywałam kontraktu z szefem, tylko z kierownikiem działu.

— Domyślam się.

— A jak ty się tam dostałeś?

— Przez agencję... — urywa, nie kończąc.

Wstaje i zostawia mnie samą. Może jednak coś przede mną ukrywa?

Jestem w szoku. Jak taki człowiek jak Daniel Lloyd jest w stanie wszystkich owinąć wokół palca i sobie podporządkować? Czarna owca tego kraju, przecież to niemożliwe, aby sam mógł tego dokonać. Może to jakiś boss mafijny? Tylko dlaczego szuka jakiejś małej starej kostki? Musi zawierać coś cennego, skoro omal nas nie zabili... Bez wątplenia ktoś jeszcze macza w tym palce. Zerkam na Roberta z niedowierzaniem. Przypominają mi się słowa jego siostry, żebym nikomu nie ufała. Czy dotyczą też jej brata? Trudno mi w to uwierzyć, tak bardzo mi pomógł, ale wyczuwam, że coś przede mną zataił. Kto, posiadając taki dom, przychodzi do pracy w charakterze asystenta? Z tego co widzę, raczej nie potrzebuje tej pracy. Muszę mu zaufać, nie mam innego wyjścia. Przynajmniej na razie.

Z zamyślenia wyrывa mnie dźwięk piekarnika oznajmiający, że potrawa jest już gotowa. Robert krząta się po kuchni. Do salonu wpada aromat pieczonego kurczaka i wielu przypraw.

Na samą myśl o ciepłym, porządnym posiłku burczy mi w brzuchu.

— Nie wyglądasz na kogoś, kto potrafi gotować — zagaduję, gładząc dłonią brzuch, który dopomina się wypełnienia. — Umieram z głodu.

— Więc nie będziesz marudziła, jeżeli okaże się niesmaczne? — Wyjmuje brytfannę z piekarnika i stawia na kuchenny blat.

— Przysięgam, że zjem wszystko i nie pisnę ani słowa.

— Trzymam za słowo. — Celuje palcem w moją twarz.

— Robert... — zaczynam.

— Tak?

— Mam taką małą prośbę: pikniesz mnie? Ramię znowu zaczyna się odzywać — proszę skruszona.

Po leku, który mi wstrzyknął wcześniej, głęboka rana zaczęła się goić i nabrałam więcej siły, choć ból nie ustąpił tak łatwo. Nie chcę przedawkować, już wystarczająco naćpałam się jakiś nieznanymi proszkami. To pulsujące klucie jest zbyt uciążliwe, aby normalnie funkcjonować.

— Nad kominkiem leży drewniane pudełko. W środku jest coś, co przypomina długopis, przynieś.

Jak wierny pies podążam w wyznaczonym celu. Kiedy wracam, na kuchennej wyspie stoją już przygotowane talerze z aromatyczną pieczenią i duży dzbanek żurawinowego soku. Szkoda, że to nie coś mocniejszego. Nie potrafię stać bezczynnie, gdy on odwała całą robotę. Widok gotującego mężczyzny wywołuje półuśmiech na mojej twarzy. Zapuszczam się do wnętrza lodówki, wyciągając z niej najświeższe pomidory oraz parę innych składników cennych w witaminy. Robert patrzy z zaciekawieniem.

— To tylko sałatka, chyba nie chcesz jeść samego mięsa? — pytam.

— Nie ma sprawy, z chęcią zjem coś zdrowego... Po prostu większość jedzenia zdążyło się popsuć podczas mojej nieobecności.

— A widzisz, jednak coś się znalazło. — Przekładam wszystkie pokrojone składniki do szklanej misy, doprawiając tylko szczyptą soli i pieprzu.

— Zaczekaj, odłóż to na chwilę. Usiądź i zdejmij koszulkę — nakazuje.

Wyciągam drewniane krzesło spod blatu wyspy i siadam. Zdejmuję ostrożnie koszulkę i opieram się zdrowym ramieniem o szafkę. Podaję mu małe, tajemnicze urządzenie. Jego ogromne, ciepłe, trochę szorstkie dłonie, odwijają niezdarnie zabandażowane przeze mnie ramię. Kątem oka widzę, jak się szczerzy.

— Nie śmiej się, to trudniejsze niż myślisz. Nie jestem typem człowieka, który potrafi się sam opatrzeć.

— Nic nie mówię — odpowiada, ale jego uśmiech powoli się powiększa.

Czuję się niezręcznie, siedząc przed nim w samym staniku. Ruch jego szerokich ramion wprawia mnie w hipnotyczny stan. Rękawy granatowej koszulki lekko opinają się na mięśniach, uwydatniając ich pracę. Widziałam już jego nagi tors, ale obcisły T-shirt sprawia, że moje palce pragną musnąć go i delikatnie powędrować wzdłuż wypukłości. Z marzeń wyrywa mnie delikatne ukłucie. Po chwili wokół prawie już zasklepionej rany czuję drętwienie oraz przyjemny chłód. Robert delikatnie zakłada świeży opatrunek, ostatni ruch ręką i gotowe. Nareszcie mogę założyć koszulkę i się odprężyć.

Każdy zjada swoją porcję pysznej kolacji szybko i w milczeniu. Nie wiem jak jego, ale moje myśli krążą ciągle wokół tajemniczego urządzenia. Gdzieś już widziałam ten znak, tylko gdzie? A może to tylko umysł płata mi figle? Staram się wydobyć z pamięci feralny symbol, ale na marne. Dziury w pamięci nie pozwalają na to.

LUSTRZANY GMACH

Nie wszystko to, co widzisz, jest tym, co ci się wydaje. Ktoś kiedyś powiedział, że kłamstwo powtarzane wiele razy staje się prawdą.

Czy można wmówić sobie coś, co tak naprawdę nie istnieje?

Późna noc jest ciepła i pogodna. Bezchmurne niebo odsłania przed nami jasno świecące gwiazdy. O tej porze roku Księżyc znajduje się najbliżej Ziemi. Patrząc na niego, z łatwością można dostrzec ciemne kraterzyki oraz bruzdy na jego powierzchni. W powietrzu unosi się charakterystyczny zapach nadchodzącej, długo wyczekiwanej wiosny. Zawsze kojarzy mi się on z mamą, w szczególności z momentem rozwieszania prania o poranku. Woń płynu i proszku mieszała się z aromatem olejków eterycznych wypuszczanych przez sosnowe drzewa rosnące tuż za oknem. Kiedy byłam małą dziewczynką, zawsze chciałam schwytać ten zapach i schować do słoiczka, by nigdy go nie zapomnieć. Zamykam oczy i widzę, jak mama stoi na balkonie, nachylając się, aby przewiesić przez sznur świeżo wypraną pościel. I chociaż jestem śpiochem, zawsze wstawiałam na ten letni rytuał. Tak bardzo za nią tęsknię.

— Idziesz? — wyrywa mnie z zamyślenia Robert.

Spoglądam na zegarek, jest dziesięć minut po północy. Biurowiec powinien być już pusty. Wsiadam z samochodu i wciągam powietrze do płuc tak głęboko, jakbym robiła to po raz ostatni. Nie wiem, czego się spodziewać. Idziemy wąskimi

uliczkami, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Plan jest prosty. Musimy tylko szybko wejść do środka, zabrać co trzeba i wrócić do domu. Jesteśmy już blisko. Kiedy podchodzimy do budynku, gasną wszystkie reflektory osadzone wzdłuż ścian. Na dachu zapalają się szperacze.

Lustrzany gmach jako jedyny nie ucierpiał podczas wojny. Byłoby szkoda takiej konstrukcji — stal połączona ze szkłem. Podobno w całym budynku nie ma dwóch takich samych okien, każdy element jest inny. Każdy wyjątkowy, co sprawia, że cała struktura jest niezwykła. Ogromny romb i tysiące szklanych tafli. Zawsze fascynuje mnie widok przechodzących po drugiej stronie ludzi. Ich odbicia sprawiają wrażenie dwóch sąsiadujących ze sobą światów, ale ich mieszkańcy nie dostrzegają siebie nawzajem. Każdy maszeruje jak zaprogramowany robot. Nieraz zdarza mi się przystanąć przed wejściem. Nie wiem, czego wtedy szukam. Może swojego drugiego oblicza? Może pragnę, żeby odbicie zamieniło się ze mną miejscem? A wtedy stanę się tylko swoim cieniem, który nie musi tutaj tkwić. Wszystkie zmartwienia przejdą na barki tej drugiej. Czasem po prostu patrzę w szkło z tęsknoty za matką. Chcę, aby pojawiła się obok postaci stojącej naprzeciw mnie i złapała ją za rękę, lecz po mrugnięciu okiem jej obraz znika, rozwiewa się w powietrzu, a ja zostaję sama, jak idiotka, wpatrując się w szybę.

Dobiegamy do bocznych drzwi, w pobliżu nie widać nikogo. Robert zaczyna coś grzebać przy skanerze, wyrywa parę kabelków i wciska palce głębiej, ciesząc się przy tym, jak małe dziecko, które właśnie dostało nową zabawkę. Mnie wcale nie jest do śmiechu. Chcę po prostu mieć to za sobą. Stukam niecierpliwie palcami o rozgrzane udo. Czuję, jak narasta we mnie napięcie.

— Pani przodem. — Robert z wyrazem dumy i zadowolenia na twarzy zapraszająco macha ręką, po czym drzwi się rozsuwają i możemy swobodnie wejść do środka.

Uśmiecham się nerwowo i wchodzę pierwsza. Odczuwam gwałtowny wzrost adrenaliny, jakbym podświadomie karmiła się za to, co właśnie robię. Wejście do budynku od tyłu oznacza wchodzenie po schodach aż na dziewiąte piętro. Windy towarowe nocą są zablokowane. Zdyszana wspinam się po stopniach, idę za mężczyzną, którego tak w zasadzie nie znam. Dręczy mnie pytanie, dlaczego go ścigają? Czy to faktycznie przeze mnie? Tylko dlatego, że mi pomaga? Przecież to nie on ma coś, czego chcę. W sumie ma mnie. Kim oni są? Za dużo pytań, zbyt mało odpowiedzi. Obawiam się, że ich nie odnajdę, a zagadek tylko przybędzie.

Na ścianie widać już namalowany, duży, czarny numer dziewięć. Docieramy do celu. Teraz tylko wejść do biura, zabrać urządzenie i wiać.

— Jeszcze skaner — mówię, wskazując na pudełeczko obok szklanych drzwi.

— Skaner?

— Jest na odcisk moich palców. Nie wejdę inaczej... Potrafisz go obejść?

— Jasne. Zajmie mi to tylko chwilę. — Zdejmuje panel i wkłada do wnętrza mały chip, który po chwili odblokowuje cały system.

Przechodzimy przez szklane drzwi. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda tak samo, wszystko jest na swoim miejscu, jakby nikogo nie przysłali na moje zastępstwo. A może wróciła Daria? Ona zawsze dba o porządek, to raczej ze mnie jest bałaganiara.

Otwieram pierwszy z brzegu karton, który leży tuż obok mojego stanowiska pracy. Zastanawiam się, jak odciągnąć Roberta od tego pomieszczenia.

— Musimy się rozdzielić. Ktoś tu chyba był i segregował moją ostatnią dostawę. Urządzenia szukaj w dużych pudłach oznaczonych literami PN, są w pokoju na końcu korytarza. Jakbyś czegoś nie wiedział, zawołaj mnie. Chyba pamiętasz, czego szukamy? — Wzrokiem wyganiaam go z pokoju. Może uda mi się jeszcze przeczytać raporty o tym znalezisku. Oby tylko nie zdążył odkryć, że wpuściłam go w maliny.

Robert posłusznie maszeruje w swoją stronę, a ja zabieram się do pracy. Trzeba to załatwić szybko, zanim nas nakryją. Otwieram moją szufladę.

— Obyś tutaj był — mówię. Zdejmuję blokadę skrytki odciskiem palca. — Jest! — Wyjmuję moduł ze spodni, podpinam pod znalezione urządzenie. Pasuje jak ulał, zostaje połączyć się z komputerem i sprawdzić zawartość.

ON

Nie miałem pojęcia, że to zabrnę tak daleko i wpakuję się w taką walkę. To nie wojny są najgroźniejsze. Wojna to tylko skutek, a każdy skutek ma swoją przyczynę. Ta najgorsza jest najbliższej mnie. Siedzi w tym po same uszy. Tak łatwo tego nie załatwię.

W pokoju, do którego wysłała mnie Elia, odnajduję sporą ilość pudeł. Podejrzewam, że specjalnie to zrobiła. Dobrze widziała, że materiały nie są jeszcze posegregowane.

Otwieram pierwsze z brzegu pudło oznakowane literami PN.

— „N” to chyba nieposortowane, ale co znaczy litera „P”? — Głównie nad opisem skrzynek, ale nie zdołam wymyśleć nic sensownego.

Grzebię w zniszczonej, niezdatnej do użytku elektronicznej stercie złomu. Wiele z tych rzeczy z chęcią bym przygarnął. Podzespoły nadal mogą być zdatne do użytku, choć większość jest jednak spalona. Wyczuwam jeszcze swąd opalonych kabli i intensywny zapach metalu. Mój wzrok przykuwa stara płyta, w idealnym stanie. Winyl z muzyką Mozarta.

— Kto by pomyślał, że są tacy, którzy słuchają jeszcze starych płyt — dziwię się.

Odkładam ją na bok z myślą zabrania jej ze sobą do domu. Przeszukuję dalej stertę odpadków. Dobrze wiem, że nie znajdę tutaj tego, czego szukam, ale warto było poszperać. Może wpadnie mi w ręce coś przydatnego?

W odbiciu czarnej powłoki krążka zauważam poruszający się cień.

— Kopę lat Ed... Och... Wybacz Robert. Tak myślałem, że cię tu znajdę.

Słyszę za sobą znajomy głos.

— Coś mi mówi, że niebawem oddasz mi to cacko. Dobrze wiem, że je masz. Nie chciałbym zrobić Elii krzywdy, jest mi jeszcze do czegoś potrzebna — mówi intruz.

— Nie wiedziałem, że angażujesz się w sprawy firmy. Jak tam tatuś, jeszcze cię rozpieszcza? — Nie odwracam się, nie chcę widzieć wrednej miny intruza, ale jestem ciekaw, jak wygląda.

Spoglądam ukradkiem przez ramię, ale przybysza już nie ma. Zrywam się na równe nogi i biegnę do Elii, mając nadzieję, że nadal jest sama.

— Że też zawsze muszę wszystkich niańczyć — warczę do siebie.

Przez szybę sprawia wrażenie zmęczonej. Lekkie, brązowe fale włosów opadają na ramiona. Bez swojego ciętego dowcipu wygląda kobieco i pociągająco. Stoję tak jeszcze chwilę, wpatrując się w największą przyczynę swoich kłopotów. Prostuję się i po chwili wchodzę. Na biurku leży coś, co przypomina adapter, którego szukamy.

WSPOMNIENIA

Przez szybę biura dostrzegam Roberta idącego w przeciwnym kierunku, w jakim go wysłałam. Obraca głowę w moją stronę i uśmiecha się tajemniczo. Wraca spojrzeniem przed siebie i idzie dalej.

Obracam w dłoniach znalezisko, może jeszcze uda mi się dowiedzieć czegoś o jego pochodzeniu. Grafitowe małe urządzenie również ma wybity na spodzie symbol. Niestety w skrytce brakuje raportu, musieli o nim zapomnieć. Nic nowego, nieraz musiałam ponaglać serwis, aby przesłali mi kopię papierów po inspekcji.

— Znalazłaś!

Wzdrygam się na głos Roberta.

— Robert, wystraszyłeś mnie prawie na śmierć! — krzyczę. — Tak, to chyba jest to, czego szukamy. Nie sprawdzę, dopóki nie wrócimy do domu. — Chowam moduł do tylnej kieszeni dżinsowych spodni. Nie wiedząc, co powiedzieć, zaciskam usta. Wstając, przeczesuję nerwowo włosy. — Spadamy?

— Chodźmy, zanim nas nakryją.

Wychodzę za nim. Robert wyciąga chip ze skanera i wkłada wszystko na swoje miejsce.

— Myślałam, że się zgubiłeś. Widziałam, jak w korytarzu pomyliłeś kierunki. — Wskazuję miejsce, w którym go wcześniej ujrzałam. — Wydawało mi się, że ty nigdy się nie uśmiechasz,

ale chyba jestem w błędzie. — Chwytam go za dłoń i ciągnę za sobą. — Faktycznie. Chodźmy, zanim strażnik zrobi obchód.

Robert marszczy czoło i wychodzi pierwszy. Chyba nie gustuje w moich żartach. W milczeniu wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. W samochodzie również panuje głucha cisza. Droga dłuży się w nieskończoność. A ponury świat za oknem pozwala na zanurzenie się w myślach.

— Wiesz, kiedy byłam małą dziewczynką, mama zabierała mnie czasem na wycieczki pociągiem. Zawsze siadałam obok okna, wyobrażałam sobie, że jestem zagubioną księżniczką natury. Szkoda, że wojna zniszczyła wszystko. Z radością wsiadłabym do pociągu, by poczuć to, co utracone.

— Serio? — Unosi brew i spogląda zdziwiony.

— Nie śmieję się, byłam mała... Gdy pociąg się rozpędzał, wszystkie drzewa zaczynały się kłaniać, jakby doskonale wiedziały, kim jestem, choć ja sama tego do końca nie wiedziałam. Uwielbiałam patrzeć na otaczający nas krajobraz. — Dotykam szyby opuszkami palców i opieram o nią głowę. Tak bardzo pragnę zobaczyć matkę jeszcze raz.

— Wiesz... Albo masz dziwną wyobraźnię, albo naprawdę jesteś stuknięta.

— No ej, miałam tylko kilka lat. Ty pewnie byłeś bardzo poważnym dzieckiem ubranym w malutki, czarny garniturek i lakierki.

— Lakierki?

— No wiesz, takie eleganckie buciki z połyskiem, och — wzdycham. — Ale ty jesteś drętwy.

Nagle milczy jak zakłęty. Nie wiem co go gryzie, typowy samiec. Resztę drogi nie odzywamy się do siebie. Zanurzam się

z powrotem w marzeniach i wesołych wspomnieniach. Tylko one pozwalają oderwać się od brutalnej rzeczywistości.

Ogień w kominku jeszcze się pali. W ciemności pokój ma swój tajemniczy urok, skrywa mnóstwo sekretów. Robert zapala światła w całym domu. Czar pryska i już nic nie wygląda tak samo. Wzrokiem chłonę otoczenie, uświadamiając sobie piękno przestronnych pomieszczeń. Ich nieskazitelna czystość oraz biel działają kojąco na wszelkie zmysły, ale czegoś jednak tu brakuje... życia. Rzeczy martwe mają sens dopiero wtedy, gdy możemy się nimi z kimś dzielić. Tutaj panuje pustka. Czy serce Roberta również przepętnia nicość?

Rozpinam koszulę, poprawiam pod nią bluzkę i siadam na sofie. Zapadam się w jej głębokim, skórzanym siedzisku.

— Co my tu mamy? — Wyciągam z kieszeni moduł pamięci oraz adapter w nadziei, że dwie części będą do siebie pasowały, gdy podłączę je do komputera.

— Ciekawa ta kryjówka. Mówiłaś, że masz go w domu, a nie w spodniach — rzuca oburzony w moją stronę.

Nie odpowiadam na zaczepkę, a on zabiera butelkę wina z kuchni oraz dwa kieliszki i rozsiada się przy mnie wygodnie na kanapie.

— O tak. Wiesz, czego mi trzeba. — Posyłam delikatny, wymuszony uśmiech, udając, że nie słyszałam wcześniejszego zarzutu.

— Zdążyłem cię już troszkę przejrzeć. — Wypełnia do połowy naczynia i podaje mi jedno.

— Wydaje ci się — mówię, spoglądając na niego.

Nie potrafię go do końca rozszyfrować. Z jednej strony chce mi pomóc, ale z drugiej od początku naszej znajomości czuję,

że coś tutaj nie gra. Tylko co? Może mam urojenia, za wszelką cenę pragnę przypisać sobie czarną łatkę. Co jeżeli życie jest prostsze, niż mi się wydaje i sama je sobie komplikuję? Postaram się spuścić z tonu i czerpać z niego owoce piękna. To nagłe pozytywne myślenie powoduje, jakby ktoś zrzucił z moich ramion kilka ciężkich kamieni.

— Jestem pewien.

Odbieram od niego kieliszek i stawiam na stole.

— Na spodzie adaptera wybite są trzy litery: S.M.L. Znasz ten skrót? — pytam.

Robert kręci przecząco głową i z zaciekawieniem patrzy na urządzenie.

— Dlaczego ktoś miałby posługiwać się wycofanym z produkcji i użytku urządzeniem? Nie sądzisz, że to dosyć dziwne?

— Masz rację — wzdycham. — Wiesz, jacy są ludzie, głodni wszelkich nowinek technologicznych. Kupują nowości, a stare wyrzucają. Pamięć zadziała tylko z adapterem.

Robert przytakuje, nic nie mówiąc.

— Inaczej nie dostaniemy się do jego danych. — Rozmasowuje ręką spięty kark. — Nikt już nie ma takich urządzeń. Dlatego też mało kto potrafi go odczytać.

— Sprytnie, co nie? — Uśmiecham się.

— Połóż go na niebieskim kółku. Zresztą chyba wiesz... — Upija spory łyk wina.

Wpatruję się chwilę, jak Robert przesuwa koniuszkiem serdecznego palca po krawędzi kieliszka, który zaczyna wydawać piękne dźwięki. Kolejny haust i kieliszek zmienia tonację na niższe. Magiczne brzmienia komponują się z widokiem falujących jezorów płomieni w kominku. Gdybym zamknęła teraz

oczy i położyła głowę na oparcie kanapy, z pewnością bym usnęła, kołysana delikatnymi dźwiękami.

Podłączam moduł do adaptera. Kładę w wyznaczone miejsce na specjalnej macie na wierzchu szklanego stolika. Po chwili pojawia się niebieskie, pulsujące światło.

— Hologram... Że też się nie domyśliłam.

Z urządzenia nagle zaczynają wydobywać się dziwne odgłosy. Trzaski i bełkotliwa mowa.

— Pewnie jest uszkodzony, zresetuj go.

Sięgając ręką, przed oczami ukazuje mi się znajoma postać. Zamieram w bezruchu, nie potrafię uwierzyć w to, co widzę. Oczy zalewają się łzami. Ciśnienie gwałtownie podskakuje, powodując drżenie ciała.

— Witaj Elio, wiem, że to dla ciebie szok. Przykro mi, że nie ma mnie obok was. Mam nadzieję, że dajecie sobie radę beze mnie, nie mam zbyt wiele czasu...

Nagle łącze się zrywa. Po policzku spływa mi łza, a obraz wraca.

— Nie mam zbyt wiele czasu, dlatego będę się streszczał. Elio, nie ufaj nikomu z korporacji Daniela Lloyda. Wszystko co robi i do czego dąży, jest jedynie utopią, tak jak cały ten świat. Musisz poznać prawdę. W module znajduje się zabezpieczony plik.

Głośny huk powoduje zniekształcenie obrazu, po czym znika. Gardło się zaciska.

— Nie, proszę, nie teraz! Wróć! — Wyciągam dłoń w miejsce, gdzie widniał hologram, ale jego już nie ma.

— To pewnie był twój ojciec? — Robert nachyla się nad elektroniczną matę. Klepie palcami kilka razy w powłokę, usiłując przywrócić obraz. — Wiesz, o co chodzi? — dodaje zdezorientowany, posyłając krótkie przenikliwe spojrzenie.

— Nieważne! — wrzeszczę zdenerwowana. Czuję, jak żyły tłoczą rozpędzoną krew, rozszerzają się i pulsują. Zaczynam się lekko dusić w swoim ubraniu.

— Elio...

— Nie wiem, o co chodzi! — Uspokajam się. — Przepraszam. Potrafisz wejść w ten plik, mądralo?! — rzucam zdenerwowana, oczy napływają mi łzami. Wstaję i pospiesznie uciekam.

Wbiegam szybko po schodach. Zamykam za sobą drzwi łazienki, kurczowo zaciskając dłoń na klamce. Opieram czoło o ścianę. Wycieram ciekące łzy. Muszę wziąć gorącą kąpiel, aby się uspokoić i zebrać myśli. Podchodzę do umywalki, powoli zdejmuję bandaż. Rana prawie się zabiłżniła, ale ślad po niej już zostanie. Zdejmuję ubrania i zanurzam się w strumieniu prawie wrzącej wody. Para osiada na szklanych drzwiach pokaznej kabiny.

Nie widziałam ojca, odkąd skończyłam kilka lat. Trochę mnie zszokował jego widok, ale w gruncie rzeczy go nie znałam. Zamykam oczy. Opieram rękę o drzwiczki, drugą przeczesuję mokre włosy. Pamiętam dzień, w którym uczył mnie jeździć na rowerze. Z samego rana pobiegłam do sypialni rodziców, długo czekałam na ten dzień. Wyciągnęłam go siłą z łóżka, ciągnąc długo za rękę, aż wstał. Rower czekał w przedpokoju. Miał różową ramę i nalepki w kształcie motylków. Mój zapał szybko opadł z pierwszym naciśnięciem pedała. Tata był wtedy bardzo cierpliwy i opanowany, chociaż ja krzyczałam, że się boję. Po paru wywrotkach jechałam na dwóch kółkach. Jego twarz zdradzała wtedy dumę.

Jestem zła na siebie, nie na niego. Minęło tyle lat. Zapomniałam, jak wyglądał, pamięć dziecka wymazuje się z czasem. Dorośli nie potrafią przypomnieć sobie, jaka była ich

ulubiona zabawka, ale żeby nie pamiętać wspólnych przeżyć z ojcem? Nie potrafię sobie tego wybaczyć.

Zaciskam powieki jeszcze mocniej i biorę się w garść. Przypominam sobie, że Robert ma w salonie wino. Chyba muszę złożyć broń i pomimo bolesnych wspomnień po prostu się odprężyć. Schodzę z powrotem do pokoju.

Robert skupiony majstruje przy urządzeniu.

— Niestety nie wiem, jak je uruchomić. Urządzenie wygląda na dosyć stare...

— Jest stare. Ma jakieś dwadzieścia lat. — Rozsiadam się obok niego. Nastaje cisza, mokre włosy chłodzą moje rozgrzane plecy.

— Jeszcze jutro spróbuję. Możliwe, że uszkodził się podczas uderzenia. Chociaż nie wiem do końca, czy to faktycznie wina pamięci, czy może adapter nie pasuje. Dzisiaj należy się nam coś mocnego. — Opiera swoje plecy o skórzane oparcie kanapy.

Znowu czuję kojący zapach lawendy. Robert chyba też brał kąpiel, to jego włosy tak pachną. Aromat wina pieści moje zmysły. Przygarniam kieliszek, który mi podaje, i upijam łyk białego trunku. Lekko kwaśny, jabłkowy smak łaskocze moje podniebienie. Powoli biorę kolejny haust. Tak niewiele mi trzeba, aby się odprężyć. Delikatne mrowienie ogarnia moje ciało.

— Jak nic nie mówisz, to nawet jesteś urocza — śmieje się.

— Wiesz, bardzo dowcipny jesteś. Humory miewasz gorsze niż baba. Jak z tobą może wytrzymać jakakolwiek kobieta?

— A skąd wiesz, że tego chcę?

— Czyli jednak gej? — Posyłam w jego stronę szyderczy uśmiech i wypijam cały płyn, do dna. Oblizuję usta, nagle w głowie zaczyna mi szumieć od nadmiaru procentów.

Robert chwyta mój nadgarstek, a drugą ręką zabiera kieliszek i odkłada go na stół. Przyciąga mnie do siebie i namiętnie całuje moje usta. W moich żyłach zaczyna pulsować krew, moje zmysły budzą się z letargu. Serce bije szybciej. Wszystko wiruje. Zarzucam mu dłonie na szyję i oddaję pocałunek, który mógłby trwać w nieskończoność.

— Mówiłem, że nie jestem gejem — szepce mi do ucha i zaciska ręce na biodrach.

— Pocałunek niczego nie dowodzi. — Posyłam nęcący uśmiech, prowokując.

Patrzę mu głęboko w oczy. Jego źrenice rozszerzają się. Napina mięśnie i gwałtownie obejmuje mnie w pasie, przewracając na plecy. Grad namiętnych pocałunków pokrywa każdy, najmniejszy skrawek ciała. Pożądanie wygrywa z rozsądkiem.

— Nie jestem gejem, Elio — szepcze mi znów do ucha.

Wtuleni w namiętnym uścisku zasypiamy oboje.

Chciałabym, aby w życiu było mniej bólu. Chciałabym mieć w kimś oparcie, by samej nie błądzić w smutkach. Żeby ktoś pokazał mi, czym jest normalne życie.

INTRUZI

Dwa światy.

W każdym z nich ten sam cień, z tym że u nas jest noc, a u nich dzień.

— Elio...

Budzę się wystraszona. Rozglądam się dookoła, szukając źródła głosu. To tylko zły sen. Obok leży Robert, od stóp do pasa przykryty pierzyną. Jego prawy policzek spoczywa na wierzchniej stronie dłoni, drugą rękę ma do połowy schowaną pod poduszką. Zamknięte usta proszą się o pocałunek. Miarowy oddech świadczy o głębokim śnie. Nagie plecy kuszą, by dotknąć. Powoli sięgam dłonią, już czuję ciepło jego ciała na opuszkach... Ale cofam ją szybko, gdy na stoliku zauważam moduł. Wstaję po cichu, zabierając go do kuchni, by podłączyć z adapterem pod drugi komputer. Odpalam ponownie w nadziei, że tym razem się uda. Nic się nie zmieniło, plik nieotwarty. Oglądam jeszcze raz uważnie z każdej strony adapter. „M” ma głębsze wyżłobienie niż pozostałe litery. Podważam ją delikatnie paznokciem. Ze środka wypada kawałek metalu. Wciskam tam palec, żeby zobaczyć, czy coś przypadkiem się tam nie przedostało. Może to kurz lub brud utrudniające dostęp do plików. Usiłuję wydłubać z niego cokolwiek, co mogłoby go zanieczyścić. Czasem najmniejszy paproch utrudnia poprawne

działanie urządzenia, tak jak w przypadku skanerów, które mam w pracy. Może tutaj jest podobnie?

— Aj — syczę. Coś mnie kłuje, odsysam z palca kroplę metalicznej krwi.

Na ekranie komputera pojawia się napis: „Hasło zaakceptowane”. Ikonka się odblokowuje. Widocznie hasłem jest próbka krwi. Sprytnie... Takie rozwiązanie jest typowe dla ojca. Ogarnia mnie podniecenie i ciekawość. Otwieram zawartość. W pliku znajduje się mnóstwo dokumentów, ale moduł musiał być narażony na impuls. A może to Robert ma rację? To wina tego samochodu, uszkodził moje ramię i moduł. Dane w większości są nie do odczytania. Ekran ponownie zasypuje ogromną ilość okienek ostrzegających o błędach.

Słyszę, jak Robert przewraca się na drugi bok. Zabieram moduł, zaciskam go w dłoni. Szybko wracam, żeby się nie obudził. Skradam się pod pierzynę. Zasypiam wtulona w jego plecy, ciepło ciała pozwala na chwilowe oderwanie się od rzeczywistości.

Korytarz. Ciemny, długi, zimny korytarz. Biegnę po pękających pod moimi stopami kafelkach. Czyjaś lodowata ręka zaciska mocno swoje grube palce na moim nadgarstku i ciągnie w tył. Nagła eksplozja z naprzeciwka zabiera mi grunt spod nóg. Oślepia mnie niebieskie światło. Zakrywam dłonią oczy. Zerkam przez palce, by dostrzec, co się stało. Widzę, jak ogień trawi wszystko na swojej drodze.

Ktoś ponownie mnie szarpie. Otwieram oczy. To Robert. Wyciąga mnie szybko z łóżka.

— Robert? Co się dzieje? — pytam. Te koszmary wykończą mnie nerwowo.

— Wstawaj szybko! Znaleźli nas! — krzyczy. — Chodź, w piwnicy jest schron.

Wpycha mnie półnągą w głąb ciemnego pomieszczenia, po czym sam zamyka pancerne drzwi. Patrząc pytająco, co robi, ale nie jestem w stanie zareagować. W interkombie obok wjazdu odzywa się zdyszany:

— Elia, tutaj nie powinni cię znaleźć, ale gdyby jednak... Po drugiej stronie jest przejście i wyjazd ewakuacyjny.

— Robert, co ty robisz do cholery!?! — wrzeszczę, waląc pięściami w drzwi, ale nie odzywa się.

Szturcham przypadkowo nadgarstkiem włącznik światła, biały blask mnie oślepia. Rozglądam się panicznie wokół, po drugiej stronie słyszę odgłosy roztrzaskiwanych mebli. Po chwili jakieś strzały i męskie krzyki. Nagle ogromny huk ogłusza mnie na ułamek sekundy. Pisk w uszach jest nie do zniesienia. Dookoła wszystko zaczyna wirować, by po chwili się zatrzymać. Nastaje głucha cisza. Cisza przed burzą; ona zawsze zwiastuje nadejście zła, to tylko kwestia czasu.

Światła gasną. Szukam po omacku włącznika, ale bez skutku. Klamka... Jest klamka. To chyba to... Wyjście. Przesuwam ciężkie pancerne drzwi, nad którymi zapalają się małe czerwone lampki, ale to na nic — i tak jest zbyt ciemno. Potykam się o próg i upadam jak długa na podłogę. Teraz rozumiem, po co są te cholerne światełka. Ktoś próbuje się do mnie przedostać. Walą w drzwi jakimś ciężkim przedmiotem. Dźwigam się powoli, ramię zaczyna dawać o sobie znać w najgorszym momencie. Lampki zaczynają migotać, staram się dostrzec, w którą stronę mam iść. Wzrokiem odnajduję samochód. Piękny, biały, o agresywnych, ostrych krawędziach. Kim on do cholery jest, że posiada taką technologię? Przecież impuls zniszczył wszystkie

urządzenia elektroniczne, nawet te w samochodach. Ludzie musieli na nowo tchnąć w nie życie.

Potrząsam głową, odpędzając kotłujące się pytania. Wsiadam, zamykam drzwi. Subtelne oświetlenie kokpitu włącza się na całej szerokości wnętrza. Już prawie tu weszli, jeszcze jedno mocne uderzenie i wyłamią ostatnią blokadę w drzwiach. Gdzie jest Robert? Sama nie dam rady... Nerwowo, w pośpiechu i panice szukam stacyjki, ale na próżno.

— Co jest do cholery!? Gdzie to... Mam... — Wystarczy wcisnąć czerwony guzik przy zegarach. Zabawne, jakbym odpalała rakietę. Chwytam kurczowo spoconymi dłońmi kierownicę, łapię głęboki oddech.

— Dobra, jak stąd wyjechać?

Ruszam powoli, nie ma tutaj bramy ani niczego podobnego. Betonowy korytarz prowadzi na zewnątrz. Z ciemnego podziemia wyjeżdżam prosto do gęstego lasu. Zatrzymuję się kilka metrów za tunelem. Może jeszcze przyjdzie, poczekam chwilę. Trzymam kurczowo skórzaną, jasnobrązową kierownicę. Piękny, biały, cichy samochód, ale to nie czas na zachwyty. Słyszę za sobą głośny wybuch i pisk opon, które wywołują u mnie dreszcze. Wciskam pedał gazu do samego końca, myślą mi się wrzucane w pośpiechu biegi, silnik zaczyna się dusić, nie wiem, czy zaraz nie zgaśnie.

— Litości! Jak ja nienawidzę skrzyni biegów! Na cholere mi to ustrojstwo?! — Po chwili udaje mi się opanować rozdygotane z nerwów dłonie i zapanować nad ciężką maszyną. — Gdzie mam uciec?

Jedyna trasa jaką znam, to ta prowadząca do mojego domu. Chyba nie mam innego wyjścia. Staram się wyjechać z gęstego lasu. Widać, że ścieżka nie była dawno używana. Zerkam do tyłu.

Chyba ich zgubiłam. Prowadzę samochód na drogę. Jadę ze znaczną prędkością już kilkanaście minut. Jestem spięta, łydka zaczyna mnie boleć od wciskania pedału. W oddali zauważam coś znajomego. Zwalniam, ostrożnie przejeżdżam przez dziurawy most prowadzący do miasta i gdy już jestem pewna, że nie ma intruzów, nagle przed maską pojawiają się dwa czarne, terenowe samochody.

— Nie, to nie może się dobrze skończyć! — krzyczę. Łzy napływają do oczu. Wpadam w panikę, tracę kontrolę nad maszyną, rzuca mną na boki. Zawracam. Koła wpadają w szczeliny.

Napastnicy nie odpuszczają, są bezlitośni. Pierwszy z impetem wjeżdża w tył samochodu, miażdżąc bagażnik. Poduszki powietrzne eksplodują, ogłuszając mnie. Drugi taranuje lewy bok, wypychając mnie z drogi. Uderzam głową o kierownicę. Już nie kontroluję pojazdu. Skręcam kierownicą, ale jest zablokowana. Niespodziewanie wyrasta przede mną mur. Hamulce nie działają. Włącza się jakiś czujnik, kontrolki wariują. Odruchowo chwytam za ręczny i ciągnę z całej siły.

— Nie...!

CZĘŚĆ II

UWIĘZIONA

Jak Feniks z popiołów możesz się podnieść, otrząsnąć i odrodzić. Po wielu klęskach wstać z rana zupełnie tak, jak czyni to słońce. Upaść i podeprzeć się, by znowu iść.

Pamiętam blask i wyciągniętą w moją stronę rękę Roberta. Korytarz, długi pusty korytarz... Tak jasny, że nie dało się otworzyć oczu, by nie oślepiło światło, i ten krzyk tak bardzo znajomy. Nie potrafię sobie przypomnieć, do kogo należał. Biorę głęboki wdech. Chcę się ruszyć, ale nie umiem. Coś blokuje moje nadgarstki i kostki. Oczy pieką, ale staram się szybko mrugać, aby je nawilżyć. To chyba jakaś sala, jakby szpitalna, ale dlaczego mam unieruchomione ręce i nogi?

— Jest tu ktoś!? Ktokolwiek? — wydobywam z siebie zachrypłym głosem. Rozglądam się wokoło. Wzrok zaczyna się wyostrzać. — Serio? Jaja sobie robicie!? — krzyczę, ale nikt mnie nie słyszy.

Na wewnętrznej stronie prawego uda coś ciągnie mnie za skórę. Napinam mięsień, czuję delikatne szczypanie i dyskomfort. Dźwigam się na tyle, na ile pozwalają mi więzy. Spod białego prześcieradła, które mnie okrywa, wystają rurki. Zwisają z łóżka i biegną w stronę zawieszonych na stojaku przezroczystych torebek z płynem. Do lewej skroni przytwierdzono jakiś drucik. Przechylałam głowę do ramienia, by zrzucić to, co tam przywarło. Brakuje mi kilku centymetrów,

żeby to zdjąć. Nagły skurcz w karku powoduje ból. Rozluźniam mięsień.

Po mojej lewej stronie wzrok przykuwa sporej wielkości okno. Nie potrafię uwierzyć w to, co widzę. Może to przywidzenie albo dalej sen?

— Co jest? Wypuście mnie do cholery! — Staram się wydostać z więzów, ale nadaremno. Nie mam szans z pasami przywiązanymi do stalowej ramy łóżka. Szarpię jeszcze raz, ale to na nic, zdzieram jedynie naskórek.

— Cholera! Tak nie można!

Za ogromnym oknem dostrzegam Roberta. Naprzeciw niego stoi mężczyzna w popielatym garniturze. Jego twarz jest mi znajoma. Daniel Lloyd, pan i władca korporacji, aby umówić się z nim na spotkanie, trzeba być kimś ważnym. Mężczyźni rozmawiają o czymś i nie zwracają uwagi na to, że się obudziłam. Cieszę się na widok Roberta. Jest cały, widocznie miał więcej szczęścia niż ja. Ale co tu robi mój szef? Ich poważne miny i nerwowa gestykulacja dłońmi przypomina kłótnię. Daniel gładzi delikatnie policzek. Obaj zamilkli i wpatrują się w siebie. Robert spogląda na zegarek, odwraca się w moją stronę i uśmiecha szeroko. Lloyd rzuca gniewne spojrzenie.

— Pomóż mi! — krzyczę, ale mnie nie słyszą, szyba musi być pancerna.

Odwracają się ode mnie i odchodzą w różnych kierunkach, pozostawiając pustkę. W co ja się wpakowałam? Przecież nie będę się wiecznie wpatrywać w sufit!

Nagle drzwi do sali otwierają się. Nie wiem, czego się spodziewać. Widzę Roberta. Pewnym, szybkim krokiem podchodzi do łóżka, jego wyraz twarzy jest trudny do rozszyfrowania.

— Witaj złotko, nic nie mów. To ja będę mówił. — Wykonuje uspokajający gest, machając mi przed nosem dłonią. — Później możesz sobie krzyczeć. Nazywam się Robert Lloyd — przerywa.

Aż mnie zmroziło. Syn Daniela? Ale się wpakowałam.

— Ale to już chyba zdążyłaś zauważyć — dodaje.

Fakt, ma mordę cholernie podobną do ojca. Teraz nawet bardziej go przypomina. Poprawiam głowę na poduszce i przetykam ślinę.

— Czego chcesz, ty zakłamana świnió?! — rzucam mu w twarz.

— Widzę, że humorok dopisuje. Żeby nie przedłużać, zacznę od najważniejszej rzeczy. Potrzebujemy małej części twojego ciała. No wiesz, nie zabije cię to... Chyba... A przynajmniej mam taką nadzieję. Mówię o nerce. Potrzebujemy jednej, przynajmniej na razie. W razie reklamacji wezmę drugą.

— Co ty bredzisz?!

Jego twarz zmienia się radykalnie. Wyszczерza swoje białe zęby w szyderczym grymasie.

— Nie wiem, czy wiesz, ale twoja matka dała mojemu ojcu... Jakby to ująć... Dość uciążliwy dla mnie prezent. Niestety ów prezent, w postaci chłopca, jest nieco felerny — chrząka. — Wiemy, że macie zgodność genetyczną i istnieje prawdopodobieństwo... — Robert siada na boku łóżka i zbliża się do mojej twarzy.

Serce zaczyna mi łomotać ze strachu i podskakuje do gardła.

— Prawdopodobieństwo, że możesz go uratować — szepcze mi do ucha, po czym znienacka przygryza dolną wargę moich ust. — Oczywiście, puścilibyśmy cię po tym wszystkim do domu, ale jest jeden... Mały problem. — Kładzie swoją rękę na moim brzuchu i gładzi go.

Zaciskam pięści, moje ciało drży, gotuje się we mnie wściekłość.

— Przekonałem ojca, że możesz się nam jeszcze przydać. — Na jego twarzy znowu pojawia się szyderczy uśmiech. Bierze głęboki wdech. Chłonie zapach moich włosów.

Uchylam twarz, marszczę brwi i patrzę mu w oczy.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi? Co to za bzdury, jakie dziecko? Co chcesz mi zrobić? — pytam z przerażeniem. Pod czaszką kotłują się myśli.

— Elio, kochanie... — Całuje moje usta. — Nie zaprzataj sobie myślami tej ślicznej główki, nie wszystko musisz wiedzieć.

— Ty zakłamanym łajdaku. Na co ci było to całe przedstawienie? Od samego początku mnie zwodziłeś. Po co? Żeby poczuć się lepszym? — Szarpię pasy. Gdyby nie one moja pięść wylądowałaby na jego twarzy.

— Jak to powiedzieć... Gdy się człowiek nudzi, musi urozmaicić sobie czas.

— Moja matka nie ma nic wspólnego z wami. Brzydzę się tobą.

— Ma więcej niż myślisz, kochana. Co niestety jest bardziej niekorzystne dla ciebie. Tak to już jest, jeden wygrywa, drugi obrywa.

— Więc byłam tylko zabawką? — pytam. Chcę płakać, krzyczeć. Nie krzyczę, bo szok nie pozwala mi na to. Nie płaczę, bo łzy nie chcą płynąć. Złość się kotłuje.

— Jesteś moją ulubioną zabawką — wzdycha.

Patrzę w jego oczy. Mroczne, podłe ślepie pożerają mnie. Czuję, jak chłonie moją duszę.

— Będziesz musiał mnie zabić — warczę. — Elia, którą poznałeś, umarła w tym samochodzie — cedzę mu w twarz.

— Ale jesteś wojownicza. Grozisz mi?

Nie odpowiadam. Zaciskam zęby, trzymam nerwy na wodzy. Złość miesza się z rozpaczą. Wykręcam nadgarstki w więzach, skóra bieleje od nacisku. Znoszę jego wzrok.

— Możesz się szarpać dowoli, na nic się to zda.

— Zobaczymy — odpowiadam. Gardzę nim.

— Będę czekał. — Mruga do mnie okiem, po czym wstaje i pospiesznie wychodzi.

— Psychopaci! Wypuście mnie! — Szarpię pasy, ale nic to nie daje. Czuję, że zaczynam się dusić, brak powietrza powoduje ogromny ból w klatce piersiowej, gardło zaciska się, a do oczu napływają łzy.

— Syn Lloyda mnie wykorzystał... Matko, coś ty zrobiła? Co ja mam zrobić? — mówię do siebie. Leżę, szukając we wspomnieniach przebłysku, wskazówki, jaka dałaby mi pewność, że to, co mówił, jest prawdą. — Mamo... Dlaczego?

Do pokoju wchodzi młoda kobieta w białym fartuchu z maseczką na ustach, w dłoni trzyma coś, co przypomina strzykawkę.

— Jak długo byłam nieprzytomna? — pytam kobietę, ale ona milczy. — Błagam... Powiedz jak długo? — Łzy płyną po policzku. — Błagam.

— Prawie trzy tygodnie. Miała pani ciężki wypadek, ale może pani być dawcą, nie ma żadnych przeszkód.

Nagle morze łez przestaje płynąć, chyba się przesłyszałam.

— Dzisiaj? — Wytrzeszczam oczy.

— Dzisiaj lub jutro, zobaczymy po badaniach — odpowiada. — Słyszałam, że robi to pani dla brata. Naprawdę szlachetne, nie ma się czego obawiać. Wiem, że pewnie odczuwa już pani lekki stres, ale to nic strasznego. Z jedną nerką

funkcjonuje się dokładnie tak, jak z dwoma. — Ruch policzków na jej twarzy sugeruje skrywany pod maseczką uśmiech.

Lekki stres? Dobre sobie... Chyba sama nie wie, gdzie pracuje albo bardzo dobrze udaje, a wtedy przyznałabym jej Oscara za grę aktorską. W całym tym szoku nie czuję nawet igły wbijanej w ramię. Pielęgniarka zalepia plastrem miejsce wkłucia i wychodzi, zostawiając mnie samą z myślami.

Moja matka miała syna? I to z tym ohydny, załganym łajdakiem? Nawet nie przechodzi mi to przez myśl. Jak mogła coś takiego zrobić? Może sama dobrze jej nie znałam? Natłok myśli jest uporczywy, ale zaraz po wyjściu pielęgniarki przestaje ciążyć. Musiała wstrzyknąć mi jakieś psychotropy. Staję się coraz bardziej zmęczona, a moje powieki robią się coraz cięższe.

W PUŁAPCE

Przebudzenie. Tylko ono zdoła mnie ocalić.

Skrzydła anioła otulą me wątłe ciało. Wprawią w majestatyczny ruch.

Jestem silniejsza.

Stawiając czoła złu, odkupuję winy. Biorę na barki to, co wrogowie uczynili.

Otwieram oczy; nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, od kiedy je zamknęłam. Chyba długo nikogo przy mnie nie było. Leżę w pustej sali naszpikowanej elektroniką i przyrządami monitorującymi funkcje życiowe. Pasy zniknęły. Nie ma tutaj żadnych okien, jedynie zimne światło chirurgicznych lamp. Ostatnie, co pamiętam, to jakieś ukłucie.

Wykorzystują mnie? Czy jestem obiektem jakiegoś nieludzkiego eksperymentu? Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nikomu nie można ufać!

To inna sala niż ta, w której obudziłam się za pierwszym razem. Muszę się stąd wyrwać i to jak najszybciej. Szarpię za rurki podłączone do nosa, odrywam kroplówki podtrzymujące, nie wiadomo od ilu godzin czy nawet dni, funkcje mojego przykutego do łóżka ciała. Siadam na brzegu, opieram się jedną stopą o ziemię. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że moje nogi są całkowicie zdrtwiiałe i prawie nie mam w nich czucia. Błyskawicznie padam z łóżka na podłogę.

Staram się szybko, ale i po cichu wyczołgać z sali, w której mnie zamknęli.

Władza w nogach po chwili wraca i mogę wreszcie na nich stanąć, choć wciąż mam problemy z równowagą. Zbliżam się do stalowych drzwi. Mają niewielki otwór na zbrojoną szybę. Nie widać przez nią, by ktokolwiek był za drzwiami, co wcale nie znaczy, że tak jest. Powoli chwytam za klamkę. Drzwi wydają lekki zgrzyt, który niesie się delikatnym echem wśród korytarzy tego dziwnego miejsca. Biorę głęboki wdech i wychylam powoli głowę, by zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie.

Z lewej strony widzę tylko długi korytarz. Z prawej jego lustrzane odbicie. Zielone kafelki na ścianach dają do zrozumienia, że jest to albo jakaś stara opuszczona klinika, albo prywatne laboratorium. Niektóre z kafli są pęknięte, lampy wydają niepokojący dźwięk jak cholerna brzęcząca jarzeniówka. Dokładnie tak, jak w tych najbardziej psychodelicznych filmach, w których krew leje się strumieniami. Nie czuję się bezpiecznie, chcę stąd szybko wyjść. Na korytarzu nikogo nie ma. Nagle, w oddali słychać jakieś głosy, które niosą się echem, ostrzegając o sobie.

— Cholera... — stękam pod nosem. Zamykam szybko drzwi i, kucając pod nimi, czekam, modląc się, by rozmawiające osoby nie okazały się lekarzami rodem z horrorów. Cały mój dotychczasowy humor znika, ze strachu jeżą mi się włoski na szyi... Na szczęście głosy przechodzą obok i znikają w otchłani tego przerażającego miejsca.

Ponownie cicho otwieram drzwi i wychodzę na korytarz. Mam na sobie różowy fartuch, jakbym była pacjentką kliniki położniczej. Co tu się wyprawia?! W co ja się wpakowałam?

Skradając się do końca korytarza, czuję jakby świeższe powietrze. Muszę zbliżyć się do wyjścia. Nie wiem, gdzie jestem, a co najgorsze, nie mam pojęcia, co jest na zewnątrz. Jak się stąd wydostanę?

Korytarz do bólu przypomina mi ten z moich snów, a raczej z koszmarów, które prześladują mnie od dzieciństwa. Czyżby wizje okazały się prorocze? Mam dziwne uczucie, jakbym już tu kiedyś była. Chyba że to znowu *déjà vu*? Przystaję na rozwidleniu. Rozglądam się na boki. Będę musiała dokonać wyboru. Nie czekając, aż ktoś mnie nakryje, skradam się w lewy ciąg. Przystaję co kilka kroków i podpieram o ścianę. Muszę przyzwyczaić mięśnie do intensywnego ruchu. Słyszę ciche, krótkie stukanie. Ręce mi drżą. Znowu rozwidlenie. Źródło dźwięku zbliża się w moją stronę. Do uszu dobiega cichutkie nucenie jakby piosenki znanej mi z dzieciństwa. Łapię się za pierś.

Przede mną staje mały chłopczyk w zielonych krótkich spodenkach i czarnej bluzie z kapturem.

— Co tu robisz, chłopczyku? — pytam, uśmiechając się w jego stronę, aby się nie przestraszył.

Nie odpowiada. Obserwuje. Jego twarz jest spokojna. To we mnie jest więcej lęku niż w tym dziecku.

— Zgubiłeś się? — dopytuję. Nie mam pojęcia, jak rozmawiać z dziećmi. Przecież to ja potrzebuję pomocy, aby się stąd wydostać. Ale jak poprosić o to obce dziecko?

Kręci głową; jego kruczoczarne, lśniące włosy opadają delikatnie na oczy, przykrywając brwi. Na wskazującym palcu lewej dłoni dostrzegam przypięte urządzenie przypominające pulsometr.

Może jednak jestem w szpitalu?

Chłopczyk uśmiecha się i podchodzi. Wyjmuje z kieszeni bluzy mały kwiat lawendy i podaje mi go.

— Mam wziąć?

Nie odpowiada, tylko przytakuje. Nie mam siły, ale kucam przed nim niezdarnie, aby mieć jego wzrok na wysokości moich oczu. Zabieram kwiat i wciągam jego zapach nozdrzami.

— Dziękuję, jest cudowny. — Uśmiecham się.

Chłopiec odwraca się i odchodzi. Z tyłu na szyi, spod bluzy wystaje szeroki plaster przyklejony do skóry.

To było dziwne przeżycie. Oby tylko nikomu nie powiedział, co widział. Nabieram powietrza, powoli wstaję, wypuszczając je. W dłoni trzymam kwiat dodający otuchy.

Powoli idę w przeciwną stronę niż chłopczyk. Hol skręca w prawo, a za rogiem czekają mnie jeszcze tylko schody. Na ich szczycie odnajduję stalowy właz, za jego maleńką szybą można ujrzeć światło dzienne.

„Żeby tylko był otwarty” — modlę się w duchu. Wystarczy przecież, by ludzie, których słyszałam przed salą, użyli klucza, by zamknąć mnie w środku.

Na szczęście lenistwo lub brak uwagi może uratować komuś życie. Promienie słońca za ciężką klapą są bardzo jasne. Musiałam spędzić w tym dziwnym miejscu faktycznie sporo czasu. Po dłuższej chwili przyzwyczajania oczu do dziennego światła, mam możliwość przyjrzenia się okolicy.

— Muszę się stąd jak najszybciej wydostać. Kto za tym wszystkim stoi? — Dręcę się pytaniami, na które nie znam odpowiedzi. Stoję półnaga przy drodze. Pod bosymi stopami czuję gorący ceglasty piach. — Co, do cholery?! — Obracam się i nagle dostrzegam, że w ziemi, pod cienką warstwą piachu, co parędziesiąt metrów znajdują się identyczne wrota jak te,

przez które właśnie zdołałam się wydostać. To miejsce wygląda bardzo znajomo. Czyżbym tu już była? Nagle serce bije mi mocniej, źrenice gwałtownie się zwężają. Znam to miejsce. Cholera! To droga, którą jechałam samochodem z Robertem. To ta sama droga, gdzie niedaleko znajduje się ten burdel TINA!

Co tu jest grane?! Tina, tylko ona mówiła mi, żeby nikomu nie ufać. Czyżby wiedziała, co tu ma miejsce? Muszę się dowiedzieć. Muszę do niej iść. Skoro ostrzegła mnie, by nikomu nie ufać, musi być moją ostatnią deską ratunku. Być może ona będzie w stanie mi pomóc... Przynajmniej mam taką nadzieję.

Staram się utrzymać równowagę, ale piasek jest na tyle gorący, że moje stopy szybko pokrywają ropne bąble, które po chwili pękają, powodując ogromny ból. Jeśli dobrze pamiętam, zaraz powinny się pojawić pierwsze budynki pokryte bluszczem. Dziwne, że w takim miejscu jest tyle zieleni, muszą posiadać pokaźne zasoby wody.

Docieram do starej pękniętej drogi, to musi być już tu. Rozgrzany betonowy trakt pali gołą skórę. Idąc wzdłuż, dostrzegam widmo falującego od gorąca neonu. Brak światła oznacza, że bar jest nieczynny. Liczę na to, że jednak znajdę tam Tinę. Trzaskam pięścią w drzwi, suchość w ustach nie pozwala mi na wołanie. Nikt nie otwiera. Już sięgam dłonią do klamki, gdy nagle słyszę kroki zmierzające w moim kierunku i skrzypiącą pod nimi podłogę. Zastygam w bezruchu z wyciągniętą dłonią. Wszystkie moje mięśnie rozluźniają się w jednej sekundzie.

— Tina... Tak się cieszę, że to ty.

— Elia, co ci się stało?! — krzyczy z przerażeniem w oczach i szybko mnie łapie, w ostatnim momencie chroniąc przed

twardym upadkiem. — Gdzie twoje ubranie? Wiesz o tym, że świecisz gołym tyłkiem?

— Nie mam już siły...

— Chodź, w rogu jest sofa, połóżysz się. Twoje stopy... Poczekaj, zrobię coś, co ci pomoże.

— Obyś miała rację. Ufam, że to „coś” postawi mnie na nogi, a nie wbije jeszcze bardziej w ziemię. — Uśmiecham się niezdarnie, choć wcale nie mam na to ochoty. Zimna sofa staje się ogromnym lekarstwem na moje bóle. Z chęcią położyłabym się na niej i usnęła.

— Na pewno pomoże.

— Miałaś rację, a ja nie wierzyłam.

— O czym mówisz?

— Miałaś rację, mówiąc, że nikomu mam nie ufać. Chyba dobrze wiesz, co się stało, skoro jesteś córką Daniela i jeszcze nie pytasz o szczegóły. — Waham się przez chwilę, czy brnąć dalej. Podpieram się dłońmi o siedzisko i usadawiam wygodniej. — Chcę tylko wiedzieć, co dalej? Na czym stoję? Pogubiłam się w tym.

Znam to spojrzenie, jakie na mnie rzuca. To litość, która doprowadza mnie do białej gorączki. Nie potrzebuję jej, tylko prawdy!

— Elia... Wiem tyle, ile mi mówią. Staram się od tego odciąć. Wolę się nie wtrącać w sprawy ojca. Z tego, co usłyszałam z barowych zwierzeń i co mi powiedziano, to twoja matka ma z moim ojcem dziecko, chore dziecko. Chore, jak cały ten układ. Przykro mi to mówić, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Samo to, że zdradził matkę, jest... — Tina otrząsa się z odrazą.

Rozumiem, że mówienie o tym wprawia ją w obrzydzenie.

— Nieważne. Chcą cię wykorzystać do wyleczenia chłopaka i tyle. — Wzrusza ramionami. — Masz, to powinno ci pomóc. Bez marudzenia, wypij do dna. — Stawia przede mną na stole dziwny napój.

Przeźroczysty płyn w wysokiej szklance wygląda jak sama woda, ale musi tam być coś mocniejszego. Widać, jak powoli rozwarstwa się na dwie części. Ta dolna jest na tyle ciężka, że po chwili napój wygląda jak jakiś dwufazowy płyn do demakijażu. Uspokaja mnie widok tych falujących substancji. Zawieszam się chwilę nad szklanką i nad tym odprężającym widokiem.

— Jakoś to do mnie nie dociera... — Odrywam wzrok od szklanki. — Jeszcze ta sprawa z Robertem. Jakoś nie potrafię w to uwierzyć, jak mógł się zamienić w takiego zimnego sukinsyna? Nie, to niemożliwe.

— Elio... — milknie. Siada na barowym krześle.

— Przecież to twój brat, musiałaś wiedzieć, co się dzieje. — Ciskam gniewne spojrzenie w kobietę. — Jesteś taka, jak oni.

— Zrozum, to nie tak... Ja... Cholera! Nie mogę, po prostu nie wiem, jak cię przekonać. Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Łączą nas więzy krwi, ale nic poza tym.

— To pewnie wiesz, że Robert mnie uwiódł?

Jej wzrok wydaje się zmieszany.

— Tak myślałam — dodaję.

— Nie miałam na nich wpływu. Jestem świadoma tego, jak ciężko jest zaakceptować tę niedorzeczną sytuację. — Spuszcza głowę, wlepiając wzrok w podłogę.

— Mnie to mówisz?

Wypijam do dna wodę, która ma bardzo dziwny posmak. Znam ten składnik, tylko skąd? Bardzo gorzki i cierpki. Powieki

robią się ciężkie.

— Widziałam go. Jest do niej podobny...

Ręce bezwładnie opadają wzdłuż ciała. Nie czuję już żadnych emocji, tylko senność.

— Elio... — Usta Tiny poruszają się, ale nie bardzo rozumiem, jakie dźwięki z nich wypływają.

Osuwam się powoli na sofę, z całych sił staram się otworzyć oczy, ale to nic nie daje. Jestem tak bardzo zmęczona, marzę tylko o śnie. Chcę po prostu zasnąć. Może obudzę się i to wszystko okaże się tylko koszmarem. Biorę jeszcze jeden głęboki wdech, jak niemowlę, które czuje się bezpiecznie na kobiecej piersi. Powietrze wdziera się do płuc, dotleniając mój organizm.

— Lawenda... Jak ja kocham ten zapach.

OBŁĘD

Nagły reset umysłu jest niczym ponowne uruchomienie komputera. Natychmiastowe wykonanie komendy grozi utraceniem danych lub zaistnieniem błędu na dysku.

Z głębokiego snu wybudza mnie dźwięk szumiącego radia. Powoli otwieram posklejane powieki. Leżę półnaga w białej pościeli, na drewnianym łożu. Siadam ostrożnie na jego krawędzi. Stopy już nie boją, pokrywają je przyklejone plastry. Pewnie są nasączone środkiem przeciwbólowym. Odruchowo chwytam się za brzuch w niewiedzy, czy to sen, czy jednak nie. Małe okna zasłonięte są roletami z białej, płóciennej tkaniny. Kojarzę ten styl. Podobny do wystroju domu Roberta.

— Obym się myliła — szepczę do siebie.

Przeczესuję dłonią splątane włosy. Narzucam na siebie koszulę, pozostawioną na małym stoliku, sięga mi prawie do kolan. Przydługie rękawy podwijam na wysokość łokci. Ktoś musi za tym stać, to wszystko wygląda na starannie przygotowane. Podchodzę do drzwi. Przez szparę między nimi a podłogą wdziera się jasne światło. Wygląda na to, że jest słoneczny, gorący dzień.

— Niech się to wreszcie skończy, ostatnio nic tylko albo dostaję po dupie, albo mnie usypiają. Co ja jestem — kukielka, czy co?

Wychodzę powoli, w końcu nie wiem, czego się spodziewać. Drewniana podłoga przypomina teakowy pokład. Oby to nie było to, co myślę.

— Cholera! Wiedziałam, przecież to przekłeta łódź!

— To nie jest zwykła łódź.

Słyszę go. Nieruchomieję, stoję jak wryta. Nie wiem, co zrobić. Czy to się dzieje naprawdę? Tak! Dzieje się. Moje nogi są jak z gumy.

— Robert? Nie zbliżaj się do mnie! Nie wiem, co mi wtedy zrobiliście, ale...

— Elia! — przerywa. — Czekał, musimy sobie coś wyjaśnić. — Podchodzi do mnie.

— Nie nazywaj mnie tak! Ja nic tobie nie muszę wyjaśniać i nie obchodzi mnie, co chcesz powiedzieć. Nie masz prawa... Rozumiesz? Nie masz prawa mnie tak nazywać! — krzyczę. Wycofuję się powoli na tyle, na ile pozwala mi pokład.

— Elio, stój... — woła błagalnym tonem z podniesionymi rękami.

Patrzając na jego twarz, czuję wstręt, przechodzi mnie dreszcz.

— Poczekaj, daj mi wszystko wyjaśnić... Proszę.

— Odwal się! — krzyczę.

Łzy płyną gęstym strumieniem. Cofam się, uderzam o stojącą za mną nadbudówkę. Nie mam już dokąd uciec. Ze wszystkich stron otacza nas woda, na horyzoncie nic nie widać, a słońce piecze niemiłosiernie moją bladą skórę.

— Elia, czekaj, uspokój się, to ci wyjaśnię! — mówi stanowczo. Dłońmi pokazuje, bym usiadła.

Nie pozostaje mi nic innego, jak posłuchać tego, co ma do powiedzenia. Stoję i czekam na wyjaśnienia. Podchodzi

powoli, chwyta w dłonie moją twarz. Zaciskam zęby i staram się nie pokazać żadnej słabości. Przewyciężyć strach.

— Nazywam się Edward Lloyd. Słyszysz?

— Co?

— Proszę, zaufaj mi — jego głos jest spokojny i łagodny. — Robert jest moim bratem bliźniakiem. Poznałaś go w pracy, ściagał cię w delikatesach, przypomnij sobie. Miał kaptur, dlatego go nie rozpoznałaś, ale znasz go tylko z pracy. Zimny i arogancki, jest moim totalnym przeciwieństwem. Zabrałem cię spod sklepu i zaprowadziłem do domku w lesie, pamiętasz?

— Drwisz sobie ze mnie? — Odtrącam jego dłonie, odsuwam się i idę w stronę dziobu. Nie wierzę w jego słowa.

— Dawno temu odciąłem się od mojej rodziny, w sumie to kontakt mam tylko z Tiną.

— Z Tiną? Ona jest taka sama! — Idę dalej. Za plecami słyszę jego kroki.

— W pewnym czasie pokłóciłem się z ojcem i bratem, od tamtego momentu stali się dla mnie obcymi ludźmi.

Odwracam się w jego stronę.

— Jakoś nie jestem w stanie uwierzyć w tę bajeczkę. Skąd mam wiedzieć, że mówisz mi prawdę?

— Wytlumaczę, to trochę skomplikowane...

— Jeżeli to prawda, to dlaczego chciałeś mnie uratować? — przerywam mu. — Słyszałam, że bliźniaki są takie same.

Jego półuśmiech znika, na jego miejscu pojawia się smutek. Rzuca mi badawcze spojrzenie, jakby oczekiwał wyjaśnień.

— No dobra, dawno temu dowiedziałem się o zdradzie ojca, oraz o paru jego tajnych przedsięwzięciach w firmie. W obydwie sprawy jesteś nieświadomie wpłątana.

— To by się zgadzało.

— Wiem, że prowadził jakieś badania genetyczne. Natknąłem się na tajne pliki w jego komputerze i to, co zobaczyłem, przeraziło mnie. — Wlepia wzrok w pokład, jakby walczył z tym, co ma zaraz powiedzieć. Podnosi spojrzenie na moją twarz. — Wszystkie testy przeprowadzał na mojej matce. — Robi krok w moim kierunku. Widzę, jak smutek miesza się z żalem.

— Mów dalej.

— W dzień przed naszym pierwszym spotkaniem widziałem się z bratem. Stąd miałem informację, gdzie będzie pracował. Skojarzyłem, że musiało to mieć ścisły związek z tobą. Teraz jestem tego pewien. Chcieli zdobyć moduł, który masz, albo raczej miałaś, bo pewnie został w laboratorium.

— Na śmierć o nim zapomniałam. Muszę po niego wrócić! Tam na pewno jest coś więcej. — Na samą myśl o powrocie do koszmaru robi mi się niedobrze, na całe szczęście jestem obok burty i oddaję Neptunowi co nieco. — Eee... Edward, mogę tak mówić?

Przytakuje, uśmiechając się.

— A pomijając to wszystko — marszczę czoło i drapię się po głowie. — Będziemy w najbliższym czasie przy jakimś sklepie?

— Raczej nie. Tam, gdzie płyniemy, nie ma miasta. Dlaczego pytasz?

— Nie czuję się za dobrze, wręcz zbiera mi się ciągle... No wiesz, na wymioty. Nie, żebym uzależniła się od tych twoich magicznych lekarstw, ale teraz mogłyby mi pomóc. — Chwytam dłoń za brzuch, nie wiem, czy to efekt badań, czy narastającego stresu. — Czuję okropny ból w okolicy podbrzusza i połowie pleców. Nie mam pojęcia, co mi tam zrobili, ale mówili coś

o operacji. Chcieli wyciąć moją nerkę. Muszę wiedzieć. Chcę wiedzieć, czy to zrobili.

— Podnieś koszulę, to zobaczymy, ale raczej byś się zorientowała.

— Chyba sobie kpisz? Po tym wszystkim mam ci zaufać? Postaw się w mojej sytuacji! Co byś zrobił?

— Poczekaj na rozwój wydarzeń. Podnieś koszulę — nalega.

— To jakiś obłąd. — Kręcę głową, śmiejąc się jak histeryczka.

— Spaliśmy razem, a teraz się wstydzisz? Nie bądź dzieckiem, tylko zerknę. Nawet cię nie dotknę, obiecuję. — Podnosi rękę.

— Odwal się! Nie chcę mieć z wami nic wspólnego, nie prosiłam się o to!

Nie jestem w stanie daleko odejść. Edward zdecydowanym ruchem kładzie rękę na moim ramieniu i przytrzymuje.

— Uspokój się!

— Gdzie byłeś, gdy mnie ścigali? Gdzie? — krzyczę w nerwach. Próbuję się oswobodzić z uścisku, ale nie umiem.

— Uciekłaś samochodem. Zabiłem dwóch ludzi, ale reszta pojechała za tobą. Zanim zdołałem się pozbierać, byłaś daleko... Na piechotę bym cię nie dogonił, a teraz cudem udało mi się przekupić strażników, by nie robili obchodu i zostawili wszystko otwarte.

— Jasne...

— Spójrz mi przynajmniej w oczy, kiedy do ciebie mówię. — Chwyta za twarz i kieruje w swoją stronę. — Uwierz mi, proszę, nie chciałem, żeby tak się stało.

— Dobra. Robert pewnie kłamał, wdał się w twojego ojca, więc musiał kłamać.

Jego chwilowe milczenie sprawia, że w mojej głowie kotłują się sprzeczne myśli. Nagle rozluźnia uścisk, wypuszcza mnie i odchodzi w kierunku schodów. Zostaję na chwilę sama ze sobą i otaczającą mnie wodą. Nie wiem, czy wierzyć jego słowom. Miałoby to sens, ale taką historyjkę każdy może opowiedzieć. Gładzę stopą leżący obok gruby sznur. Uzmysławiam sobie, że dalej jestem w koszuli i na bosaka. Może jednak polubię te łódeczki. Myślę, że mogłabym się tu odprężyć i zapomnieć o wszystkim.

Podczas gdy Edwarda nie ma na pokładzie, mam wreszcie okazję, by przyjrzeć się otoczeniu. Bez wątpienia jest to jeden z najcudowniejszych widoków, jakie w życiu widziałam. Fale załamują się niczym olbrzymie połączenie grafitowego aksamitu wyścielonego po sam horyzont. Jacht jest duży. Z łatwością pomieści przynajmniej dwadzieścia osób załogi. Przechylony, w pełnym ożaglowaniu mknie niestrudzenie w wyznaczonym kursie. Jak strzała wystrzelona z łuku zmierzająca do celu. Wysoki maszt kołysze się miarowo. Żagle wypełnione wiatrem wydają się potężne. Zdolne opanować żywioł, rozpędzają ciężką konstrukcję stworzoną przez ludzkie ręce. Konstrukcję stawiającą czoła trzem żywiołom: powietrzu, wodzie i ludzkiemu strachu. Tylko ja, Edward i bezmiar przestrzeni.

— Jak to możliwe, że ten olbrzym płynie, a ty nawet nie trzymasz za ster? — Patrzę na dwa okazałe, samokorygujące się koła sterowe.

— To autopilot. Na dużych przestrzeniach jest przydatny, szczególnie w samotnej żegludze.

Z nadmiaru wrażeń kręci mi się w głowie. Łódź wspina się na fale, by spłynąć z nich, przebijając dziobem wodę niczym chirurg skalpelem ludzką skórę.

Zapach lawendy wodzi mnie za nos, a szum wody odpręża. Schodzę powoli po drewnianych schodkach. Nie chcę, by stopy znowu krwawiły. Edward klęczy przy szafce, uniesiona koszula odsłania na plecach bliznę po cięciu i ślady po szwach.

— Przepraszam... — mówię, czując wyrzuty sumienia. — Po prostu to bolało, gdy widziałam cię... yy... Raczej Roberta przy Danielu. Mam potężny mętlik w głowie. — Wzdycham głośno.

Edward wstaje i odwraca się w moją stronę.

— Nie wyjaśnił, kim jest. To było jak cios w policzek. Sama nie wiem, co o tym myśleć... To takie... dziwne.

— Wiem, dla mnie również nie jest to łatwe. Nie wyprowadzałem cię z błędu wcześniej, aby nie namieszać w głowie. Wiedziałem, że kiedyś to nastąpi.

Ma rację, gdyby powiedział mi o tym wcześniej, pewnie zareagowałabym panicznie i uciekła jak najdalej od niego, myśląc, że to psychopata.

— To... co z tym? — Wskazuję na brzuch.

— Zerknij sama pod koszulkę, ale i tak będę musiał cię zbadać.

— Dlaczego?

— Żeby się upewnić, czy nie masz urazu lub zapalenia, albo co gorsze, czy nie brakuje ci jednej nerki. — Uśmiecha się. — Dzisiejsze technologie są mało inwazyjne, więc albo masz ogromną szramę zrobioną przez pseudolekarzy amatorów, albo blizna może być niewidoczna już na drugi dzień po zabiegu.

Zachowuje się jak prawdziwy, rasowy lekarz.

— Zgoda, ale nie pozwalaj sobie za dużo. — Grożę palcem.

— Przysięgam. — Salutuje jak żołnierz.

Kąciaki moich ust unoszą się do góry, ale nie daję nic po sobie poznać. Podchodzi bliżej. Rozpinam guziki i rozchyłam koszulę. Bada opuszkami palców brzuch i plecy. Jego ciepłe dłonie wędrują po mojej zimnej skórze. Czuję dreszcze, nie wiem, czy strachu, czy podniecenia. Są miłe, płytko oddycham.

— Boli? — Naciska w paru miejscach i puszcza.

— Nie.

Przechodzi do pleców. Sama nie wiem, czy faktycznie bada moje ciało, czy to pretekst, by mnie dotknąć. Nagle odrywa dłonie i wraca do grzebania w szafce.

— Nie ma śladu po żadnej operacji, ale możesz się czuć trochę nieswojo. Diabeł wie, czym cię tam nafaszerowali — rzuca przez ramię.

— Nie powinnam cię o nic obwiniać. — Spuszczam koszulę z powrotem, zapinając guziki. — W sumie dopiero co się poznaliśmy. A takie okoliczności nie sprzyjają dobrym znajomościom.

— Wiesz... To nie do końca prawda, Elio.

— Co masz na myśli? — pytam zdziwiona.

— Znamy się od bardzo dawna. Nie pamiętasz, bo jesteś młodsza. Przypomnij sobie laboratorium, w którym cię trzymali. — Edward wstaje, powoli podchodzi i wręcza mi ręcznik. — Odpręż się, a ja przygotuję coś smacznego. Przy dobrych wiatrach, za parę godzin powinniśmy dopłynąć do celu.

— Do celu? — patrzę na niego, zadzierając brodę.

Stoi obok, skierowany twarzą do wyjścia. Ociera się o moje ramię.

— Powiem ci później.

PRAWDA

Najgorszą rzeczą w świecie jest zapomnienie, ale są pewne momenty w życiu, które chciałoby się wymazać z pamięci raz na zawsze.

Krocząc w mroku, albo pragnie się w nim pozostać, albo jak najszybciej z niego wydostać, lecz na rozstaju dróg ciężko podjąć jakąkolwiek decyzję. Bezpośredni impuls otoczenia może skierować cię na jedną ze ścieżek, życie bowiem składa się z przypadków. Lecz gdy połączymy je w jedno, tworzą całość.

Pamiętam. Łzy spływają po ciepłym, lekko zaczerwienionym od gorącej wody policzku.

— Jego oczy... Pamiętam. — Ten z laboratorium miał inne. Gdy się do mnie zbliżył, wiedziałam, że to nie był on. Oczy Edwarda są zielone, ale mają jakby wylany brązowy barwnik. Już wiem, dlaczego są tak hipnotyzujące. Pływają razem z jachtem, tworząc z nim idealną harmonię.

— Cholera, pamiętam! — krzyczę radośnie. Z serca spada ogromny kamień.

— Wiedziałem, że sobie przypomnisz, mnie nie można zapomnieć.

Powoli się odwracam. Stoi tuż obok oparty łokciami o jedno z potężnych kół sterowych. Te same oczy i podejrzliwy wzrok. Przygryzam lekko wargę.

— Pamiętam nasze zabawy w berka i chowanego, to ty mi się śniesz po nocach.

— Widzisz, czekaj... Jak to nazywają? — Drapie się po brodzie, drocząc się. — Niech no tylko pomyślę... Wiem! Przeznaczenie, czyż nie?

— Ha! Rozbawiłeś mnie. — Lekki wiatr rozwiewa moje włosy, zmuszając mnie, by pozbierać je z twarzy. — Jak to możliwe, że o was zapomniałam?

— Pamięć jest krucha, minęło sporo czasu — mówi.

Wdycham zapach słonawej wody.

— Widok morza zapiera dech w piersiach, uspokaja. Chcę zamknąć oczy i pozostać tu na bardzo długo.

— Tak... — pośępnieje, spuszczać wzrok w podłogę. — To jedno z moich marzeń. Może kiedyś...

Lekkie bujanie sprawia, że serce zaczyna mi mocniej bić. Może to dziwne, ale podoba mi się uczucie podnoszącej się adrenaliny wprawiającej mnie w stan euforii. Gdyby nie dźwięk obijających się o maszt szekli, można by było zatracić się w marzeniach. Być może potrafiłabym pokochać takie spokojne życie. Wiecznie w podróży. Ostatnio muzyką dla moich uszu stała się cisza, a cisza na jachcie jest magią.

— Chcesz chwycić za ster? — pyta Edward.

— Mówisz poważnie? — patrzę na niego.

— Czemu miałbym kłamać?

— Może dlatego, że masz to w genach? — mrużę oczy.

— Zabawna jesteś. Strach cię obleciał?

— Żartujesz? Po tym wszystkim, co dotychczas przeszłam, mam się bać kawałka drewna?

— Ej, ostrożnie! — ostrzega. — Nie obrażaj jej, bo zwróci się przeciwko nam.

— Wybaczy pani? — pytam, kłaniając się jak baletnica. Rozpościeram ręce, udając, że przytrzymuję sukienkę. Zwracam

honor łodzi.

— Jesteś zdrowo rąbnięta — śmieje się na cały głos Edward. — Chodź tu — nakazuje.

Łapię dłońmi za olbrzymie koło sterowe. Pod palcami czuję gładkie lakierowane drewno. Nagle podmuch wiatru wyrywa ster w prawą stronę. Edward reaguje natychmiast i chwyta moje dłonie, korygując kurs.

— Musisz mocno trzymać, nie wystarczy tylko głaskać. To bestia, którą trzeba ujarzmić. Schwytaj ją i rozkazuj. Niech cię posłucha.

Zaciskam mocniej palce na drewnie.

— Zamknij oczy.

— Po co?

— Zamknij.

Zamykam powieki. Czuję jego ciepły oddech na moim uchu.

— Nie otwieraj. Zaraz coś poczujesz.

Jego głos przyprawia mnie o dreszcze. Łódź podnosi się i opada. Zaciskam palce na sterze. Ciepłe dłonie Edwarda oplatają moje. Nagły boczny podmuch wiatru szarpie za koło, ale już wiem, że trzeba je utrzymać. Czuję, jakbym spadała, jakbym była sporo lżejsza.

— Cudowne! — Śmieję się radośnie. Już dawno nie czułam takiej radości z życia. Dotychczas nie zaznałam tak wspaniałej beztroski. W ułamku sekundy odpuściło całe napięcie.

— Mówiłem. Możesz otworzyć oczy.

Wspinamy się na falę, by znowu z niej spłynąć. Niesamowite uczucie wolności ogarnia moje ciało.

— To była ostatnia okazja dzisiaj. Woda się uspokaja.

— Dziękuję — mówię cicho. Patrzą mu w oczy, jego wargi są tak bardzo blisko, mam ochotę ich sięgnąć. — Naprawdę.

— Proszę bardzo — mówi zadowolony. — Przed tobą jest kompas. Za chwilę będziemy zmieniać kurs. Zrobimy to razem. By wytłumaczyć ci ten manewr, zrezygnujemy ponownie z jednego zmysłu. Zamknij oczy — rozkazuje łagodnym tonem. — To będzie twój pierwszy manewr wykonany z taką nonszalancją — mówi pewny siebie.

Ta pewność siebie i jego obecność sprawia, że bez słowa zamykam ponownie oczy. Po chwili słyszę jego miarowy oddech, musi być bardzo blisko.

— Nic nie widzisz. Poczuj, skąd wieje wiatr. Poczuj go na twarzy. A teraz spraw, by z jednej strony twarzy przeszedł na drugą. Powoli, bez gwałtownych ruchów.

Chwyta moje dłonie spoczywające na sterze i delikatnie obraca je w lewą stronę. Wiatr z lewego policzka zaczyna przechodzić przez środek twarzy, rozwiewając moje włosy do tyłu. Czuję narastające fale, jakby żywioł wystawiał na próbę moje nerwy.

— Spokojnie, nie obawiaj się. Przecinasz właśnie dziobem linię wiatru.

Fale uspokajają się, a cała konstrukcja przechyliła się znacznie na drugą stronę. Muszę uważać, by utrzymać równowagę przy sterze. Nagle słyszę huk połączony z trzepotaniem. Wypuszczam powietrze, uspokajając się.

— To wiatr. Żagiel złapał go w swoje sidła. Czujesz, jak nabieramy prędkości?

Jego policzek ociera się o moje ucho, w głowie zaczyna mi wirować. Czuję słodkie podniecenie. Czy to przez jacht, czy przez bliskość Edwarda i jego ciepło na mojej skórze? Może i jedno, i drugie działa na mnie jak narkotyki?

— Tak! — krzyczę. Na mojej twarzy pojawia się szczery uśmiech. To, co poczułam, to pełnia szczęścia. Współpraca z żywiołami...

Jego dłonie prowadzą moje, by skorygować kurs na optymalny względem wiatru.

— Dobra robota. Jak się z tym czujesz?

— To niesamowite. — Otwieram oczy i widzę, jak przechylony w przeciwną stronę mknie przed siebie. — Cudowna łódź.

— Wiem, budowałem ją ponad dwa lata — mówi z dumą.

— Sam? — Unoszę w zdziwieniu brwi.

— Z bratem. Wtedy jeszcze miałem z nim dobre relacje.

— Jest piękna.

— Wszystko, co widzisz, wykonałem własnoręcznie. — Gładzi ręką ster.

— Nazwałeś ją? — pytam po chwili.

— „Czarny Kormoran”. Gdy budowaliśmy jacht, bardzo często towarzyszył nam ten piękny ptak. Pojawiał się, a później znikał, zupełnie jak fatamorgana.

Uśmiecha się, ustawiając ponownie autopilota.

— Zachodzi słońce. — Edward wskazuje palcem na ognistą połówkę jeszcze widoczną na widnokręgu. — Niebo zaraz obleje się czerwienią. Podobno gdy słońce schowa się za horyzont, na mgnienie oka pojawia się zielona luna. Dostrzeżesz ją, gdy uważnie się przyjrzysz.

— Wiem. To zjawisko zielonej obręczy. Przyczyną jest załamanie się światła w atmosferze.

— Ależ ty jesteś romantyczna, niech cię szlag Elio! — śmieje się, a ja razem z nim.

— Zdradzisz, dokąd zmierzamy? — pytam.

— Chodź. — Macha dłonią. — Bo zaraz naszą kolację zjedzą rybki.

— Tylko nie to, nie podzielę się!

— Nie będę cię dłużej trzymał w niepewności, Elio. — Zamyka zasuwę małego schowka w podłodze. — Płyniemy do bliźniaczego laboratorium, po drugiej stronie zatoki. To w nim był wybuch. Po katastrofie mój ojciec wybudował drugie, identyczne.

— Chyba przepada za bliźniakami — stwierdzam, obrzucając Edwarda badawczym spojrzeniem. Znika pod pokładem, podążam prędko za jego śladem.

— Myślę — zaczyna — że tutaj możemy dostać się do bazy danych i odszukać to, co było w module, jeżeli został on otwarty w biurze Roberta.

— A jeżeli nie otworzył go w laboratorium, tylko gdzie indziej?

— Wtedy znajdziemy inny sposób. Mam też nadzieję, że wyszperamy coś w starych aktach ojca. Przynajmniej jakąś wskazówkę.

— Wskazówkę? — pytam z zaciekawieniem.

— Oni coś knują. Tina podsłuchiwała rozmowy pijanych mężczyzn. Bełkotali na temat eksperymentów.

— Eksperymentów? Tam gdzie mnie trzymano? — Otwieram szerzej oczy. Siadam obok Edwarda. Otwieram plastikowy pojemnik. Przelykam ślinę na widok pachnącej ryby. — Ale jakich eksperymentów?

— Dobre pytanie. Chcesz iść z jedzeniem na górę?

— Czytasz w moich myślach.

Siadamy na podłodze, opierając się o nadbudówkę. Woda jest już spokojna, niebo przybrało czerwony odcień.

Rozkoszuję się delikatnym smakiem ryby i widokiem falującej wody.

— Smaczne — stwierdzam.

— Dziękuję. — Odkłada swój pojemnik na podłogę, wstaje i opiera się przedramionami o relingi.

Przez chwilę grzebię widelcem w sałatce. Przeszły mnie wątpliwości, czy mogę mu w pełni zaufać. Jest synem Daniela, bratem Roberta. Te same geny, to samo wychowanie. Zastanawiam się, czy istnieje coś, co mogłoby sprawić, aby się ode mnie odwrócił.

— Nad czym tak myślisz?

Jego twarz jest pogodna. Szczera.

— To nie ja. — Kręcę głową. — To moje myśli jeżdżą w głowie.

Nie śmieje się ze mnie, nie komentuje. Patrzy uważnie, jakby czytał moją twarz.

— Na stole pod pokładem jest zaparzona herbata w termosie, jeśli masz ochotę.

— Nie odmówię.

Nigdy nie byłam na jachcie. Nigdy też nie przypuszczałam, że jego wnętrze może być przestronniejsze od mieszkania. Drewno łączy się ze skórą i stalą. Płyty z blatów wglądają jakby z czarnego marmuru.

Lodówka, piekarnik z piecem, słodka woda z kranu... Jak to wszystko może mieścić się pod pokładem w taki sposób, że jacht stoi w idealnym poziomie? Obszerne sypialnie i dwie łazienki. Szerokie okna na suficie, przez które wlewa się czerwień zachodzącego słońca. Za sprawą jednego przycisku na ściennym panelu zmieniają się w mniej prześwitujące, jakby

zmrożone. Na olbrzymim stole niczym do gry w bilard, w centralnym miejscu, widnieje majestatyczna róża wiatrów.

Gdzie nie spojrzę, tam mnóstwo elektroniki ułatwiającej nawigację oraz manewrowanie. Jacht jest nią dosłownie naszpikowany. I te wygodne materace... Wraz z falami można na nich dosłownie odpłynąć w błogi sen. Największe wrażenie robi spory przeszklony fragment podłogi jednej z sypialni, przez którą widać toń. Pewnie w słoneczne dni, gdy jacht wypływa w egzotyczne miejsca, można podziwiać przez to okno podwodne życie, rafy, ryby. Jak w olbrzymim, naturalnym, morskim akwarium.

Na blacie, tuż obok świeżych owoców w bambusowej misie, stoi termos. Przytomnieję z zachwytu, zabieram termos i wychodzę z powrotem na pokład.

Podaję Edwardowi metalowy kubek wypełniony gorącą herbatą. Nalewam sobie do drugiego i upijam ostrożnie, imbirowy smak z odrobiną cytryny łaskocze mój język.

— Byłeś blisko z ojcem? — pytam, choć nie chcę go urazić. W końcu każdy ma struny, których nie powinno się szarpać.

— Tak, ale już nie jestem. Zanim odszedłem, skonstruowałem system, który pozwala przechować dane z drugiego laboratorium.

— Czyli je ukraść? — Unoszę wzrok znad kubka.

— Można to tak ująć. — Uśmiecha się do mnie lekko, ale czule. — Elio... Chcę, żebyś wiedziała, że to nie jest sen, z którego możesz się obudzić. Chcę powiedzieć... — Patrzy mi głęboko w oczy i nabiera powietrza. — Przygotuj się na najgorsze. Cokolwiek tam się stanie, raczej nie będzie to nic dobrego.

— A jeżeli nic tam nie znajdziemy?

— Przynajmniej podróż da nam chwilę wytchnienia.

— Masz rację.

Powroty do przeszłości zawsze są bolesne, ale żeby się od niej uwolnić, trzeba stawić jej czoła. Dopiero potem można zamknąć to, co za nami. Można zapomnieć i żyć dalej w nadziei, że potwory już nie wrócą.

Edward zwija grota i wyrzuca za burtę swoją część obijaczy. Wiatr ustaje, rozlega się dźwięk silnika. Zawsze podziwiałam żeglarzy za zdolność samodzielnego manewrowania takim olbrzymem. Płyniemy przy brzegu, mijając co jakiś czas zatoczki. Piękną i nietkniętą naturę w całej swojej okazałości. Znad spokojnej tafli, tuż przy brzegu, wystają gęsto porośnięte zielone pałki wodne, na ich końcach rozpościerają swoje płatki niebieskie kwiaty.

Pośród większości zatoczek, które otacza dziki las, dojrzałam perłę. Idealna na chwilę zapomnienia. Mała, romantyczna i osnuta kolorami zachodzącego słońca, piaszczysta plaża pośród wysokich na kilka metrów drzew. Chciałoby się wyskoczyć za burtę łodzi i uciec do tego raj. Zapomnieć o wszystkich wydarzeniach i zacząć wszystko od nowa. W ciszy, na odludziu, gdzie nikt nas nie odnajdzie. Niestety Edward ma rację, to nie jest sen. Muszę przetrwać i zmierzyć się z tym, co mnie czeka.

LABORATORIUM

Wiara. Czymże jest wiara jak nie złudzeniem?

Gdy cumujemy, zapada zmrok. Edward pokazuje mi podstawowe rzeczy znajdujące się na łodzi, wyjaśniając ich funkcje i nazewnictwo w żeglarskim żargonie. Udziela instruktażu zachowania się na pokładzie przy cumowaniu, wypadnięciu za burtę oraz obsłudze jachtu za pomocą elektroniki, także w razie jej awarii. Na początku wydaje się to skomplikowane. Każda lina ma inną nazwę oraz funkcję. Wszystko skonstruowane tak, aby jedna osoba była w stanie sterować całą konstrukcją. Zapamiętanie i poukładanie w głowie niezbędnego minimum jest dosyć trudne, w szczególności gdy człowiek nigdy nie miał styczności z większością znajdujących się na niej rzeczy, ale po chwili sprawia mi to ogromną przyjemność.

Po intensywnym i szybkim szkoleniu mogę zejść z pokładu. Miętko stawiam przednią część stopy, aby wy badać grunt. Gumowa podeszwa trampka powoli przywiera do powierzchni. Pierwszy krok na mały, ukryty w zaroślach drewniany pomost jest dość niepewny. Nie mam się czego złapać ani o co podeprzeć. Jestem prawie pewna, że w razie upadku z hukiem ucierpi nie tylko mój tyłek, ale cała wpadnę w krzaczaste wijące się pędy po deskach. Śliska od mchu i glonów nawierzchnia nie wygląda zbyt zachęcająco.

— Pomożesz mi, czy mam skrócić kark? — Zerkam w jego stronę. Niestety nie potrafi się zorientować, że wypadaloby pomóc.

— To tylko tak groźnie wygląda. — Przywiązuje liny do drewnianych polerów, nie zwracając na mnie uwagi.

— Jasne!

Stawiam powoli stopę za stopą, badając za każdym razem czubkiem buta zielonobrunatne rośliny. Po zejściu z pokładu mój mózg pracuje jak po butelce rumu. Edward pospiesznie zabezpiecza swoją łajbę, podczas gdy ja staram się utrzymać na nogach. Po tak długiej żegludze wariuje mi błędnik. Chwiejnym krokiem uciekam z wąskiego mola.

Słońce już zaszło, pozostawiając jeszcze przez chwilę różowawe niebo. Pozwoli nam to na ukrycie się w gąszczach i przedostanie do laboratorium. Wiem, że muszę tam iść, ale odczuwam lekki strach i nachodzi mnie tabun wątpliwości. Szukają słabego punktu i wdzierają się przez najmniejsze szczeliny mojej pewności. Przytłaczają mój umysł. Wolę, gdy wszystko szybko się dzieje, wtedy nie mam czasu na myślenie, czy aby na pewno dobrze robię.

Stoję chwilę na początku piaszczystej ścieżki, wpatrując się w jej mroczny klimat. Przede mną gęsty las. Czubki drzew nad naszymi głowami uginają się w jedną stronę. Kołysane wiatrem liście cicho szumią, ocierając się o siebie. Edward mija mnie, wyrywa z obserwacji tego imponującego widoku, mierząc wymownie wzrokiem. Nic nie mówi. Biorę się w garść i idę za nim. Kilka minut wędrówki w zaroślach na odludziu i docieramy do wjazdu ukrytego pod zieloną plandeką pokrytą sztucznym bluszczem z kolcami.

Po otwarciu wjazdu widzimy tylko czarną dziurę. Dreszcz przebiega po całym ciele, począwszy od szyi, przez kręgosłup, docierając do koniuszków palców w stopach. Strach zwiększa moją ciekawość i poziom adrenaliny we krwi. Noc jest ciepła, ale ja odczuwam delikatny chłód okalający moją skórę. Edward szarpie się z płachtą i stertą zielska.

Badam wzrokiem osnuty nocą las.

— Chyba coś usłyszałam. — Mrużę oczy i skupiam się na czymś falującym parę metrów przed nami. — Edward, a jeżeli ktoś nas śledził?

— To niemożliwe. — Przeciera czoło.

— Tam się coś rusza. — Wskazuję palcem.

— Wydaje ci się. — Prostuje się. — W ciemności umysł płata figle. Widzisz to, czego najbardziej się lękasz.

— Ciemności? Ja się nie boję ciemności — mówię oburzona.

— Może jednak tak. Najbardziej ukryte lęki wychodzą w sytuacji, gdy jesteś zdenerwowana, a zarazem podekscytowana.

Edward szuka ręką schodka.

— Masz na myśli, że jestem chora psychicznie?

— Nie chodzi mi o lęk paranoiczny tylko domniemany. Po prostu wyobrażasz sobie zagrożenie, którego tak naprawdę nie ma.

— Dla mnie to znaczy to samo.

— Dobra, niech tak zostanie. Jesteś walnięta tak samo jak ja.

Nagle ciągnie mnie w dół, opieram się, marudząc. Stękam pod nosem, ale on nie daje za wygraną. Metalowe schody są strome, zapieram się dłońmi o ścianę, chroniąc od upadku. Staram się nie myśleć, co mogę napotkać palcami na zimnej

powierzchni muru. Od czasu do czasu czuję warstwę pajęczyn oplatającą skórę.

— Czy tu wszędzie musi być ciemno jak w... no wiesz. — Wstrzymuję oddech. Drogę rozświetla nam mała latarka. — Ja się nie obawiam ciemności tylko żywych istot w niej czyhających.

Schody się kończą. Biorę go za rękę i przyklejam się do jego ramienia.

— Przecież tu nikogo nie ma, laboratorium jest opuszczone od lat — mówi spokojnym tonem.

— A szczury?

— Co ci te szczury zrobią? Ugryzą w tyłek?

— A może zombie? — rechoczę jak podłotek.

— Ha! Dobre sobie, może od razu wampiry?

Szturcha mnie w bok łokciem, podskakuję przestraszona.

— Wiesz — zaczynam cicho — tak się zastanawiałam nad tymi snami, czegoś mi w nich brakuje.

— Czego?

— No wiesz, jeżeli jest was dwóch, to dlaczego ze wspólnych zabaw pamiętam tylko ciebie? — Zahaczam nogą o coś twardego. Wąska strużka światła to zbyt mało, żebym spokojnie mogła przejść przez ten labirynt. Jak tak dalej będzie, to z nerwów urwę mu rękę.

— Mój brat był zawsze inny, wyobcowany i chorobliwie zazdrosny.

— Zazdrosny? — dziwię się i ciągnę temat. — A niby o co? Przecież miał wszystko jako dzieciak, no wiesz... Rodziców, dom. Mógł mieć wszystko, czego tylko zapragnął.

— Nie wszystko, Elio. — Przystaje i patrzy mi w oczy.

Jest ciemno, ale widzę i czuję na sobie wzrok. Chyba rozumiem, do czego zmierza.

— To jego wyobcowanie i zły charakter nie pozwoliły zbliżyć się do ciebie. Był o nas zazdrosny.

— Dlaczego? Przecież nie odrzucaliśmy go. — Chyba, tak naprawdę nie pamiętam tamtych lat, obraz przeszłości jest niewyraźny. A jeżeli faktycznie byliśmy dla niego okropni i teraz się mści?

— Wydaje ci się. On nie był i nie jest typem, który sam zaprasza. Ty bawiłaś się ze mną, a on czuł się porzucony. Jego chore zauroczenie trwa do dziś. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że zauroczenie idzie w parze z pożądaniem, ale nie w sensie biologicznym, a przedmiotowym.

— Do czego zmierzasz?

— Robert musi posiadać, a ciebie nie potrafi schwytać. Dlatego ściga mnie. Wie, że zawsze będę cię chronił. — Przystaje i rozgląda się na boki. — To on cię zatrudnił. W firmie miał na ciebie oko. Teraz, gdy nasz brat zachorował, ma doskonały pretekst, by sobie ciebie przywłaszczyć.

— Przywłaszczyć? Jak zwierzątko?

Ignoruje moje pytanie.

— O wszystkim dowiedziałem się od Tiny, nie mogłem na to pozwolić. Po prostu nie chciałem, aby nasze ścieżki przecięły się w ten sposób. Miałem jeszcze poczekać, ale nie było już czasu. Tędy. — Światłem latarki wskazuje na prawą stronę rozgałęzienia.

W ciemności przejścia wydają się przerażającym, skomplikowanym labiryntem.

— Pamiętam ten długi korytarz. Bawiliśmy się razem w chowanego, a ta postać ze snu chwytająca mnie za ramię to był

twój ojciec. Nieźle nas wtedy zrugął za włóczenie się po laboratorium — chichoczę głośno.

— Nawet nie masz pojęcia, jakie lanie dostaliśmy z Robertem w domu.

— Mogę sobie wyobrazić. Od zawsze wydawało mi się, że to tylko sny. Z biegiem czasu zapomniałam o was. Niedawno ponownie zaczęły nachodzić mnie koszmary. Pamiętam, że zabronili nam bawić się razem, ale i tak jakoś udawało się nam wymknąć po cichu. Korytarze były dla nas kopalnią przeróżnych zabaw. Nie opłacało nam się bawić szklanymi kulkami, pielęgniarka nabiła sobie niezłego guza. Zwaliliśmy wtedy wszystko na Roberta, dostał za nas ostre cięgi.

— Nawet nie zapłakał, przyjmując na dłonie uderzenia skórzanym paskiem.

— Dlaczego to zrobił? To nie była jego wina. Byliśmy dziećmi, nie może być nadal o to zły.

— Wyrosłaś na piękną kobietę, Elio. — Przystaje. Chwyta moją twarz w dłonie i całuje namiętnie. Patrzy głęboko w oczy. — Spróbuję tego tym razem nie spieprzyć, może uda nam się... — przerywa. — Ale teraz trzeba zobaczyć, czy dam radę włamać się do systemu.

Wchodzimy do jednej z pracowni opuszczonego laboratorium. Spodziewałam się czegoś innego. Po opowiadaniach matki o wybuchu i pożarze, jaki po nim nastąpił, byłam przekonana, że cały budynek uległ zniszczeniu. A może to moja dziecięca wyobraźnia wyolbrzymiła tę katastrofę? W ułamku sekundy mój idealny świat runął w gruzach.

Edward odnajduje włącznik prądu, stare lampy rozgrzewają się powoli. W środku znajduje się olbrzymia ilość

starego sprzętu i grube warstwy kurzu. Meble wyglądają jakby przeżyły już lata swojej świetności. Porozrzucane na podłodze papiery i powywracane krzesła świadczą o tym, że ludzie uciekali stąd w panice, taranując wszystko na swojej drodze. Na ścianie naprzeciwko wejścia widać czarne ślady, jakby płomienie najpierw dosięgły tę część budynku, po czym ustąpiły. W oddali zauważam spalone biuro.

— Coś tu nie gra — stwierdza Edward.

— Jak to?

— Ktoś tutaj był. Coś się zmieniło.

— Kiedy byłeś tutaj ostatni raz? — Wlepiam wzrok w czarne smugi nad wejściem do biura. Ogień musiał pożerać wszystko w zawrotnym tempie.

— Jakiś rok temu.

— Masz dobrą pamięć — odpalam bez namysłu.

— To był sarkazm? Nie drwij ze mnie, mam fotograficzną pamięć.

— To zrób mi zdjęcie.

— Nie kłósz kogoś, kto chce ci pomóc, Elio.

Nie odpowiadam. Tkwię w miejscu jak kołek. Nie chciałam go urazić. To miejsce wyzwala złe emocje. Powoduje, że jestem tym, kim nie chcę być. Moja wrodzona, ale uśpiona wredność ukazuje się w najbardziej stresujących dla mnie momentach. Rani przy tym nie tylko ludzi będących w moim otoczeniu, ale i mnie, ukazując w oczach innych moją osobę bez sumienia. Odczuwam dziwne ciepło w okolicach klatki piersiowej. Zaciskam pięści. Nieświadomie przekrzywiam głowę w lewo i spinam kark. To mój odruch, gdy wiem, że muszę się z czymś zmierzyć i raczej od tego nie ucieknę. Moja opryskliwość może być atutem, gdy zadziała jako system obronny. Przyodziana

w jadowitą zbroję nie zostanę ranna. Tylko co jeżeli ta skorupa nie wytrzyma?

Edward wrywa mnie z zamyślenia.

— To biuro twego ojca. Wprawdzie większość została zniszczona, ale udało mi się wygrzebać parę drobiazgów. Po prawej stronie, w szafce przed wejściem, jest karton z różnymi rzeczami. Zajrzyj tam, a ja zobaczę, czy uda mi się coś zdziałać.

Nie ma tego za wiele. Kilka książek medycznych, o architekturze czy bzdury *science fiction*, stos czasopism, rozbity kubek z napisem „Dla taty”, moja stara szmaciana lalka, kilka nadpalonych zdjęć. Rozpoznaję twarze. Mama, tata, Daniel z żoną i w oddali na kocu trójka dzieci — to chyba ja, Edward i jego brat. Tina kuca obok, sięgając po coś pod biurko. Trzymam w dłoni plik fotografii, wchodzę do doszczętnie spalonego pokoju. Czarne, zwęglone do połowy teczki kruszą się pod moimi butami. Z biurka zostały fragmenty drewnianych nóg. Obok metalowy szkielet obrotowego krzesła. W powietrzu nadal daje się wyczuć swąd spalenizny. Widocznie ściany głęboko nasiąknęły zapachem dymu.

— Nasi rodzice chyba byli sobie bliscy, może pracowali razem nad jakimś tajnym projektem?! — krzyczę w stronę Edwarda.

— Nie wykluczam takiej możliwości. Z tego, co mi mówili, to nasze matki znały się z sierocińca.

— Sierocińca? — pytam ze zdziwieniem.

— Nie wiedziałaś?

— Nie miałam pojęcia. — Podchodzę do niego. — Ale to by wyjaśniało pewne rzeczy.

— Jakie?

— Nigdy nie byłam dobra w opisywaniu swoich uczuć. — Patrzę na jedną z fotografii. Uśmiech matki sprawia, że jej twarz promienieje. Siedzi na krześle, na kolanach trzyma dziecko ubrane w białe śpioszki. Jej krótkie czarne włosy opasają okulary, podtrzymując je tuż nad czołem.

— Tego się trzeba nauczyć.

— Tak... Ojca nie znałam. Został po nim zaledwie wyblakły skrawek w mojej pamięci. Matka nie nauczyła mnie tego wobec innych ludzi. Chociaż bardzo się starała. Była dobrą matką, nie mam wobec niej żalu. Ona sama była chodzącą zagadką. Jej zmienny nastrój wyjawiał się w sypialni, gdy wciskała głowę w poduszkę.

— Była samotna — stwierdza Edward.

— Miałyśmy siebie nawzajem. Często słyszałam, jak płacze w nocy. A na drugi dzień potrafiła nucić radośnie w koło jedną melodię. — Zawieszam się chwilę, przerzucając kolejno zdjęcia w dłoni. — Nigdy nie pokazywała swojej słabości.

— Tak jak ty?

— Może. Wychodząc do pracy, przybierała poważny wyraz twarzy i wyprostowana zamykała za sobą drzwi. Gdy zawiadomiono mnie o jej śmierci, na początku nie czułam nic. Myślę, że przygotowywała mnie na tę ewentualność przez całe życie.

— Kim się stałaś po tym wszystkim?

— Potem było tylko gorzej. — Przesuwam butem spalony segregator, pod nim leży kolejny. — Dopiero na ceremonii ducha dotarł do mnie fakt, że ją utraciłam. Tym razem ja przybrałam pancierz, którego nikt dotąd nie zdołał zdjąć. Broniałam się, wychodząc na głupka, chociaż w środku moja dusza krzyczała o pomoc.

— To ani jej, ani twoja wina. Ona dorastała w sierocińcu. Tam nabrała pewnych dysfunkcji i przekazała je dalej. — Kieruje wzrok na mnie. — Nie możesz patrzeć wstecz.

— Wiem. — Dotykam palcami fotografii matki.

— To, kim jesteś, możesz kształtować sama. Nie pozwól, aby wytykano ci czyjeś błędy wychowawcze. Porzuć te myśli i to, co za tobą. Zaczynij żyć na nowo.

— Ale jak? Jak mam to zrobić? Patrz, gdzie jesteśmy. — Unoszę dłonie, wskazując na otaczające nas miejsce. — Pośrodku konfliktu. — Wychodzę z pomieszczenia, nie czuję się w nim za dobrze.

— Elio, gdy tylko się z tego wydostaniemy, pomogę ci. Każde z nas miało zwichrowane życie. Zaczynijmy je od nowa.

— Masz rację.

Edward kładzie dysk na matrycy. Szklana kula wielkości piłki golfowej zaczyna się kręcić. Czeka dłuższą chwilę, podczas gdy ja stawiam wywrócone krzesła, by zająć czymś zdenerwowane ręce.

— Cholera! — Uderza pięścią w blat.

— Co jest?

— Plików nie da się ściągnąć albo nie istnieją na serwerze. — Dłubie jeszcze trochę przy klawiaturze, ale na marne. — Wiem, gdzie mogą być. Miałem nadzieję, że pominiemy ten etap, ale niestety trzeba będzie tam wrócić — oznajmia. Na jego twarzy maluje się smutny albo raczej bolesny grymas.

— Nie ma mowy! — krzyczę. — Nie wrócę tam! Zapomnij, nie ma takiej opcji. — Krzyżuję ręce na znak protestu.

— Nie będziesz musiała — uśmiecha się tajemniczo. — Zakradnę się tam wtedy, gdy Roberta nie będzie, a że jesteśmy identyczni, nie wzbudzę w nikim podejrzeń.

— No nie wiem. To nadal jest niebezpieczne.

— Znalazłaś coś w rzeczach ojca?

— Niestety nic, a ty?

— Też nic. Daniel musiał przewidzieć, że będę tutaj szukał.

— Przynajmniej mam zdjęcie ojca — mówię i pokazuję fotografię.

Edward zerka z daleka na zdjęcie, po czym ucieka wzrokiem na wyjście z pomieszczenia. Podchodzę do niego, czekając na jego ruch.

— Nic tu po nas. Wracajmy na łódź, czeka nas powrót. A tak przy okazji...

— Aua, co to było? — Widzę, że trzyma coś w dłoni.

— Powiedzmy, że lekarstwo.

— Czy ty zawsze musisz mnie czymś kłuć? — Pocieram ramię, które po chwili zaczyna swędzieć, ale wszystkie dolegliwości nagle ustępują.

— Czyli jednak lekarz? — Zadzieram głowę, by na niego spojrzeć.

— Nie do końca. — Kręci przecząco głową.

— Ale coś w tym stylu? — Mrużę oczy i przypatruję się, oczekując wyjaśnień.

— Prawie. Ściślej, jestem genetykiem i kimś w rodzaju informatyka. Ojciec był bezlitosny w stosunku do naszego wykształcenia.

— No tak, zawsze są dobre i złe strony posiadania błękitnej krwi. — Zagryzam wargę, wiedząc, że te słowa mogły źle zabrzmieć.

— Dowcipna, nie chodziłem tylko w czarnych lakierkach. Nie miałem dzieciństwa jak z katalogu, wręcz przeciwnie. Ojciec wisiał nade mną z batem nad głową. Twierdził, że jego potomstwo może być lepsze od niego, a skoro tak, to ten

potencjał może wykorzystać dla własnych celów. I tak też robił. Gdy sobie to uświadomiłem, musiałem odejść.

— W przeciwieństwie do brata?

— Jemu to odpowiadało, oni dwaj są do siebie bardziej podobni niż ja z Robertem jako bliźnięta.

— A jakie cele miał Daniel? Raczej nic dobrego z nich nie wynikało, skoro uciekłeś od własnej rodziny? — pytam, chociaż dobrze wiem, że odpowiedzieć może tylko Daniel.

— Myślę, że tego dowiemy się z modułu. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Ja również mam taką nadzieję, ale tę myśl zostawiam dla siebie.

— Wracamy?

— Zajrzemy jeszcze w jedno miejsce. — Chwyta moją dłoń i prowadzi długim korytarzem.

— Gdzie idziemy? — pytam z ciekawością.

— Do biura ojca.

— Wątpię, żebyśmy coś znaleźli. Widziałeś, że nic tu już nie zostało. Dawno cię tu nie było. Musieli wyczyścić wszystkie pomieszczenia. Jeżeli mieli coś zataić, to na pewno to zrobili.

— Być może, ale wolę się upewnić niż wyrzucać sobie potem, że nie sprawdziłem.

Docieramy do kolejnych schodów. Zaczynam czuć się nieswojo. Nie jestem przyzwyczajona do podziemi. Dreszczyku dodaje świadomość opustoszałego, martwego od lat miejsca. Odgłosy stawianych przez nas kroków odbijają się od ścian. Schodzimy piętro niżej.

— Co to było? — pytam. Ściskam mocno jego dłoń.

— Co?

— Sama nie wiem, słyszałam jakieś chrobotanie za nami. —
Odwracam głowę. Pusty korytarz. Mój oddech przyspiesza.

— To pewnie stare rury, raczej nikogo tutaj nie ma. Bez obaw,
chodź za mną.

Idę tuż za nim, trzymając go kurczowo za dłoń. Straszy mnie
nagły huk po mojej lewej stronie. Podskakuję, chowając się
za plecami Edwarda. Światła gasną.

— Edward — szepczę niespokojnie. Na nodze czuję chłodny
dotyk, jakby ktoś lub coś ocierało się o moje ciało.

— Aaa! — Serce podskakuje mi do gardła. Łapię mocniej jego
ramię, nieświadomie wbijając mu paznokcie w skórę.

— Cii! — uspokaja.

— Co ze światłem? — mój głos drży.

— Generator musiał paść. Był już stary.

Zapala swoją małą kieszonkową latarkę, sprawdza
ciągnący się za nami korytarz.

— Większej nie miałaś? — Ignoruje moje ironiczne pytanie.

Oddala się ode mnie na kilka kroków. Kieruje światło
na podłogę.

— Spójrz, to tylko rura odpadła od ściany.

— Ale przed chwilą coś mnie dotknęło... Coś lodowatego. —
Serce wyrywa się coraz mocniej, stoję rozdygotana. Odczuwam
dziwny niepokój.

— Nikogo tu nie ma.

— Więc co to mogło być? — pytam przerażona.

— Przeciąg. — Śmieje się.

— Nie potrafisz pocieszać.

— Zaczekaj tam, przesunę tę rurę, inaczej się o nią zabijemy
w drodze powrotnej.

Mała struga żółtawego światła jego latarki pada na zardzewiały, spory kawałek żelastwa.

— Dobra Elio, ogarnij się, nie jesteś dzieckiem. To tylko twoja wyobraźnia — mówię półszepem do siebie.

— Widzisz. — Kieruje powoli wąski jasny snop światła wzdłuż rury, przystając na ścianie na wysokości jego ramion. — Obejma musiała puścić.

Przesuwa przeszkodę pod ścianę, podczas gdy ja stoję i trzęsę się jak osika.

— Już? — pytam drżącym głosem, przestępując z nogi na nogę.

— Tak.

— To wracaj — ponagliam, rozcierając dłońmi gęsią skórkę na ramionach.

Oślepia mnie światło jego latarki.

— Nie po oczach!

— Elio...

— Co? — Zakrywam dłonią strugę światła, aby go zobaczyć. Przez chwilę widzę same zielonkawe, pulsujące kółka, gdy znikają, dostrzegam jego przerażoną minę. — Co jest!?! — Otwieram szeroko oczy, wpatrując się w niego.

— Chodź tu do mnie, powoli. — Wyciąga do mnie dłoń.

— Nie ma mowy!

Obcy, męski głos za moimi plecami, tuż przy lewym uchu, wprawia mnie w osłupienie. Czyjaś lodowata dłoń spoczywa nagle na moim ramieniu, zdecydowanie wbijając w nie palce. Ogarnia mnie panika, ciało tężeje. Zaciskam mocno szczękę i napinam mięśnie. Serce łomocze jak oszalałe, powodując okropny, kłujący ból w klatce piersiowej. Atak paniki spowodowany strachem.

CZĘŚĆ III

EDWARD

Przeszłości nie da się zapomnieć, wymazać czy zastąpić. W najmniej oczekiwanym czasie wraca do Ciebie jak bumerang. Pojawia się ponownie tylko po to, aby ciągnąć Cię w dół. Gdy trafi na zły moment Twojego życia, poddasz się. Po prostu ulegniesz, a wszystko, co ma sens, przestanie go mieć, bo straciłeś swą wiarę.

Czas w pracy dłuży się niemiłosiernie, szczególnie wtedy, gdy powierzone zadanie musisz wykonać jak najszybciej. Jednak gdy tylko wyściubisz swój nos poza mury biura, pędzi, jak z bicia strzeł. Nim się obejrzyś, znowu musisz wracać do pracy. Kawa za kawą, herbata za herbatą i tak na zmianę. Nieraz płyn rozleje się na stertę dokumentów albo klawiaturę komputera. Gorzej, gdy zmrużysz na ułamek sekundy oczy, a wrzątek obleje Twoją ulubioną koszulę. Możesz poddać się w połowie zadania albo brnąć dalej. Niczym Edison próbujący znaleźć idealny materiał na żarnik do żarówki. Olśnienia przychodzą w najmniej oczekiwanym momencie. Wtedy, gdy najmniej się tego spodziewasz. Czasem wystarczy chwila odpoczynku lub staranne wykonywanie poleceń według protokołu. Niekiedy nawet krótka drzemka rozjaśnia umysł, sprawiając cud. Wtedy zadajesz sobie pytanie: dlaczego byłeś taki głupi i nie widziałeś tego wcześniej? Przecież to takie proste.

Edward przeciągnął swoje zastygłe kości, wykonał parę wymachów ramionami, strzelił palcami. Fotel zaskrzypiał

pod wpływem jego ruchów.

— Eureka! — krzyknął na cały głos, unosząc ręce w górę, radując się.

Szkoda tylko, że był sam w półmroku, ślęcząc przed ekranem komputera. Zdjął z blatu biurka zdrętwiałe od długiego siedzenia nogi, niechcący zrzucając paczkę swoich ulubionych kukurydzianych chrupek.

— Dobra, teraz tylko to zapisać i gotowe. Spadam do domu — powiedział do siebie zadowolony. Przeczesał dłonią rozmięzione włosy i przetarł grzbietem dłoni zaspiane, opuchnięte oczy.

Jego wielomiesięczna praca nareszcie przyniosła oczekiwane rezultaty. Od dawna obawiał się, że to niewykonalne. Parę razy już się poddał. Każdą porażkę odbijał sobie tygodniową imprezą, po czym wracał i zaczynał od początku. Studiował dokładnie każdy wynik i badał na nowo w nadziei, że kiedyś się uda. I dziś to się stało. Zwycięstwo przyniosło ogromną dawkę emocji. Kofeina już dawno przestała na niego działać. Sukces przypomniał mu, czym jest nagłe pobudzenie organizmu.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że był obserwowany. Zapracowanie oraz nieodparta chęć odkrycia, stępiły mu niektóre zmysły. Może gdyby nie zarywał nocy i zdołał odpocząć, wychwyciłby nagły ruch kamer w rogach sali. Wtedy jego losy potoczyłyby się inaczej.

Nieświadom tego, co go czeka, zabrał swoje rzeczy i pojechał do domu na zasłużony długi sen w wygodnym łóżku.

— Co my tu mamy? — Robert uśmiechnął się do siebie, dokładnie przeszukując dane komputera. — Ojczy, Ed chyba zakończył swoją pracę.

Rozległ się szmer krótkofalówki.

— Jesteś pewien?

— Tak. Cieszył się jak małe dziecko — zaśmiał się. Przeglądał zawartość folderów na ekranie.

To nie była zazdrość. Robert już w dzieciństwie zauważył, do czego zdolny jest człowiek. Jakich czynów może się dopuścić, aby dostać to, czego zechce. Robert widział potencjał Edwarda, który był zdolniejszy, inteligentniejszy. Każdą jego zaletę mógł doskonale wykorzystać na własny użytek.

— Sprawdź wyniki — nakazał ojciec.

— Są kompletne. Jednak miałeś racje, jego umysł jest złotem.

— Doskonale. Możemy wejść w ostatnią fazę.

— A już myślałem, że nigdy mu się to nie uda — dodał Robert.

— Więcej wiary, synu. Przynieś mi to.

— Wiara nie ma tu nic do rzeczy. — Wyłączył krótkofalówkę. — Zobaczymy, na co się jeszcze przydasz, braciszku — powiedział do siebie kpiącym głosem.

Skopiował potrzebne informacje na nośnik. Zatarł ślady mogące wskazywać na czyjąś ingerencję i pojechał prosto do domu ojca.

Sen był najlepszą nagrodą za osiągnięcie celu wyczekiwanego od lat. Z samego rana Edward zgolił brodę na znak zwycięstwa. Patrzył uważnie w lustro, ściągnął brwi, unosząc przy tym podbródek. Teraz jego twarz wyglądała młodziej — była identyczna jak jego brata. Nie spodobało mu się to, ale nie miał na to wpływu. Narzucił na siebie skórzaną, czarną kurtkę, wsiadł na swój motocykl i pognął do laboratorium, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. W końcu mógł się rozkoszować jazdą, jego myśli były klarowniejsze. Jeszcze parę

testów i upragniony urlop będzie w zasięgu ręki. Przywitał się przy bramie ze stróżem. W pomieszczeniu socjalnym, którego ostatnio był częstym bywalcem, nalał sobie duży kubek czarnej kawy, po czym zalał ją odrobiną niskotłuszczowego mleka.

— Kiedyś muszą nadejść jakieś zmiany, zacznijmy od kawy — powiedział do siebie. — To do dzieła!

Z radością ruszył w kierunku swojej pracowni.

— Cześć Edward, widzę zmianę na twarzy, czyżbyś nareszcie spał w domu? — zapytał strażnik. Od miesiący pracował na nocnej zmianie, nieraz ucinał pogawędki z Edwardem przy wspólnej kawie, zajadając się kruchymi ciasteczkami.

— Musiałem zrobić ze sobą porządek— zaśmiał się, spojrzął na zegarek. — Uciekaj stąd. Amelia pewnie już na ciebie czeka. Pozdrów ją ode mnie.

— Faktycznie, już na mnie czas. Miłego dnia. Wpadnij do nas w wolnej chwili — dodał, po czym zamknął za sobą drzwi.

Wszedł do jednej ze swoich ogromnych pracowni, w których przeprowadzał dotychczasowe badania.

— Witaj Henryku. Widzę, że jesteś równie podekscytowany jak ja. — Uśmiechnął się i uruchomił swój komputer odciskiem dłoni na powłoce biurka. Oczy aż promieniały mu z zadowolenia.

— Dzień dobry, nie ma pan pojęcia jak bardzo. — ucieszył się młody asystent. Jego ekscytacja spowodowała zaczerwienienie policzków na jego bladej skórze. — Nie spodziewałem się, że ten dzień kiedyś nadejdzie. — Wyszczерzył zęby. W ręku trzymał długą pipetę.

— Widzę, że jesteś gotowy do prób. — Edward odstawił kubek w bezpieczne miejsce. Ostatnio zbyt często zdarzało mu się wylewać kawę. Z zadowolenia potarł dłońmi. — Myślę,

że dzisiaj zaczniemy od małpek, potem przejdziemy do innych gatunków. Jestem dobrej myśli. Jeżeli wszystko potoczy się tak, jak zaplanowałem, będziemy blisko uratowania tych pięknych stworzeń.

— To by było naprawdę coś — dodał Henryk, wypuszczając przezroczystą ciecz z pipety na laboratoryjne szkiełko mikroskopu.

Upijając łyk kawy na pobudzenie, Edward włączył na ściennym ekranie symulację postępu jego badań i podszedł z uśmiechem do ogromnej klatki na końcu sali.

— Witaj Ewo, nadszedł wielki dzień. Pewnie ucieszysz się tak samo, jak my.

Otworzył metalowe drzwiczki, wziął małpkę na rękę. Głaszcząc jedną dłonią jej brązowe futro na głowie, drugą ręką sięgnął po kiść bananów z przenośnej lodówki.

— Przyniosłem wczoraj specjalnie dla ciebie.

— Rozpieszcza ją pan. — Asystent poprawił czarne oprawki okularów zsuwające się co jakiś czas z jego nosa.

— Nie słuchaj go. — Mówił do niej tym samym tonem, jakim zwraca się do małego dziecka, by je rozbawić. — Doskonale wiemy, że to twój ulubiony smakołyk. Prawda?

Ewa obróciła głowę w stronę Henryka, wystawiając do niego swój długi język.

— To nie fair — pokiwał w jej stronę palcem. — No dobra, wygrałaś. Jutro przyniosę ci coś lepszego. Zobaczymy, komu pokażesz ten język. — Henryk oddał jej, wystawiając swój język.

— Piękny dowód ukazujący nasze pochodzenie — zaśmiał się Edward.

— Bardzo zabawne. Chyba jej pan nie puści?

— Przeciwnie, musi się wybiegać. No mała, schodzimy, tylko nie narozrabiaj — pogroził palcem.

Ewa spojrzała na niego niewinnymi oczyma, po czym wspięła się na krzesło i usiadła, zjadając się smakołykiem.

— Jeśli znowu zbije moje fiołki, to obiecuję, że moja osoba cofnie się do czasów ewolucji i da jej popalić. — Znowu poprawił spadające okulary zdenerwowaną dłonią.

— Oj nie przesadzaj. I wyposaź się w soczewki. Okulary ci spadają.

— Są w porządku.

— Poprawiasz je co kilka minut. Kup soczewki, noś je przynajmniej w laboratorium. Będzie ci wygodniej.

— Może ma pan rację. Ilekroć chcę zajrzeć w mikroskop, zsuwają się i wpadają na urządzenie. — Zdjął okulary i przetarł krawędzią bawełnianej koszulki zabrudzone szkła. — Czy ona musi tutaj biegać? Rozprasza mnie. Nie cierpię, gdy dotyka mnie tymi dziwnymi łapskami.

— Chyba się nie polubiliście, co? — Spojrzał na małą i pogroził palcem. — Ewa musi się rozluźnić, zanim zaczniemy badania. Źle znosi widok igieł, trzeba ją udobruchać.

— Ja bym ją związał pasami. — Nachylił się do oka mikroskopu.

— Taki młody, a już sadysta — pokręcił głową Edward.

— Wcale nie! — oburzył się. — Po prostu ona za mną nie przepada.

— Trzeba było nauczyć się wbijania igieł.

— Nie miałem pojęcia, że w pierwszym dniu pracy czeka mnie reanimacja jakiejś małpy.

— Świat jest pełen niespodzianek. Przynajmniej nie ma nudy.

— Na pewno. Nie, gdy ona chodzi koło mnie.

Edward zaniósł się głośnym śmiechem. Ta urocza małpka była jego ulubienicą. Nie traktował jej jak obiektu badań. Była wierniejsza niż pies, może i dużo hałasowała, ale nie mógł narzekać na nudę.

Dni mijały. Kolejny etap jego pracy był niewiele lżejszy od poprzedniego. Ewa zachorowała nazajutrz po wstępnych testach, co spowodowało odrzucenie wszczepionych danych i przestój w pracy do czasu jej wyleczenia. Parę tygodni po sukcesie, Edward usnął z przepracowania w jednej z pracowni. Obudził go dźwięk rozbijanego szkła. Podniósł głowę z biurka i wyprostował się. Na zegarku dochodziła prawie druga w nocy. Przetarł zaspane, lekko przekrwione oczy i znowu usłyszał ten dźwięk. Zaniepokojony poszedł za jego źródłem. Trzaski dobiegały z drugiego skrzydła, jednak dziwne szepty i krzyki w oddali bardziej go zainteresowały. Nie wytrzymał i po cichu zakradł się w kierunku, z którego dochodziły rozmowy. Minał pracownię informatyczną i stróżówkę oddzielającą dwa skrzydła. Za jego plecami rozległ się stukot ciężkich butów.

— Pan jeszcze tutaj? — Zaskoczył go strażnik robiący obchód.

Przeszedł go dreszcz. Już dawno nie czuł takiego napięcia, ostatni raz zdarzyło mu się, gdy ojciec nakrył go na obściskiwaniu młodej asystentki w pomieszczeniu socjalnym.

— Ach tak, zostawiłem coś w biurze, ale nie wiem gdzie podziałem kartę. Zmęczenie daje chyba o sobie znać. Możesz mi otworzyć?

— Oczywiście. — Strażnik odblokował drzwi opaską magnetyczną na nadgarstku. Czerwona naszywka z unikatowym numerem przypisanym dla danej osoby na ramieniu oznaczała, że jest strażnikiem najwyższej rangi, mającym dostęp do prawie

każdego pomieszczenia w budynku. — Proszę. Ach, bym zapomniał... Jeszcze jedno: pański ojciec kazał przekazać panu z samego rana pewną wiadomość, ale skoro jest pan tutaj, to przekażę teraz, żeby nie zapomnieć. — Zanurzył palce w kieszeń przy udzie swoich bojówkowych spodni. — Koperta i dysk. Dobranoc, panie Robercie.

— Dobranoc — odpowiedział Edward, odbierając z jego rąk przedmioty.

Z zaciekawieniem przewracał w dłoniach zaklejoną kopertę i mały dysk wyglądający jak szklana kulka. Gdy strażnik się oddalił, poszedł w stronę kolejnych drzwi. To, co zobaczył za nimi, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Za ogromną szybą znajdowała się sala, a w niej sześć łóżek, na których leżały kobiety. Trzy z nich wyglądały na ciężarne. W pomieszczeniu tuż przy oknie znajdował się komputer, a na jego ekranie wyświetlane były parametry życiowe pacjentek.

— Co jest, do cholery? — mruknął do siebie ze złością. Zaczął szperać w szufladach biurka. Obok monitora zauważył stację na dysk, umieścił szklaną kulkę na matrycy do odczytu. Dane błyskawicznie wgrały się do komputera. Przetarł oczy ze zdumienia, sam nie wierzył w to, co widzi. Wszystkie badania, które prowadził, znajdowały się na tym dysku. Jego własny ojciec wykradł jego wyniki i testował je na tych kobietach. Manipulował genami w łonie matki. Na dysku Edward znalazł coś jeszcze: listę nazwisk. Jedno z nich najbardziej przykuło jego uwagę.

Przed wyjściem zamknął program i schował dysk. Odpalił swój motocykl i pełen gniewu pojechał prosto do ojca. Po przeprowadzce rzadko tu zaglądał. Tylko wtedy, gdy musiał. Jego relacje z ojcem nie były takie, jak by tego chciał. W przeciwieństwie do relacji z matką. Były chłodne i obojętne.

Po jej śmierci Daniel pogrążył się w pracy, nie zwracając uwagi na potrzeby jego dzieci. Najstarsza z trójki dzieci — Tina, zawsze chodziła własnymi drogami. Od zawsze wiedziała też, że nie zamierza zostać jednym ze szczurów laboratoryjnych ślęczących nad szklanymi naczyniami w białych rękawiczkach. I chociaż ojciec robił jej wyrzuty z tego powodu, nieraz zakazując jej wyjścia poza mury domu, ona wymykała się po cichu, robiąc to, co uwielbiała — imprezowała, nawiązując mnóstwo nowych znajomości i przyjaźni. W ten sposób nie musiała przebywać w podziemiach, by wiedzieć, co się tam dzieje. Robert w przeciwieństwie do swojej siostry od początku stał u boku Daniela, licząc na przejęcie jego imperium w przyszłości. Bliźnięta dostały identyczne wykształcenie, ale tylko jedno z nich wykazywało się zdolnym umysłem. Po fali zazdrości, jaką Robert obdarzył Edwarda, i po sporach nad wspólnymi badaniami, mężczyźni zdecydowali o rozdzieleniu się. Wtedy wszystko się zaczęło. Robert zrozumiał, że nie wygra z jego umysłem.

Edward stanął na żwirowej wysepce, wyłączając silnik motocykla. Dostrzegł zapalone światło w gabinecie na piętrze. Daniel widocznie jeszcze nie spał, jeżeli w ogóle kiedykolwiek mógł spokojnie spać. Nie pukał, przecież nie musiał, to był również jego dom. Otworzył sterowaną głosem blokadę drzwi, z jego gardła kipiał gniew i rozgoryczenie. Przeszedł szybko ogromny salon, który emanował chłodem i prostotą aranżacji. Zimne, białe kafle z szarymi mazajami stapiały się z barwą ścian i długiej kanapy w samym centrum pomieszczenia. Wyglądał, jakby nikt w nim jeszcze nie przebywał, nieskazitelna czystość sugerowała codzienną pracę sprzątaczkki lub brak zainteresowania domownika tym pomieszczeniem. Edward,

nie zwracając uwagi na nowy wystrój, wspiął się szybkimi susami po schodach prosto do gabinetu.

— Czy ty do reszty oszalałeś!? — wrzasnął, pchając z impetem drzwi, które odbiły się od ściany tak, że klamka zrobiła w niej dziurę. — Oczywiście, Daniel i jego kochany syn. Witaj, Robercie! Nie spodziewałem się tego, a w sumie mogłem. Chyba jesteście nienormalni, kradniecie cudzą własność i myślicie, że wam to ujdzie płazem!?

Daniel przez chwilę patrzył na swojego syna jakby delektował się jego oburzeniem, po czym wrócił wzrokiem na dokumenty leżące tuż przed nim. Nagle twarz nie zdradzała już żadnych emocji.

— Chyba nie myślałeś, że pod moim dachem będziesz robił, co zechcesz? — zapytał spokojnie, przewracając arkusz na drugą stronę.

— Myślałem, że jesteś mądrzejszy, ale teraz rozumiem, co matka miała na myśli, sugerując mi ucieczkę od ciebie. Żałuję tylko jednego, zanim odeszła — nie posłuchałem jej wtedy, a powinienem! — Zrobił krok w stronę biurka, po czym zatrzymał się, patrząc na ojca ze wściekłością. Cisnął dłonie do kieszeni skórzanej kurtki. — Mógłbyś chociaż popatrzeć mi w oczy, gdy do ciebie mówię!

— Cóż braciszku, już nam nie jesteś potrzebny, więc możesz wylewać swoje żale gdzie indziej. — Robert skrzyżował ręce na piersi i wlepił w niego wzrok tak, jakby czekał na jego wybuch i odwet.

— Mylisz się!

— Jestem pewny.

Edward odwrócił się i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszał śmiech swojego brata.

— Idioci! — krzyknął oburzony, mając nadzieję, iż dotarło do ich uszu.

Tego poranka nie mógł zaliczyć do najlepszych. Po wczorajszej kłótni wrócił do domu, wypił parę piw i usnął na kanapie. Wczesnie rano obudził go upadek wibrującego telefonu. Ręką wymacał na podłodze ekran i palcem aktywował rozmowę.

— Proszę pana?! Ed? Edward?! Żyje pan?! — krzyczał podenerwowany Henryk.

— O matko, która jest godzina? I czemu się tak drzesz? — Leżał na brzuchu z twarzą przyciśniętą do skórzanego siedzenia kanapy, skierowaną w stronę telefonu. Oczy nadal miał zamknięte. Chciał dalej spać, ale głos asystenta przyprawiał go o zawroty głowy.

— Dobrze pana słyszeć.

Jego rozmówca odsapnął z ulgą.

— Jeszcze pożyję, o ile mi głowa nie pęknie od twoich wrzasków.

— To dobrze, już myślałem, że był pan w środku...

— Dobra, uspokój się, gdzie miałem być? — Edward podniósł się z kanapy. Jedną ręką złapał za telefon, a drugą masował pulsującą skroń. — Wiesz, chyba mam niezłego kaca, więc proszę cię, mów powoli.

— W laboratorium ktoś podpalił część skrzydła B. Na szczęście nasze ocalało. Chciałem tylko sprawdzić, co z panem.

— Już sprawdziłeś. Jutro zgłosisz się do mojego brata... — przerwał na chwilę, nabierając głęboko powietrza. Spojrzał w okno, pilotem otworzył żaluzje. Zmrużył oczy, promienie

słońca oślepiły go na ułamek sekundy. — Przydzielili ci nowe stanowisko. Niestety nie mogę wrócić do laboratorium. Znasz procedury. Musisz jeszcze zgłosić się do punktu kontrolnego, inaczej będziesz miał kłopoty.

— Co się stało? Dlaczego mam pracować u Roberta? To nie jest dobry pomysł.

— Nie mogę tego teraz wyjaśnić. Dla twojego dobra lepiej, żebyś nie mówił nikomu o naszych dalszych pracach. Wyczyść dyski i zapomnij o testach.

— Dobrze. Jutro z samego rana wszystko usunę. Wie pan, że zawsze może na mnie liczyć?

W telefonie rozległ się głos alarmu rozkazujący udanie się do punktu kontrolnego.

— Dziękuję Henryku. Zgłoś się do strażników, potem możesz iść do domu.

Rozłączył się szybko. Próbował spokojnie ochłonać. W powietrzu unosiły się opary alkoholu. Zaciśnął dłoń na telefonie i starał się poukładać myśli. Na stole zauważył kopertę oraz dysk. Zaparzył mocnej kawy. Odprężył się po dawce kofeiny. Postukał palcami w szklany blat stołu. Koperty już dawno wyszły z mody. Główkował przez chwilę, dlaczego ojciec posłużył się kawałkiem papieru, aż w końcu odważył się na otwarciu białej koperty sygnowanej fantazyjnym tłoczeniem „D.L.” na wierzchu otwieranej części. Nie znalazł tam jednak żadnych sekretów, tylko kartkę z alfabetycznym spisem kobiecych imion i nazwisk. Było ich około czterdzieści i znowu to jedno: Elia Madej. Nie myślał, że je jeszcze kiedyś zobaczy. Uświadomił sobie, dlaczego posłużył się kartką. Można ją spalić i ślad po niej zniknie razem z zawartą na niej informacją. W przeciwieństwie do tego, co zapiszemy na elektronicznym

urządzeniu. Na nim zawsze pozostanie ślad. Niezależnie od tego, czy wszystko usuniemy, informatyk jest w stanie odtworzyć jego zawartość. Edward również to potrafił.

Otworzył zawartość dysku na swoim komputerze i ponownie przejrzał zawarte w nim dane. Były tam trzy pacjentki ciężarne, które wczoraj widział w szpitalu i trzy przyjęte z urazem, wprowadzone w śpiączkę farmakologiczną. Przy nazwisku Elia dopisano: *projekt zakończono pomyślnie*. Edward znalazł w jej karcie jeszcze jeden plik, opis choroby ośmioletniego dziecka. Z testów wynikało, że była jedynym możliwym dawcą nerki dla chłopca. Z wyników badań domyślił się, że musi być z nim blisko spokrewniona. Nie potrafił uwierzyć, że jego ojciec okazał się takim zimnym draniem. Jeszcze bardziej nie mógł uwierzyć, że jego brat mu w tym pomaga. Obydwaj odrzucili go i wykorzystali, a on nawet nic nie podejrzewał. A teraz jeszcze ta sprawa z Elią.

Usłyszał zgrzyt zamka, wyprostował się i ruszył szybko w stronę drzwi, ale Robert go uprzedził. Wszedł nieproszony, nie przywitał się, z daleka namierzył wzrokiem dysk.

— Co jest? Czego chcesz? Nie umiesz pukać?

— Nie muszę — odparł jego brat, po czym zaniósł się szyderczym śmiechem.

— Wyjdź! Nie chcę z tobą walczyć, ale jak mi nie powiesz, co jest grane, to nie ręcę za siebie.

— Chyba nie myślisz, że ot tak ci wszystko powiem? Gównu będziesz wiedział! — rzucił przez ramię, idąc w kierunku stołu. Nie spodziewał się podłożonej przez brata nogi. Upadł z impetem na kolana, ledwo zdążył podeprzeć się dłońmi o posadzkę, obrócić głowę w stronę Edwarda i ruszył jak opętany z wyskoku, z zaciśniętą pięścią.

Bili się od dziecka, każda ich walka wyglądała tak samo. Nie było wygranego ani przegranego. Wyglądało to bardziej jak walka z samym sobą. Jak walka z własnym odbiciem. Ale tym razem było inaczej, bo nie byli to już ci sami bracia. Może nadal identyczni, ale zupełnie różni, jak dwie obce sobie osoby. To nie była nienawiść wobec siebie nawzajem, tylko przekleństwo urodzenia się w złych czasach i rodzinie.

Ostrze noża wbiło się w plecy Edwarda, a głowa jego brata powędrowała na szklaną witrynę, roztrzaskując jej ozdobne drzwiczki. Odłamek szkła wbił się w ramię Roberta. Obaj sapali i jęczeli z bólu. Edward wyciągnął nóż ukryty za paskiem spodni i przyłożył go bratu do gardła, nacinając skórę tuż obok jabłka Adama.

— Mów, bydlaku! — wycodził przez zęby, nabierając łapczywie powietrza. — Dlaczego Elia?

Robert zaśmiał się głośno, patrząc mu głęboko w oczy.

— Wiedziałem, że będziesz jęczał o tę babę, sam bym ją... no wiesz, ale mam inne plany. Chcesz, to wbij ostrze głębiej — zachęcał, zadzierając brodę do góry i naciskając szyję na połyskliwy szpic. — Wiem, że nie jesteś do tego zdolny. No dalej! Pokaż, jaki z ciebie bohater! Tylko jedno pchnięcie i kłopot z głowy!

— Nie jestem tobą!

— Tak też myślałem. Jesteś tchórzem.

— Ma być dawcą? Dla kogo? — Edward przekręcił nóż tak, że jego wierzchołek opierał się tuż przy tętnicy szyjnej Roberta. Wystarczyłby niekontrolowany ruch, a wbiłby się, pozbawiając go życia.

— Och! Braciszku, myślałem, że jesteś mniej tępy. Dla naszego brata.

— Brata?

— Tak, tak. Karol jest nieślubnym synem ojca. No wiesz, bzykał się na boku z jej matką, a teraz ja po nim sprzątam.

— Łzesz! — Złapał za koszulkę Roberta tuż przy dekolcie, szarpiąc ją.

— Nie musisz mi wierzyć. Chłopak niestety umiera, z chęcią zostawiłbym go na pastwę losu, ale znasz ojca. Uparł się. — Poczul mocniej ostry czubek noża na skórze. Strużka krwi popłynęła wzdłuż karku, wsiąknęła w bawełnianą koszulkę, tworząc małą brunatną plamę.

— Dlaczego Elia? — nie odpuszczał.

— Pracuje dla korporacji już cztery lata. Na początku miała być tylko dawcą, ale pomyślałem, że nada się do czegoś innego. Idealny materiał dla twoich badań, które były, o dziwo, bardzo obiecujące. — Wyszczерzył zęby.

— Coś ty jej zrobił?!

— Uspokój się. Dobrze wiesz, że nie lubię marnować czegoś, czego nie wykorzystałem do końca. Pokładałem ogromną nadzieję w tym projekcie. Nie posłużyłem się nią jeszcze, ale kto wie? Może zrobię z niej użytek... Kto wie... — prychnął.

— Dotknij ją, a cię zabiję!

— Nie zrobisz tego, doskonale o tym wiesz. Teraz lepiej spójrz w dół, braciszku. — Robert trzymał w ręku pistolet skierowany w brzuch brata. — Odłóż nóż, a ja zabiorę to, po co przyszedłem i znikam. Radzę się trzymać od tego z daleka, w przeciwnym razie Elia może mieć, jakby to powiedzieć, mały wypadek.

Gdy Robert odjechał, Edward opatrzył ranę na plecach, pozbierał swoje rzeczy i pospiesznie wyruszył z nadzieją,

że znajdzie ją i wyciągnie z niewoli. Pod osłoną nocy zakradł się z powrotem do laboratorium. Spóźnił się, już dawno jej tam nie było. A wszelkie dowody na jej przybycie tam zostały zniszczone. I chociaż poczuł się winny całej sytuacji, doskonale wiedział, że to nie koniec. Wręcz przeciwnie, gra dopiero się rozpoczęła. W drodze powrotnej zahaczył o bar Tiny. Siostra zawsze wiedziała, czego pragnął i co mu najlepiej zrobi.

— Kogo niesie w moje skromne progi? Albo się naprawdę za mną stęskniłeś, chociaż w to wątpię, albo dostałeś porządnego kosza — stwierdziła, stawiając na barze mocnego szota. — Nie pytaj, co to jest, tylko wal do dna i głowa do góry. Nie ta, to inna.

— Wiesz, że zawsze tęsknię całym sercem. — Mrugnął do niej okiem. — Ale tym razem to twój brat przysparza mi o zawrót głowy. — Opróżnił kieliszek za jednym razem, wlewając do gardła, i postawił pusty z impetem na barze. Nie rozkoszował się nim, przypominało to bardziej chęć szybkiego upicia się.

— Czyli twoja twarz to nie efekt makijażu? — zażartowała. — O co poszło tym razem? Bo chyba nie o elektroniczne zabawki?

— Tina...

— Tak? — podniosła na niego wzrok.

— Co wiesz o zamiarach Roberta wobec Elii?

Tina stanęła plecami do blatu, myjąc kufel, zawahała się przez chwilę, prawie tłukąc jedno z naczyń.

— Co? Niby co mam wiedzieć? — Nie udało jej się sfalszować poważnego tonu swojego głosu.

— Masz bar, do cholery, więc wiesz. Połowa ludzi siedząca tutaj pracuje u ojca, gadaj!

— Ciszej, bo wystraszysz klientów — zwróciła mu uwagę Tina. — Chyba już wiesz, skoro pytasz. Liczysz, że potwierdzę?

— Nie wiem, na co liczę, może na inną wersję.

— Nie łudź się, nie ma innej wersji. — Podeszła bliżej, aby nikt nie słyszał i oparła się o ladę. — Podobno przeprowadzali badania już na samym początku, kiedy miałeś pierwszą próbkę swoich wyników. Wszczepiali stymulatory zwierzętom, ale nie wychodziło im, ciąży były zagrożone. Dopiero niedawno im się udało, podobno jest jakaś lista kobiet, na których ma być przeprowadzone doświadczenie. Nie mam pojęcia, co oni tworzą. Może armię? — zaśmiała się.

— Może... — Wypił drugi kieliszek jednym haustem. Poczuł lekkie palenie w przełyku.

Zaobserwował dwóch mężczyzn siedzących na wysokich barowych stołkach po lewej stronie, bacznie obserwowali jego ruchy. Domyślił się, że ojciec i brat nie mają zamiaru zostawić go w spokoju.

— Dowiem się tego — dodał. — Co jeszcze wiesz?

— Wykorzystali Elię, ale to nie koniec. Na razie jest tak, jak zakładałeś, nie znam się na tej waszej biologii, wolę chemię gardłową. No i jeszcze pozostaje sprawa Karola.

— Co z nim? — Wrócił spojrzeniem na siostrę. Był wściekły na całą tę sytuację.

— On umiera — zaczęła niepewnie. — Edward, ona ma być dawcą nerki. Nasze spory nie powinny być przyczyną jego śmierci. Tylko ona może mu pomóc — przerwała na chwilę, żeby nabrać powietrza. — Wiesz, podobno da się żyć z jedną nerką, więc nie ma o co krzyczeć.

— Wiem doskonale, ale wątpię w ich dobre zamiary. Za tym kryje się coś jeszcze. Karol to tylko pretekst. Niewinna

marionetka.

— Co oni knują? Ciężko czegokolwiek się dowiedzieć, musiałabym upić tę bandę idiotów w barze, by coś z nich wyciągnąć.

— Na pewno nic dobrego. A Robert?

— Znasz go lepiej niż ja. Jest, jaki jest i się nie zmienia. Nie odpuści. Jak go znam, to zamknąłby swoje „zwierzątka” w klatce i wykorzystał jako inkubatory.

Edward rzucił na nią badawcze spojrzenie.

— Inkubatory?

— To jest chore, wiem. Ciekawe, skąd chcą wziąć... No wiesz... Chyba nie czekają na cud w stylu niepokalanego poczęcia. Nic jej nie będzie, nie martw się, to duża dziewczynka. — Pogłaskała go dłonią po policzku, a potem lekko klepnęła.

— Nie jestem tego taki pewien.

— Edward proszę cię, tylko nie narób głupstw — ostrzegła błagalnie.

— Zobaczymy.

Dwa tygodnie później zobaczył Elię przy lustrzanym gmachu. W pośpiechu, z rozwianymi kasztanowymi włosami, biegła w stronę wejścia, gubiąc po drodze kartki. Była bezbronna i nieświadoma niczego. Jej życie nieuchronnie zmierzało w jednym kierunku. Zawahał się, czy podejść. Zrobił krok w jej stronę, ale szybko się wycofał. W głębi duszy tego pragnął, ale wiedział, że nie może. Nie chciał jej narażać na niebezpieczeństwo. Musiał się skupić na czymś innym.

Przystanął na skraju chodnika, dzieliła ich tylko ulica. Wcisnął dłonie do kieszeni kurtki i opuścił głowę.

— Nie teraz, jest za wcześnie. Na wszystko przyjdzie odpowiedzenia pora.

Był spokojny, że jest cała. Miał świadomość, że nie może się z nią przywitać. Nie miał innego wyjścia niż znaleźć inny sposób. Wiedział, że jego badania się nie zakończyły. Mają defekt, który ona ma w sobie. Dopóki tego nie naprawi, będzie trzymał się od niej z daleka. Na razie jest bezpieczna.

CZĘŚĆ IV

OBCY

Kim jesteś? — pyta Edward, oślepiając intruza skupionym światłem latarki.

— To chyba ja powinienem zapytać, co tu robicie? To nie miejsce na miłosne schadzki — odpowiada nieznajomy.

Czuję drzenie jego lodowatej dłoni.

— Już wychodziliśmy — uspokaja Edward.

— Wybraliście zły kierunek. — Nieznajomy zaciska swoją dłoń na moim ramieniu.

— A ty złe miejsce! — odpalam, starając się uwolnić z uścisku.

— Elio! — upomina wymownie Edward.

— Pyskata jesteś! — Dłoń napastnika mocniej szarpie za moje ramię.

— Szukaliśmy czegoś — mówi Edward spokojnym tonem.

— Tutaj nic nie ma, wszystko zostało zniszczone.

— Skąd wiesz? — pytam.

— Mieszkasz tu? — draży Edward.

— Może... Zależy kto pyta.

Tajemnicza postać nie daje za wygraną.

— Edward Lloyd — mówi pewnym głosem.

— Syn Daniela? — Intruz prostuje się, w jego głosie słychać zdumienie. — Jeszcze Lloydów mi tutaj potrzeba. Czego chcecie?

— Aua... — syczę, gdy intruz wbija palce w mój mięsień.

— Wybacz, nie chciałem. Jesteś tym złym czy dobrym?

— Dobrym — odpowiadam za Edwarda, mając nadzieję, że napastnik odpuści.

— I mam ci, kochana, uwierzyć na słowo?

— A masz inne wyjście?

Nastaje cisza. Nieznajomy wypuszcza mnie z uścisku. Wracam powoli do Edwarda, chowając się za jego plecami. Mężczyzna wygląda na pięćdziesięciolatka, na jego twarzy maluje się zmęczenie. Stare, znoszone ubrania pachną świeżo, jakby wyciągnięte prosto z pralni. Widocznie nie mieszka w mieście, chociaż musi skądś mieć żywność.

— Po co tu przyszliście? — mężczyzna nie ustępuje.

— Szukamy dokumentów sprzed wypadku. Czegokolwiek, co mogłoby nam pomóc w odnalezieniu odpowiedzi — mówi Edward.

— Wszystko, co było, zostało zabrane. Daniel sam tego dopilnował.

— Co pan tu robi? — pytam.

— Szczerze mówiąc, żyję tu... To znaczy mam mały domek w głębi lasu. Tutaj przychodzę czasem po materiały. Domy pracownicze były budowane około 30 lat temu. Po zimie w dachu powstała dziura, a to miejsce to kopalnia wszystkiego, czego mi trzeba.

— Dlaczego nie przeniósł się pan razem z resztą pracowników? — dopytuje Edward.

— Po tym co się stało? I tak nie mogłem dłużej dla niego pracować.

— Po wybuchu? — pytam, nie wiedząc, o co mu chodzi.

— I tak, i nie. Po śmierci żony nie potrafiłem się pozbierać. Daniel zabrał mi wszystko, co kochałem. Pożar był moim wybawieniem. Nikt nie wie, że żyję. Uciekli w popłochu,

zabierając najważniejsze rzeczy. Oni zamknęli ten rozdział, ja również, i dobrze mi z tym.

— Współczuję straty. Mój ojciec również zginął. Wiem, że to co innego. Wszyscy cierpimy na swój sposób. — Staram się pocieszyć.

— Tylko nie Daniel. — Wzrok mężczyzny ukazuje głęboki żal.

— Przeciwnie — zaczyna Edward. — Jego żona, moja matka, zmarła przez Daniela. Okropnie się czuję z tym, co zrobił i dalej robi mój ojciec.

Zapominam, że dla Edwarda to może być bardziej bolesne niż myślę. Chociaż nie daje tego po sobie poznać, wiem, że odbiło się to na jego psychice. Na początku myślałam, że jego zachowanie wobec mnie jest obojętne, ale z czasem dostrzegłam, jak doskonale potrafi się maskować.

Staruszek wzdycha, widać, że brakuje mu kontaktu z ludźmi. Jego brązowe oczy wypełnione są ogromnym smutkiem, ich blask zniknął pewnie lata temu. W głębi duszy jest mi go żal. Nie czeka go już w życiu nic, co może dać mu radość. Teraz zrozumiałam, sama muszę pomyśleć o tym, co dla mnie jest ważne. Jak dotąd żyłam w stagnacji przekonana o porażce własnego życia. Przecież to nie koniec, kiedy masz dwadzieścia dziewięć lat świat stoi przed tobą otworem. Los zakpił z mojego dzieciństwa. Muszę szybciej dokonać wyboru dalszej drogi. W przeciwnym wypadku na starość zostanę sama tak jak stojący przede mną człowiek.

— Zaprowadzę was do biura, ale jak mówiłem, wątpię, abyście cokolwiek znaleźli.

Mija nas. Ruszamy za nim. Podchodzę bliżej mężczyzny.

— Tak z ciekawości zapytam. Padł agregat czy wyłączył pan go celowo? — pytam nieznanego.

— W ciemnościach mam przewagę. — Uśmiecha się do mnie.

— Można go włączyć? — pytam, skręcając w prawo.

— Jak dotrzemy do biura, zostawię was, w drodze powrotnej włączę prąd.

— Będziemy wdzięczni — dodaje Edward.

Błądzimy kilka minut po korytarzach, przedzierając się przez upiorną ciemność.

— To tutaj — oznajmia nieznajomy.

Drzwi są otwarte. W ciemnościach nie udaje się niczego znaleźć. Co chwilę potykam się o jakieś przedmioty leżące na podłodze.

— Ostatnio jak tutaj byłem, drzwi były zamknięte — stwierdza Edward.

— Niedawno grupa twojego brata przeczesła ten teren ponownie, zabierając wszystko.

— Wie pan coś więcej na temat wypadku? — pytam.

— Niewiele. To był pożar spowodowany wybuchem w jednym z biur.

— I dlatego uciekli? — pytam zdziwiona. — Przecież można było wyremontować pokój i wrócić do życia.

— Chodziły pogłoski o jakichś tajnych badaniach.

— Przecież wszystko, co tutaj robiono było tajne, prawda? — pytam.

— Masz rację — zgadza się Edward.

— Jeśli nie macie nic przeciwko, wrócę do domu. Muszę naprawić dach przed kolejną ulewą.

— Dziękujemy za pomoc — zwraca się Edward do mężczyzny.

Nie znaleźliśmy nic, co mogłoby nam pomóc w odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Na półkach zostały tylko nieprzydatne

gazety i puste kartony. Cały elektroniczny sprzęt i dokumentacja zniknęła. Mężczyzna również nie był w stanie zbyt wiele wyjaśnić. Mam wrażenie, jakby coś przed nami ukrywał. Może kłamał i nie powiedział nam prawdy o sobie, kim naprawdę jest? Dlaczego mieszka na odludziu? To się nie trzyma kupy. Sama już nie wiem, co jest prawdą. Każda osoba, którą spotykam, okazuje się mieć ukryte, drugie oblicze. Tylko co zyskują na kłamstwach?

Stare, nadpalone zdjęcie, jakie zabrałam z podziemi, powoduje nagły przyływ wspomnień z tamtych lat. Wiele ich nie mam. Ojca pamiętam jak przez mgłę. Jego ogromne dłonie z samego rana rozczesywały moje wiotkie włosy. Codziennie zaplatał mi warkocz i związywał elastyczną gumką z białym kwiatkiem przypominającym stokrotkę. Jako jego córka miałam prywatnych nauczycieli, jak większość dzieci z korporacji. Razem z Edwardem i Robertem chodziliśmy na lekcje angielskiego. Już wtedy Edward wykazywał ogromne zdolności. Pewnie dlatego Daniel pokładał w nim tak wielkie nadzieje. Nie spodziewał się, że jego dziecko odwróci się od niego.

PRZED BURZĄ

Powroty wydają się o wiele krótsze. To pewnie dlatego, że znasz już trasę. Nocny wiatr sprzyja żegludze, zaoszczędzamy dzięki temu połowę następnego dnia. W gorącym słońcu moja skóra lekko brązowieje. Chwila spokoju odpręża mnie, a myśli przynajmniej przez moment nie są zbyt natarczywe.

— Dobra, koniec tego dobrego, zwijamy żagle i odpalamy silnik — rozkazuje Edward.

Natychmiast staram się wykonywać jego wszystkie polecenia. Przez chwilę czuję się jak prawdziwy majtek. Brakuje jeszcze, żebym czyściła pokład.

Dopływamy do przystani.

— Nigdy tutaj nie byłam. Co to za miejsce?

— Prywatne. Nikt poza nami nie ma tutaj wstępu. Tylko nieliczni wiedzą o tej przystani. Zapada zmrok, trzeba pospieszyć zawiązać cumy i zabezpieczyć łódź. Do baru mamy jeszcze spory kawałek drogi samochodem.

— Edward... — zaczynam niepewnie, od razu tego żałując.

— Tak?

Patrzę na niego, jego ruchy są szybkie i zdecydowane. Doskonale radzi sobie z ciężkimi objęczkami. Mięśnie pracują pod cieniutką bawełnianą koszulką.

— Nieważne.

— Jeżeli zaczęłaś, to musi to być coś ważnego. — Prostuje się. Zerkaając przez ramię, chwytając za linę i zwija ją.

— Dlaczego nie zrobiłeś automatycznie wysuwanych objaczy?

Wrzuca linę do kabiny, obraca się w moją stronę i krzyżuje ręce na piersi.

— Serio? — pyta zdziwiony.

— Co?

— O to chciałaś zapytać?

Już otwieram usta, by wcisnąć mu historyjkę o tym, jak mi się podoba na łódce, lecz ucisza mnie, podnosząc dłoń.

— Zastanów się dobrze, co powiesz. Potem nie będzie odwrotu — mówi stanowczo.

— Ale...

— Chodzi ci o to, co chcę zrobić?

— Tego nie powiedziałam — bronię się.

— Chciałaś.

— Nieważne, naprawdę. Chodźmy już. — Podchodzę do trapu, by zejść z pokładu. Czuję jego dłoń na biodrze, przytrzymuje mnie.

— Tak dla jasności. Żeglowanie nie polega tylko na wciskaniu guzików.

Mówi mi półszepem do ucha.

— Nie?

— Kocham swój jacht i to, że trzeba czasem coś przy nim robić.

— Niech ci będzie, panie kapitanie. — Ruszam w stronę samochodu.

Mimo że wypoczęłam, nie mam ochoty na dalszą rozmowę. Nie wiem nawet, co powiedzieć. Żeby tego nie robił? Że można uciec i zaszyć się gdzieś daleko stąd? Nie mogę, bo sama jestem

ciekawa. Muszę wiedzieć, co jeszcze znajduje się na pamięci. On też chyba woli prowadzić w milczeniu.

Neon zawieszony na dachu kamienicy prawdopodobnie od lat służy jako latarnia dla centrum miasteczka. Na ulicach panuje niepokojąca cisza, ale w pobliżu knajpy o tej porze jest gwarno. Zbliżamy się do celu. Do uszu wpadają dobiegające z lokalu dźwięki muzyki i okrzyki rozweselonych, prawdopodobnie podpitych gości. Wsiadam z samochodu i zatraskuję ciężkie drzwi. Nie wchodzimy głównym wejściem. Otaczamy budynek.

— Myślałam, że idziemy do twojej siostry?

— Idziemy. — Przystaje. — Chyba nie chcesz zwracać na siebie uwagi? A może chcesz się zabawić?

— O tak, z chęcią się napiję — mówię i zawracam, ale Edward szarpie moje ramię. Przyciąga mnie do siebie, patrzy z góry.

— Chyba sobie kpisz? — Puszczam mnie.

— Dlaczego? — zadzieram brodę.

— Serio pytasz dlaczego? — warczy.

— No, ale tylko coś na rozluźnienie, sam mógłbyś się zrelaksować. Jak jesteś taki spięty, to mam ochotę cię udusić... — urywam.

— No nareszcie jesteście, długo wam to zajęło.

Przerywa nam Tina, z uśmiechem na twarzy wpuszcza nas do budynku.

— Jak możesz mieć taki dystans do wszystkiego? — rzucam w jej stronę.

— Bo brakuje jej piątej klepki. — Edward śmieje się do siostry.

— Wiesz, ja przynajmniej mam cztery, gorzej z tobą. — Pokazuje mu język jak za czasów dzieciństwa. — Więc

wybierasz się jutro do grobowca? — pyta, prowadząc nas schodami na ostatnie piętro.

— Można to tak ująć.

— Trafne określenie — stwierdzam.

— Tak sobie myślę, że trzeba ci obciąć tę sterczącą czuprynę, musisz wyglądać jak on. Chyba dawno nie byłeś u fryzjera, co? — Tarmosi jego gęste włosy.

— Ty za to masz co tydzień inny kolor włosów. Dzisiaj ci zielono — prycha Edward.

— Widzę, że kochające się z was rodzeństwo. — Mierzę ich wzrokiem.

— Co jej zrobiłeś?

— Ja? Dlaczego od razu myślisz, że to ja?

— A kto inny? Tobie ją oddałam na te kilka dni. Więc?

Wchodzimy do przestronnego mieszkania zajmującego całe piętro budynku. Tina, w przeciwieństwie do swojego brata, ma dosyć specyficzny hipisowski styl. Na podłogach mnóstwo kolorowych dywanów z puchatymi frędzlami na końcach. Intensywna kolorystyka i rozpiętość barw w pomieszczeniach przeplata się bez ładu. Ściany ozdabiają stare plakaty powycinane z czasopism. Salon, który jest zarazem przedpokojem, emanuje niesamowitym, przytulnym ciepłem. Azylem od tego, co znajduje się poza murami tego budynku. Całą jedną ścianę od podłogi po sufit pokrywa ogromnej wielkości regał. Na dole — wnęki wypełnione czasopismami, wyżej zdobią go różnorodne bibeloty. Zielony, mały słońnik z uniesioną trąbą ustawiony w centrum, stoi naprzeciw mnie, wgłębiając się w moją duszę.

— Co więc? — naskakuje Edward na siostrę. — Dużo niewypowiedzianych i zbyt wiele wypowiedzianych słów. Dodaj do tego Roberta, Karola i jutrzejszy dzień. Jaki wyszedł ci wynik?

— Wiecie, że tu stoję i gapię się na was? — Unoszę brew.

— Elio, na końcu korytarza po prawej stronie jest kuchnia. Możesz zrobić coś do jedzenia. Pewnie umieracie z głodu. Po lewej stronie masz łazienkę, znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba. A ja zabieram się za tego małpiszona. — Wygania mnie z pokoju, wymachując dłońmi.

— Małpiszon? — pytam, unosząc lekko brew. — Muszę zapamiętać.

— Lepiej uciekaj — mruży oczy, wyganiając mnie.

Już dawno nie jadłam niczego porządnego, ryby nie bardzo są w moim guście. W lodówce odnajduję sporo owoców i warzyw. Nadadzą się na ciekawą sałatkę, ale chyba mam apetyt na porządną mięsną potrawkę. Przygotowuję jedzenie dla wszystkich. Towarzyszy mi płynąca z parteru muzyka. Nogi rwą się do tańca, biodra kołyszą w rytm tłustych basów. Chodzi mi po głowie myśl, aby zakraść się na dół i trochę rozerwać. Niestety dwie przeszkody nadal kręcą się po salonie, uniemożliwiając mi ucieczkę. Nie pozostaje mi nic innego, jak samotny taniec z nożem w dłoni obok kuchennego blatu.

Swoją porcję pochłaniam z prędkością światła, popijając pomarańczowym sokiem z odrobiną czegoś mocniejszego wydobytego z głębin szafki. O całej butelce mogę zapomnieć, nawet jeżeli pod nogami mam taki skarbiec. Jedyne czego mi brakuje, to odprężającej, gorącej kąpieli.

Ściany łazienki zdobią turkusowe, wpadające w błękitny odcień ceramiczne płytki. Mleczną podłogę odróżnia mozaika ułożona w aztecki wzór przypominający dziwaczną twarz. Przez zmrużone oczy wygląda, jakby to była głowa małpy wystawiającej

język. Głowę otaczają pierścienie, pomiędzy nimi widnieją podobizny zwierząt i roślin oraz wiele geometrycznych figur.

Na półce zawieszonej na grubych linach widzę mały stosik złożonych równo ubrań i karteczkę:

Chyba przyda ci się coś damskiego.

Widać Tina zadbała o każdy szczegół, nawet nowe damskie ubranie.

— Och! Dzięki ci Tino! — cieszę się na ich widok.

Edward ma bardzo kiepski gust albo ubogą kobiecą szafę. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Aż rechoczę na samo wyobrażenie Edwarda w damskich łąszkach. W szufladzie pod umywalką zauważam nożyczki i parę tubek kolorowych farb do włosów. Nasza gospodyni chyba często lubi zmieniać swój wizerunek, jak na rasową barmankę przystało. Wybieram spośród tubek odcień ciemnego kasztanu i purpury. Żal mi moich długich włosów. Łezka kręci się w oku, chociaż wiem, że odrosną. Spoglądam jeszcze chwilę w swoje lustrzane odbicie, by pożegnać się z brązowymi falami. Twarz wygląda na wypoczętą, jedynie usta są trochę spękane od morskiej soli.

Biorę w dłonie nożyczki i z zamkniętymi oczami obcinam związaną kitkę. Poprawiam delikatnie boki, aby nie obciąć za wiele. Zbieram część górnych włosów tuż nad czołem, wyrównuję je grzebykiem i ścinam tak, by zakrywały brwi. Roztrzepuję palcami, sprawdzając, czy wyszło równo.

— Coś ty najlepszego zrobiła Elio? — Gardzę sobą za swój czyn. Pozbawiłam się jedynej rzeczy, jaka podobała mi się w sobie. Teraz wyglądam, jakbym wróciła do szkolnych lat. Mały, niezdarny uczeń.

Strumień wody koi zmęczenie i smutki. Otula moje ciało, odprężając je. Uwielbiam stać pod prysznicem i czuć krople wody spadające na włosy, potem na twarz. Chłonę całą sobą odprężającą chwilę, gorącą parę buchającą na zimne kończyny.

Słyszę dźwięk cicho zamykanych drzwi łazienki. Niespokojna szybko się odwracam. Wstrzymując oddech, nasłuchuję. W kabinie nie ma niczego poza słuchawką prysznicową, co mogłoby posłużyć za broń.

— Jest tam ktoś? — Opieram się plecami o kafelki. Woda spływa po mojej twarzy. Dostrzegam tylko zarys postaci poruszającej się za szklanymi drzwiami prysznicza. Cień powoli wędruje w kierunku chromowanego uchwyty drzwiczek. Przelykam ślinę i odruchowo chwytam się za brzuch. Sama nie wiem, czy to strach, czy pragnienie kolejnej dawki adrenaliny. Co jeżeli uzależniłam się od niej? Jest jak narkotyk napędzający moje ciało do życia.

Na jego widok wypuszczam z siebie powietrze.

— Edward, wystraszyłeś mnie...

Jego nowa fryzura sprawia, że wygląda młodziej. Krótko przystrzyżone boki, na górze dłużej. Opadające na jedną stronę grube pasma tworzą połyskliwą falę. Wzrok przenikliwy, zdecydowany.

„O tak, w takiej wersji jest bardzo pociągający” — myślę.

Dopiero po chwili spostrzegam, że stoi przede mną całkiem nagi. Na ten widok przygryzam zębami kawałek dolnej wargi, która aż bieleje pod naciskiem. Wchodzi powoli do środka kabiny. Nic nie mówi. Zasuwa drzwiczki. Przywiera do mnie całym swoim smukłym, gorącym ciałem.

— Tina nas przyłapie — szepczę chrapliwym głosem, przelykając ślinę.

— To duża dziewczyna, zresztą pilnuje baru, a swój pokój ma piętro niżej.

Czuję mocne bicie jego serca. Pragnę tego tak samo, jak on. Bardzo tego potrzebuję. Jego przenikliwy wzrok przeszywa mnie całą na wskroś, nie jestem w stanie zbyt długo patrzeć w jego pełne pożądania, zielone oczy. Czuję lawinę dreszczy, moje ciało woła o więcej. Dotyk jego dłoni na mojej twarzy jest rozkoszny. Kolana miękko uginają się pode mną. Nachyla się, by dosięgnąć moich ust, ale zatrzymuje się na ich krańcach. Moje wargi drżą. Jego ciepły oddech otula je. Muska powoli, delikatnie ich górną część. Dłonie schodzą niżej, ocierają się o piersi. Rozchyła moje drżące uda. W namiętym uścisku badamy się wzajemnie. Gorący strumień otula nasze spragnione ciała. Wokół nas rozbrzmiewają dźwięki kapiącej wody i odgłos łapczywie nabieranego powietrza. Tak dobrze jest się zatracić. Wszystko inne w mgnieniu oka przestaje istnieć. Wtulona w ramiona mężczyzny jestem wypełniona spokojem. Całuję jego lewe ucho, moją uwagę przykuwa wzorek na jego głowie. Zygzakowaty szlaczek wygolony zapewne maszynką. Mam tylko nadzieję, że będę w stanie rozpoznać, z którym z braci zdarza mi się przespać.

Stoimy jeszcze chwilę wtuleni w siebie, wiedząc dobrze, że niedaleko nas jest cel, z którym musimy się zmierzyć. Wiem, nie muszę teraz zaprzętać sobie tym głowy, ale nie potrafię przestać o tym myśleć. Mój mózg nawet w chwili rozkoszy, na ułamek sekundy nie pozwala zapomnieć o tym, przed czym nie mogę uciec. Zamykam oczy i wędruję dłońmi w stronę jego umięśnionego torsu, jeszcze raz chcę poczuć jego ciało. Lekkie uszczyptnięcie w lewy pośladek pobudza jego zwierzęcy instynkt. Nie muszę prosić się o więcej. Nasze ciała dobrze się

rozumieją. Mała sugestia i po chwili nadchodzi kolejne odprężenie.

— Idę z tobą i proszę, nie zabraniaj mi — oznajmiam.

Nic nie mówi. Przeczesuje pasmo moich opadających na oczy włosów i zaczepia je tuż za uchem. Wypuszcza powietrze z płuc. Tym razem to ja przejmuję inicjatywę i ujmuję w dłonie jego twarz. Wspinam się na palcach i zbliżam usta do ucha.

— Będę ostrożna, obiecuję.

Jego silne dłonie chwytają moje uda, podciąga mnie wyżej i przypiera do ściany.

— Powiedz to jeszcze raz — nakazuje.

— Będę ostrożna. — Czuję jego mocne pchnięcie powodujące lawinę rozkosznych dreszczy.

— Dalej.

— Obiecuję — sapię.

POWRÓT DO PIEKŁA

Aktorem być, na scenie własnego życia.

W chwili gdy zakładam biały kitel, nie mam pojęcia, po prostu nie wiem, czy wyjdziemy z tego żywi. Niestety jest to jedyny sposób na odzyskanie utraconego modułu. Żyję nadzieją, że jest wart ryzyka i da nam więcej odpowiedzi na nurtujące mnie pytania.

Rozdzielamy się na zapleczu baru. Edward musi wejść głównym wejściem do podziemi. Wychodząc z budynku, nic nie mówi. Na jego twarzy widnieje spokój. Dotyka ostatni raz mój ciepły policzek. Stoję chwilę, patrząc, jak odjeżdża samochodem siostry.

— Dobra, teraz moja kolej — mówię, dodając sobie odwagi.

Czekam jeszcze kwadrans i wsiadam do starego samochodu, tego samego, jakim przyjechaliśmy do baru. Żeby przedostać się do laboratorium, trzeba posiadać przepustkę, ale dobra gra aktorska Edwarda i jego twarz raczej pozwolą na mały, a zarazem skuteczny blef. Podjeżdżam samochodem pod wjazd, z którego wcześniej uciekłam. Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, Edward powinien otworzyć go za około pięć minut. Mam nadzieję, że w międzyczasie nikt mnie nie zaczepi.

Coraz mocniej zaciskam spocone dłonie na skórzanej, lekko podgryzionej zębem czasu kierownicy. Wiercę się niespokojnie na fotelu. Otwieram klapkę nad siedzeniem kierowcy, jest pusta,

tylko warstwa kurzu wysypuje się na twarz. Macam palcami pod fotelem, znajduję starą, pustą butelkę po wodzie. Został jeszcze schowek po stronie pasażera. Usiłuję go otworzyć. Klapka zacięła się, uderzam pięścią. Odskakuje gwałtownie, wyłamując zatrzask. Nie odnajduję nic interesującego, tylko pozwijane kable. Niecierpliwie spoglądam na swoje odbicie w przednim i bocznym lusterku. Nie potrafię przywyknąć do nowej fryzury, ale podoba mi się jej lekkość. Potrząsam głową na boki. Kolorowe pasma wyróżniają się spośród brązowej czupryny. Niezdarnie obcięta grzywka podwija się, łaskocząc moje czoło. Ścieram z policzka małą szarą smugę, to pewnie przez tę zakurzoną klapkę nad siedzeniem. Na białku prawego oka dostrzegam małą, zielonkawą plamkę. Nachylam się do lusterka.

— Co to jest? — Odchylam palcem dolną powiekę. Zielonkawy punkt ucieka w dół. To już nie jest mała plamka, tylko cieniutka nitka.

Samochodowe lusterko znika. Rozpływa się w powietrzu jak mgła.

— Gdzie ja jestem? — Moje dłonie są drobniutkie jak u dziecka, paznokcie przystrzyżone równo ze skórą palców. Spoglądam w dół. Mam na sobie czerwoną spódnicę za kolana i białą, zwiewną koszulę. Czarne buty na stopach przypominają baletki do tańca, tylko bez wiązań. Przerazona rozglądam się dokoła. Stoję w swoim pokoju z dzieciństwa przed owalnym lustrem przytwierdzonym do drewnianej, ciemnej szafy.

— Co jest, do cholery! — krzyczę przerażona. — To niemożliwe!

Moje odbicie jest odbiciem dziesięcioletniej dziewczynki. Długie włosy zaplecione w warkocz z tyłu głowy, na ich końcu gumka ze stokrotką.

— Elio! — ktoś woła z korytarza.

— Tata? To niemożliwe. — Obracam się w stronę drzwi.

— Elio! — głos jest coraz bliżej.

— To nie jego głos — stwierdzam, kręcąc głową.

— Elio, szukałem cię.

Drzwi do pokoju otwierają się, w progu staje wysoki, barczysty mężczyzna. Jego włosy są czarne. Ma biały kitel, pod nim błękitną koszulę i grafitowe spodnie w kant. Eleganckie buty stukają jakby na obcasach miały metalowe blaszki.

— Myślałem, że jesteś z Edwardem i Robertem w bawialni.

— Daniel?

— Co?

— Ale jak? — pytam zszokowana jego widokiem.

— Co ty pleciesz, dziecko? Chodź, mam dla ciebie niespodziankę. — Mężczyzna uśmiecha się szeroko, ale w jego oczach rozpoznaję kłamstwo.

— Nie!

— Znowu będziemy przerabiać ten temat?

Kręcąc głową, moje nogi nie chcą się ruszyć z miejsca.

— Chodź — wyciąga zachęcająco w moją stronę rękę — Mam dla ciebie...

— Misia? — przerywam mu.

— Dokładnie, misia — unosi brew. — Skąd wiedziałaś?

Nie odpowiadam. Już tu kiedyś byłam.

— Nieważne, chodź ze mną Elio. Ten ostatni raz, obiecuję, ostatni zastrzyk.

— Ale ja nie chcę. — Nie wiem, skąd mi przyszły te słowa.

Mężczyzna podchodzi, szarpie mnie za rękę i wyciąga z pokoju na zielony korytarz.

— Nie! Ja nie chcę! — krzyczę, łzy płyną po policzku.

— Dostaniesz misia.

— Nie chcę misia!

— Jest ogromny, większy niż ty — zapewnia.

Boli mnie ręka, zapieram się bucikami o posadzkę, ale on jest silniejszy. Ciągnie mnie.

— Ale to boli!

— Nieprawda. To ostatni raz, obiecuję.

— Nie! — Moja ręka wyslizguje się z jego uścisku. Upadam na podłogę, wstaję i biegnę w przeciwnym kierunku. Nad głową gaśnie jedna z jarzeniówek. Za plecami słyszę jego głos.

— Elio! Wracaj!

Wpadam na otwierane przede mną drzwi. Upadam. Twarz mam skierowaną na sufit. Lampa migocze ostrym światłem. Stukot butów zbliża się do mnie. Moja ręka jest wykrzywiona w dziwny sposób. Światło gaśnie.

— Cholera! — zdyszana otwieram oczy. — Co to było?

Patrzę do lusterka. Wszystko w porządku. Na oku zielona plamka. Przełykam ślinę. Musiałam zamknąć na chwilę oczy.

— To tylko sen, Elio. Jeden z twoich dziwnych koszmarów. — Wypuszczam powietrze.

Usadawiam się wygodniej w fotelu, na zewnątrz pali słońce. Blacha samochodu zaczyna się niemiłosiernie nagrzewać. Można by usmażyć omlet na desce rozdzielczej, nie mówiąc już o masce samochodu. Jeszcze parę minut i nie będę w stanie wytrzymać wewnątrz tej małej puszkii.

Jakiś namolny owad wpada do środka przez otwartą szybę, drażniąc uszy. Mam ochotę go trzepnąć, gdy nagle klapa wjazdu wydaje charakterystyczne zgrzytnięcie. Wyłania się z niej jakiś bład jak kartka papieru, szczupły mężczyzna. Czy oni w ogóle

wychodzą na powierzchnię, czy siedzą tam zamknięci jak szczury laboratoryjne?

— No pięknie, i co teraz? — mruczę do siebie. Schylam się nisko, przyciskając piersi do nóg, chcę się schować.

— Elia, jesteś tam? Jestem Henryk, Edward mnie przysłał. Możesz wejść — woła półszepem w moim kierunku.

Dźwigam się i wychylam przez okno. Wysoki, szczupły chłopak stoi do połowy wewnątrz włazu. Jedną ręką podtrzymuje wieko, drugą podpira się o krawędź wejścia.

— Wystraszyłeś mnie. Jesteś sam?

— Tak, Edward czeka na dole — zapewnia.

Jego głos brzmi, jakby nawdychał się szkodliwych substancji. Rozglądam się na boki, poza nim nikogo nie dostrzegam. Mam pewne obawy, ale nie mam innego wyjścia, zresztą upał sam wygania mnie na zewnątrz.

— Skąd się znacie z Edwardem? — zagaduję, aby rozładować napięcie krążące w moich żyłach. Schodzę po schodkach do podziemi.

— Kilka lat byłem asystentem Edwarda, jeszcze przed podpaleniem — tłumaczy nerwowo, gestykulując i prowadząc mnie w dobrze znane miejsce.

Znowu ten cholerny, zielony korytarz. Przyprawia mnie o zawrót głowy.

— Podpaleniem? — dziwię się. — Jakim podpaleniem?

— Tuż po tym, jak zaczęliśmy drugi etap badań na zwierzętach, dowiedział się, że jego ojciec wykradał mu dane i prowadził równoległe swoje doświadczenie. Nie mam pojęcia, co dokładnie stało się przed wypadkiem, ale wiem, że był tamtej nocy w podziemiach. Na drugi dzień poinformował mnie, że już nie będzie dla niego pracował. To tutaj. — Wskazuje

kiwnięciem głowy na szare, stalowe drzwi. — Muszę iść na obchód, inaczej mogę mieć problemy.

— Dzięki. — Chcę zapytać o więcej, ale Henryk macha i szybko odchodzi, zostawiając mnie ze sporą ilością niewiadomych.

Popycham ciężkie drzwi, kątem oka dostrzegam Edwarda wyłaniającego się kilka metrów dalej zza zakrętu. Wymachuje energicznie dłońmi. Pokazuje, żeby nie wchodzić, ale jest za późno. Otworzyłam drzwi, słyszę szelest. Muszę tam wejść.

— Czego?! Miał mi nikt nie przeszkadzać! — warczy mężczyzna. Obraca się w moją stronę.

Staję jak wryta, nie potrafię znaleźć żadnych słów. Na myśl przychodzą mi tylko obelgi. Przecież miało go nie być w laboratorium.

— Yyy... — Staram się coś wymyślić, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

— No?

Jest identyczny, jak dwie krople wody, jak płatki śniegu widziane z daleka. Ale się wpakowałam. Całe szczęście, że również założyłam kitel, tylko to może uratować mój tyłek.

— Chciałam zapytać, czy czegoś panu brakuje. Robię obchód z Henrykiem i pomyślałam... — przerywam, usta drżą. — Może chce pan kawy? — Albo kulę w łeb, przechodzi mi przez myśl. Z radością na ustach strzeliłabym mu w ten zarozumiały pysk.

— Możesz zabrać te fiołki dla Henryka.

Podaje mi całe pudełko pojemniczków z krwią i innymi falującymi płynami.

— Oczywiście.

— Mają być gotowe do wieczora — dodaje beznamiętnie.

— Dobrze. — Wyciągam dłonie, żeby zabrać pojemnik, ale Robert cofa je.

— Czy my się znamy? — Marszczy brwi i unosi lekko podbródek. Patrzy na mnie, jakby w myślach szukał odpowiedzi.

— Pracuję z Henrykiem od miesiąca — odpowiadam szybko, by nie skojarzył, kim naprawdę jestem.

— Nowa asystentka... Myślałem, że znam wszystkie osoby z otoczenia Henryka. — Przekazuje pudełko i odwraca się z powrotem do ekranu swojego komputera.

Wychodzę pospiesznie, aby uniknąć jakiegokolwiek konwersacji, która może zdradzić moją tożsamość. Powolnym krokiem podążam w kierunku Edwarda. Robię wielkie oczy, kiedy widzę, jak śmieje się z mojej sytuacji.

— Chyba sobie ze mnie jaja robisz. Masz, to dla ciebie, wampirze. — Podaję mu fiołki, a on parska cichym śmiechem.

— Żałuj, że nie widziałaś swojej miny.

— O mały włos bym nas zdradziła, a ty się skręcasz ze śmiechu? Bardzo zabawne, naprawdę. Przecież wy jesteście identyczni. Jak ja cię rozpoznam, gdy będziecie obok siebie?

— Fakt, może być mały problem. — Poważnieje.

— Mały? Serio, dla ciebie to mały problem? Krawca też macie tego samego? — Wściekam się, czuję, jak policzki zalewają się purpurą.

— Też się tego obawiałem, ale jak już wyszłaś, to zdawało się trochę zabawne.

— No ubawiłam się po pachy, naprawdę!

— Dobra, już po wszystkim. Idziemy do biura Roberta, pewnie tam schował moduł.

— Wiem! — Unoszę palec na znak, że wpadłam na genialny pomysł. — Palnę wam obu w łeb. — Wyszczierzam zęby

w uśmiechu.

— Idealny plan, wtedy na pewno dowiesz się, kto zabił twojego ojca. Chyba że cię to nagle mało obchodzi?

— Przynajmniej byłby jeden kłopot z głowy.

— O! To teraz ja jestem kłopotem? — pyta gniewnie.

— Nie chwytaj mnie za słówka.

Z przekomarzania się wyrywa nas strażnik robiący obchód. Edward od razu wczuwa się w rolę laboranta.

— Przekaż to pudło Henrykowi do zbadania, wyniki mają być do wieczora.

Stają jak wryta z rozdziawionymi ustami. Strażnik nawet nie patrzy w naszą stronę, przechodzi szybko dalej.

— Chyba jednak palnę wam obu w łeb. Dokładnie to samo powiedział mi twój klon.

— Wada bliźniaków. — Mruga okiem w moją stronę.

— Nie pamiętam, abyście w dzieciństwie robili to samo. I weź to pudło ode mnie, bo na sam widok zbiera mi się na wymioty. — Ciskam mu w ręce tekturową skrzynkę.

— O, widzę, że stara Elia do nas wróciła. Mój klon nie robił tego samego co ja, ale bardzo chciał mieć coś, co uważał za moje, lecz jego charakter w tym wieku nie pozwalał mu na to.

— A teraz jest inaczej?

— Można tak powiedzieć, zmieńmy lepiej temat. Ten za bardzo mnie drażni.

— Dobra — pomrukuję. — Skąd wiesz, dokąd iść? — dopytuję, drapiąc się po skroni.

— Jak już ci mówiłem, Daniel skonstruował to laboratorium identycznie do poprzedniego. Ma sentyment do swoich rzeczy. Woli, aby otoczenie, w jakim przebywa i pracuje, było niezmiennie. — Jakies glosy dochodzące z oddali odwracają jego

uwagę na ułamek sekundy. Oczy obserwują bacznie, czy nikt nas nie widzi. — Pracowałem tutaj po zamknięciu poprzedniej placówki.

— Kiedy je zamknęli? — pytam, idąc ramię w ramię.

— Opuszczono go od razu po wypadku, w którym zginął twój ojciec. Pracownie przenieśli tymczasowo do hal bliżej centrum miasta. Następnie błyskawicznie zaczęto budowę nowego ośrodka.

— Nic z tych momentów nie pamiętam. Dlaczego?

— Odseparowali nas od siebie, matka nie zabrała cię więcej do pracy, dlatego zapomniałaś o mnie, o nas...

— No dobra, pracowałeś tutaj dla ojca. Jako jeden z tych snujących się po korytarzu szczurów wiecznie wtykających nos w książkę i komputer, tak?

— Niech ci będzie — wzdycha, przewracając oczami. Skręca w lewo.

— To skąd, do jasnej cholery, znasz zakamarki tego baraku?

— To nie barak, to podziemie. Baraki są na powierzchniach.

— Och, Ed, gdzie twój dystans do siebie. Nieważne.

— Ważne. To nie baraki. Całe to miejsce ciągnące się licznymi tunelami i wieloma piętrami w głąb ziemi, nie jest tylko placówką badawczą.

— A czym? — pytam.

— Tutaj zmienia się historia. Tworzy się nowa epoka.

— Historia? Epoka? Co ty gadasz?

— Myślisz, że dlaczego świat się zmienia?

— Nie wiem — wzruszam ramionami.

— Pomyśl — zachęca lekkim uśmiechem.

— Edward... — marudzę. — Nie lubię takiej pseudonaukowej gadki.

— Proszę.

Wzdycham, wywracając ślepiami.

— Bo jako ludzie dążymy do postępu technologicznego i poddajemy się mu? — Czy to miało zabrzmieć jak pytanie? Sama nie wiem.

— Tak.

— To myślenie prostolinijne. Jako naukowiec, jesteś zadowolony ze swoich osiągnięć. Natomiast ludzie funkcjonujący w innej sferze życiowej niż — przystaję i wskazuję dłonią na pobliskie szklane pomieszczenie, w którym krząta się kilku laborantów — oni, zmuszeni są do tego postępu. Nieświadomi następstw waszej zabawy w Boga. Czy to jest moralne?

— Masz rację — przytakuje. — Ale do tego jesteśmy stworzeni.

— I co nam z tego przyszło? — kręcę głową. — Wojna technologiczna. Tacy ludzie jak twój ojciec nie rozumieją tego. Człowiek chce po prostu być szczęśliwym.

— Tylko jaka jest miara jego szczęścia?

— Każdy ma chyba swoją — wzruszam ramionami. — Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Ale jesteś upierdliwa — warczy. Idzie dalej wzdłuż ciągnących się przeszklonych ścian.

— Wiem.

Zerka na moją twarz.

— Jako że ojciec był wiecznie zapracowany, wracałem na wyspę łódką, zbierałem różne śmieci, które mogłyby mi się przydać. Stąd wiem, że to laboratorium jest identyczne. Znam je jak własną kieszeń. Dorastałem w obu, wychowałem się w nich. Potem pracowałem. Każdy z nas miał swoje biuro. Dobra, dosyć gadania — rzuca przez ramię, idąc w stronę rozwidlenia —

a więcej działania. Chyba że ci się tutaj podoba i chcesz tu zostać na dłużej?

— Niespecjalnie. Nie chcę, żeby koszmary wróciły.

Ruszam za Edwardem. Nie zwalnia nawet na chwilę. Czasem jestem zmuszona podbiec, aby nadążyć za jego krokami. Mijamy główną recepcję i tęgą kobietę czytającą jakieś papiery. Dochodzimy do wąskiego holu, jego schody prowadzą na niższe piętra obiektu.

— Super, jeszcze głębiej.

— Przestanieś marudzić?

— Nie wiem, czy nie odezwie się we mnie ukryta klaustrofobia. Jaki idiota mógł skonstruować coś takiego? Co jeżeli nie dałoby się wydostać i zabrakłoby tlenu? Nie ma to jak powolna śmierć. Podobno wtedy człowiek odkrywa w sobie prawdziwe oblicze.

— Twoja matka jest autorem projektu, Daniel wyłożył kasę.

— O czym ty mówisz? — Podbiegam do niego, chwytając za ramię.

— Myślałem, że wiesz.

— Teraz już wiem.

Czuję, jakby ktoś wymierzył mi siarczysty policzek. Z wytrzeszczem muszę wyglądać komicznie. Tak naprawdę nic nie wiem o swoich rodzicach. Bóg wie, ile przede mną zatajono i co jeszcze odkryję.

Czym niżej, tym powietrze staje się rzadsze i chłodniejsze. Klatka schodowa wydaje się nie mieć końca. Tylko dlaczego nigdzie nie ma drzwi? Schodzimy dobre pięć pięter, a drogi ucieczki ani jednej.

— Jesteś pewien, że to dobry kierunek? — Kładę mu rękę na ramieniu, aby go zatrzymać. Brakuje mi tchu, schodzenie jest

podobno mało uciążliwe, ale gdy biegnie się za kimś, kto robi ogromne susy, to jest już wyzwanie dla takiego kurdupła, jak ja. — A gdzie windy?

— Minęliśmy je.

— Edward, zaczekaj chociaż chwilę. — Przystaję i zgięta w pół nabieram tchu. — Nie mogliśmy po prostu do nich wejść? — pytam. Prostuję się, podążam za Edwardem.

— Nie, ponieważ najlepszą drogą ucieczki są schody. Windy można w dowolnym momencie zablokować i ściągnąć na dany poziom. No dalej, jeszcze kawałek — ponagla.

Docieramy na najniżej położone piętro. Tutaj korytarz jest inny. Marmurowa posadzka błyszczący karmelowym odcieniem. Wygląda jak milion kamyczków zalanych ciekłym szkłem i oprószonych drobinkami złota. Ogromna płyta pokrywa całą podłogę.

— Co to jest, do cholery? — pytam i podziwiam ten niecodzienny widok.

— Cud natury. Oszlifowany kamień w jednym kawałku. Przy wykopach natknięto się na takie skały. Dzieło sztuki powstało dopiero po ich wygładzeniu. Całą podziemną kondygnację — zatacza dłońią koło — pokrywają takie podłogi.

— To jest piękne, naprawdę piękne... — Kucam i podpieram się dłońmi o posadzkę, opuszki palców delikatnie muskają szkło. Nie potrafię odwrócić od niej wzroku.

— To tutaj. — Edward wpisuje kod na dotykowym panelu bezpieczeństwa obok drzwi i popycha je energicznie. — Starzy znajomi jednak mogą się czasem przydać.

Wstaję, przekraczam próg pomieszczenia. Biuro jak każde inne. Gdyby nie ta podłoga byłoby zupełnie zwyczajne. Kilka krzeseł, mnóstwo półek z kolorowymi segregatorami, komputer

i przybory biurowe. Faktycznie, Robert jest dosyć specyficzny. Nie potrafię go rozgryźć. Zacořany społecznie, outsider, a może to tylko pozory? Może jest po prostu zwyczajny, a to ja przypisuję mu takie cechy? Spoglądam na Edwarda. Cieszę się, że ich charaktery są różne.

— Jest na biurku — mówię. Nie wierzę, że to jest aż takie proste. Obracam w dłoniach niewielkie urządzenie w nadziei, że znajdę w końcu to, czego szukam. Kto zabił mojego ojca i dlaczego? Na jednej z półek obok biurka jakaś błyskotka świeci mi po oczach. Sięgam po przezroczyste pudełko na wysokości mojego czoła.

— Nie wierzę. Mój zegarek. Myślałam, że go zgubiłam. — Uradowana zakładam go na przegub lewej dłoni.

— Patrz na to — mówi Edward. W rękach trzyma gruby plik starych zdjęć. — Sporo tego, większość zrobiona tutaj, w podziemiach. Dokładnie w tych. Poprzednia placówka nie miała takiej posadzki. Musiały być zrobione po wypadku. Spójrz na to zdjęcie. — Podaje mi fotografię.

— Czy ja dobrze widzę? Mama i Daniel? — pytam.

— Jest chyba w ciąży, to musi być zdjęcie sprzed około 8 lat.

— Tak, to był już koniec ciąży, potem zmarła. Jak mogłam nie zauważyć? Pamiętam, że przytyła, ale nie zwróciłam uwagi.

Patrzę na matkę, na jej twarzy maluje się radość. Ubrana w czerwoną sukienkę do kolan przywarła do ramienia Daniela. Wygląda na szczęśliwą. Pewnie dlatego, że nie zdawała sobie sprawy, co ją czeka.

— Ubierała się w luźne sukienki. Ciężko pracowała. Cztery miesiące przed jej śmiercią byłam na stażu w kancelarii lustrzanego gmachu. Rozmawialiśmy tylko przez telefon

lub kamerkę. Gdy ją widziałam po powrocie, zdawała się normalna, zawsze pogodna. Musiała być już po rozwiązaniu.

— To nie twoja wina Elio — kładzie rękę na moim ramieniu. — Nie zadrećzaj się tym. Nie miałaś na to wpływu.

Zabieram z jego dłoni resztę zdjęć i przeglądam dokładnie jedno po drugim. Może to żalosne, że pragnę znowu ujrzeć jej twarz, ale nic na to nie poradzę. Wszystko tak szybko się stało, nie zdążyłam się z nią pożegnać.

— Spójrz — mówię. — To samo zdjęcie, co znaleźliśmy poprzednio. Wszyscy razem, wyglądają na szczęśliwych. — Nadal nie potrafię rozwikłać zagadki, co mogło się stać. Może moduł nareszcie nam coś wyjaśni?

— Pewnie jest więcej takich zdjęć.

— Nigdy nie mówiłeś, jak zmarła twoja mama. — Podnoszę na niego wzrok. Nie chcę naciskać. Wiem, że wspomnienia mogą boleć. W szczególności, jeżeli utraciło się ukochaną osobę zbyt szybko. Tę, która była twoim jedynym oparciem i zrozumieniem.

— Miałem piętnaście lat. Zapadła na dziwną chorobę. Ojciec mówił, że nie dało się nic zrobić — tłumaczy krótko.

Jego wzrok posmutniał. Szukam w myślach słów pocieszenia, ale to nic nie da. Nic nie jest w stanie wypełnić takiej pustki. Na wyspie mówił, że to wina Daniela. Co miał przez to na myśli? Otruł własną żonę, zabił ją? Czego Edward nie jest w stanie mu wybaczyć? Nie zamierzam go na razie dręczyć, liczę, że z czasem otworzy się i sam powie.

— Nie wiedziałam, wybacz. — Kładę mu dłoń na ramieniu. — Wezmę je, jeśli nie masz nic przeciwko. Nie mam dużo zdjęć, a jako bobas byłeś naprawdę uroczy. — Puszczam oczko w jego stronę.

— Wracajmy, nim strażnicy zaczną drugi obchód.

KONFRONTACJA

Matko...

Szukam siebie w głębi duszy. Dano mi wybór. Nie jestem pewna, czy będzie słuszny. Co jeżeli okaże się pomyłką?

Wiem, że jestem silna, to on dał mi nadzieję, ale w gruncie rzeczy każdy z nas jest samotną duszą pośród innych. Możemy mieć przyjaciół, rodzinę, miłość swojego życia. Na końcu naszej ścieżki i tak umieramy sami.

Samochód jest niemiłosiernie nagrзany. Nie ma klimatyzacji i w mgnieniu oka jestem zlana potem. Włosy kleją mi się do twarzy. Bawełniana bluzka na cienutkich ramiączkach opina moje piersi. Stanik mogę wykręcić jak mokrą szmatę, nie wspominając o reszcie. Upinam włosy w wysokiego kucyka. Kilka kosmyków ucieka z gumki, łaskocząc mój kark. Zdejmuję koszulę i przecieram zapoconą szyję oraz dekolt. Czuję się, jakbym weszła w zimowym ubraniu do sauny, z tą różnicą, że nie muszę za nią płacić.

— Jeśli tak wygląda wiosna, to nie chcę widzieć, jakie będzie lato — stękam, zwilżam językiem suche wargi.

— Wolisz zimę? — pyta. Dłuższe kosmyki jego czupryny skrzyły się delikatnie z powodu parnego powietrza.

— Nie cierpię zimy, jest bezproduktywna.

— Nie powiedziałbym tak.

— No może coś nam daje, ale bez przesady. Kto widział 38°C o tej porze roku?

— Globalne ocieplenie.

— O nie! — protestuję. — Nie będziemy dyskutować o szkodliwości ludzkich działań na naszą ekologię i egzystencję. Jestem klejąca i zdenerwowana.

— Do twarzy ci w tej fryzurze — zmienia prędko temat. — Dodaje uroku twoim kocim oczom. — Szturcha mnie łokciem.

— Dzięki. Jak na razie kot się schował, a wyszła spocona świnka.

— Dowcipna jak zawsze — śmieje się.

— Jedź na drugi koniec miasta — wydaję mu rozkaz, chociaż wcale nie miało to tak zabrzmieć.

— Po co? — pyta zdziwiony.

— Coś mi się przypomniało, pamiętasz inicjały na adapterze? S.M.L.?

— Może, co z nimi?

— Patrząc na zdjęcia w laboratorium coś mi przeszło przez myśl. To chyba jakiś skrót.

— I co myślisz? — naciska.

— Nie wiem, może się mylę — wzruszam ramionami — ale chcę zbadać ten trop. To jakby skrót imienia i nazwiska mojej matki: Sandra Madej, i nazwisko twojego ojca: Lloyd.

Zdejmuję buty, opieram stopy o zacienione miejsce deski rozdzielczej. Krew odpływa z palców, ciężar ciała skupiony jest na biodrach i plecach. Zamykam powieki. Staram się odprężyć, wsłuchując w dźwięk pracującego silnika.

— Zdajesz sobie sprawę, że to bardzo ryzykowne? — pyta spokojnie.

Przez półzamknięte oko dostrzegam, jak zaciska dłonie na kierownicy. Krople potu spływają po krągłościach mojego ciała. Nie wiem, czy przeszywa mnie tymi zielonymi ślepiami, nie obchodzi mnie to teraz.

— Niewiele bardziej niż wejście do laboratorium, ale... — Nie wiem, jak się wytłumaczyć. Nie przychodzą mi na myśl żadne sensowne argumenty.

— Oby to było coś więcej niż „ale”... — przerywa.

— Dobra. Mam pewne przeczucie.

— Pięknie — warczy pod nosem.

— Daj mi dokończyć.

Wzdycha, podnosi rękę.

— Mów.

— Tak sobie myślę, że jeżeli adapter miał taki symbol, to musi być też pasująca do niego część, którą, jak przypuszczam, właśnie tam znajdziemy.

— Pewnie tak jak inni. — Skupia się na jeździe.

— Pokieruję cię do mojego mieszkania.

— Znam drogę — ucina krótko.

Mierzę go pytającym wzrokiem, znacząco marszcząc przy tym brwi.

— Dobra, nie pytam skąd. Obyś mi to kiedyś wyjaśnił.

Przejechanie całego miasta w takim ukropie to nie lada wyczyn. Rozgrzane powietrze faluje nad betonową ulicą, jakby pod jej powierzchnią gotowała się lawa i podgrzewała podłoże. Otwarcie okien daje niewielką ulgę. Lekki gorący podmuch drażni moje oczy, rozpala policzki. Czuję, jakbym miała wysoką gorączkę. Na zewnątrz panuje cisza. Liście drzew gęstego lasu po lewej stronie nawet nie drgają. Pusta droga pozwala na szybką

podróż. W oddali dostrzegam lustrzany gmach pnący się wysoko niczym stojący dostojnie żołnierz na swojej warcie. Na obrzeżach miasta usytuowano proste, parterowe kostki. Nie przypominają kolorowych obrazków z bajek na dobranoc. Większość budynków to skromne apartamenty mające spełniać jedynie funkcję lokum dla singli. Bliżej centrum zaczynają się niskie, bliźniacze, jednorodzinne zabudowania. Wszystkie stoją równo w rzędzie przed linią lasu. Po ponad półgodzinnej jeździe niebo zaciąga się czarnymi, ołowianymi chmurami. Przyjemny chłód wpada do środka kabiny. Wkładam z powrotem trampki, wiążę ciasno czarne sznurówki. Wyginam się za fotel, aby dosięgnąć do gałki w drzwiach.

— Oszalałaś, co ty robisz? Nie pamiętasz, co było ostatnio? Pasy, Elio!

— Tylko zamykam szyby, chcesz mieć akwarium w aucie?

— Fakt. — Wychyla się do przodu, by zobaczyć dokładniej to zjawisko. — Pogoda zmienna jak kobieta — dodaje, ciężko wzdychając.

Wracam na miejsce. Na zewnątrz robi się szaro, chmury przysłaniają słońce. Pierwsza tłusta kropla spada na szybę tuż przed jego nosem. Zaraz po niej leją się tysiące innych. Wystraszeni ludzie uciekają przed deszczem, jakby z nieba lał się kwas. To na nic, opady są tak intensywne, że w ułamku sekundy nie pozostawiają na nich suchej nitki. Oglądam spłoszonych ludzi jakbym była w cyrku, a przede mną rozpętał się zamęt przestraszonych zwierząt na arenie. Na szczęście siedzę bezpiecznie w samochodzie. Wycieraczki nie nadążają zbierać wody z szyby. Ulewa podtapia drogi w błyskawicznym tempie. Podmokłe ulice skrywają teraz swoje ogromne dziury. Wystarczy jedno głębokie wyżłobienie w jezdni i całe zawieszenie tego

gruchota rozsypie się w drobny mak. Jazda robi się coraz trudniejsza. Co kilka metrów zaliczamy drobną nierówność. Edward zaciska mocniej dłonie na kierownicy. Podziwiam jego opanowanie podczas jazdy, sama zatrzymałabym się i przeczekałabym na poboczu, aż deszcz osłabnie.

Skupiam wzrok na wprost, ale ciężko cokolwiek dostrzec. Nagle w jednym punkcie, wbrew wszelkim prawom grawitacji, widzę lewitujące krople deszczu. Zawieszony w powietrzu zmieniają kształt, podczas gdy obok inne nadal spadają. Przecieram oczy ze zdumienia.

— Widziałeś to?! — krzyczę. Pojawia się. Coś dziwnego, niedorzecznego. Palcem wskazuję miejsce na wprost wozu. — Widzisz?! — powtarzam. Nagle wraca pustka, tylko gęsto spadający deszcz.

— Co?

— Nie wiem, coś tam było, chyba ptak, ale... Czy on właśnie zniknął? — mówię do siebie, kręcę głową, sama w to nie wierząc. — Znowu, popatrz! — Nachyliłam się ku przedniej szybie, by uważniej przyjrzeć się zjawisku, ale jego już nie ma.

— Nic nie widzę przez tę cholerną ulewę! — wrzeszczy poirytowany. Uderza przodem dłoni o kierownicę.

Nagle leci, po lewej stronie wozu. Kolorowy ptak, może ogromna papuga. Nie wierzę własnym oczom. Zjawa trzepocze energicznie barwnymi skrzydłami i po chwili znika.

— Chyba mi się wydawało. — Marszczę brwi. — Ze stresu mam pewnie halucynacje.

— Raczej wybujałą wyobraźnię.

— Uznam to za komplement.

Jeszcze jedna prosta i jesteśmy u celu. Wysoka kamienica przypomina bardziej motel niż budynek mieszkalny. Ogromna drewniana konstrukcja na palach, usytuowana tuż nad wodą. W słoneczny dzień jest to idealne miejsce na odpoczynek.

— Miałaś mi za złe, że wsadziłem cię na łódkę, a sama mieszkasz nad wodą? — Parkuje przed wejściem do kamienicy.

— To co innego. — Pokazuję mu język. — Tutaj nie buja i jest stabilnie. Nie marudź, tylko wchodź szybko do środka — ponaglę, zamykając skrzypiące drzwi samochodu. Nakrywam głowę koszulą, niestety na niewiele się zdaje w taką pogodę. Powietrze tężeje od parującej pod moimi stopami drogi. Z jednej strony spadające strugi koją rozgrzaną skórę, z drugiej jednak smagają moje plecy niczym bat dzierzony w dłoni Boga, karcący mnie za moje występki. Ciężko jest mi nabrać powietrze do płuc, czuję się, jakbym była podtapiana.

Małe mieszkanko znajduje się na czwartym, przedostatnim piętrze budynku. Do każdego piętra przynależy pięć mieszkań. Moje ma numer osiemnasty. Środkowe lokale posiadają największy metraż z widokiem na jezioro. Pomimo odpychającego zewnętrznego wyglądu budynku, wewnątrz utrzymane jest w nienagannej czystości. Beżowa, bardzo szeroka klatka schodowa z łatwością mieści wielkogabarytowe meble. Chromowane poręcze dają namiastkę nowoczesnego stylu. Przez wąskie okna znajdujące się na każdym piętrze wpadają strugi światła. Przystaję na schodach w połowie drogi. Gładzę dłonią poręcz.

— Co się dzieje? — pyta troskliwym głosem.

— Dawno mnie tutaj nie było — odpowiadam i ruszam dalej. Obym tylko nie zastała wielkiego grzyba na ścianach i Bóg wie,

czego jeszcze.

Drzwi do mieszkania otwierają się na ośmiocyfrowy kod, poprzedzony inicjałami właściciela lokum. Popycham skrzydło. Uśmiecham się do siebie. Za plecami czeka Edward.

— Na szczęście nikt się nie włamał i nie splądrował domu — mówię uradowana, moje ręce drżą.

Okna oraz balkon większego pokoju wychodzą na spokojne, nawet jak na tę ulewę, jezioro otoczone gęstym lasem. Odgradza miasto od reszty świata, tworząc zielony mur.

— Nie oceniaj, nie przywiązywałyśmy uwagi do wystroju, wszystko miało być jedynie funkcjonalne. Nie było czasu na szukanie pierdółek — tłumaczę, wchodząc do pierwszego pomieszczenia z prawej strony przedpokoju.

— Nic nie mówię. — Bada wzrokiem pomieszczenie.

— Za ubikacją znajdował się schowek, widziałam kiedyś uchyloną część kafelka, mama grzebała przy kabynie prysznicowej albo udawała. Sięgała ręką w tamto miejsce. — Kucam, wyciągam dłoń w ten sam sposób, tak jak robiła to mama. Niczego nie odnajduję. Wkładam głębiej dłoń. — Cholera!

— Pomóc ci?

— Dam radę, chociaż ciężko jest tam cokolwiek wyczuć. — Przyciśnięta plecami do kabiny prysznicowej usiłuję sięgnąć głębiej. Naciskam na płytki, jedna z nich porusza się pod naporem. Udaje mi się dosięgnąć ruchomej części ściany za ubikacją. Grzebię palcami i odchylam opuszkami ciężką, niebieskawą płytkę.

— Bingo! — Wyciągam ze skrytki małą, drewnianą szkatułkę wielkości mojej dłoni. Otwieram wieczko. Środek wyłożono zielonym materiałem. Zerkam jeszcze pod spód. Jakaś zakurzona

blaszka przyklejona do drewna, przecieram nadgarstkiem.
Grawer:

Z wyrazami miłości dla mojej jedynej gwiazdy.

15.07.2094 r.

— Co znalazłaś? — pyta z zainteresowaniem Edward, spoglądając na szkatułkę.

— Kolejne zdjęcia, pendrive i jakieś dziwne soczewki. Wyglądają, jak małeńkie punkciki, ich powłoka połyskuje na niebiesko. Weź je, a ja zabiorę resztę. — Podaję mu małe pudełeczko i chowam pendrive oraz zdjęcia do tylnej kieszeni spodni.

— Dobry pomysł.

— Dziękuję. — Szczerzę zęby zadowolona.

Przerywa nagle, unosząc palec.

— Cii... — Kładzie dłoń na moich ustach.

Jakiś chrobot zwraca naszą uwagę.

— Nie zamknąłeś za sobą drzwi?! — syczę przez zaciśnięte zęby.

— Idź do pokoju i siedź cicho — nakazuje szeptem.

Kręcę przecząco głową. Nie chcę go zostawiać. Wymachuje ręką w stronę pokoju, pokazując, abym wyszła. Jego oczy ciemnieją, zaciska usta i wykrzywia złowrogo brwi, jakby doskonale wiedział, co zaraz nastąpi.

Wychodzę bezszelestnie z łazienki, wstrzymując oddech. Zakradam się ostrożnie do pomieszczenia obok. Nogi drżą, czuję niepokój paraliżujący moje kończyny. Nie wiem, czy uda mi się ukryć. Słyszę krzątanie. Dla Edwarda jest już za późno.

W lustrze nad komodą dostrzegam tę samą scenę, jaka rozgrywa się za moimi plecami.

Mężczyzna. Tuż obok, w holu łączącym wszystkie pomieszczenia. Stoi w progu wejścia do mieszkania i z oddali celuje w jego głowę.

— Nie radzę, jeden ruch i będziesz trupem! — ostrzega obcy mężczyzna o niskim głosie i dziwnym akcencie, jakby z niemieckimi naleciałościami, mocno akcentujący literę „r”. — Dziewczyna idzie z nami!

— Po moim trupie! — warczy Edward.

— Jak sobie życzysz!

W panice szukam miejsca do kryjówki. Gdzie tu się schować? Czy ja dobrze słyszałam coś o trupach? Wpadam w panikę. Każdy pomysł zdaje się gorszy od poprzedniego. Za ścianą słyszę krzątanie. Przecież nie ukryję się pod kanapą, nawet bym się tam nie zmieściła. W dzieciństwie to co innego. Drobnym dzieciak zmieści się i w koszu na pranie.

— Skup się! — mówię do siebie.

Za oknem nadal gradowe chmury, okropna ulewa nie ustępuje ani na chwilę, myśli kotłują się pod czaszką, a napięcie rośnie. Stoję w miejscu, oddycham powoli, zbieram myśli do kupy. Jezioro wygląda na wzburzone. Pamiętam kąpiele na jego brzegu w słoneczny dzień. To jedyne miejsce, gdzie można się schłodzić w upalne lato. Beztroska dzieciństwa przyćmiła mi jakiegokolwiek wyobrażenia o dorosłym życiu.

— Witaj Elio — odzywa się za mną znajomy głos.

— Robert... — szepczę cicho do siebie.

Opieram dłonie o szybę balkonu. Palce zostawiają na niej spocone ślady. Ciarki przechodzą przez brzuch, a serce bije

mocniej. Zachodząc od tyłu, zaskakuje mnie. Czekam w bezruchu na nieuchronny koniec. Na balkonowej szybie dopatruję się odbicia jego poruszającej się wolno sylwetki. Przystaje. Palcami dotyka moich farbowanych, krótkich włosów, wachając je. Czuję jego oddech na swej skórze, jest ciepły i spokojny.

— Dobra jesteś, wiesz? Sprytna, wtedy w laboratorium nie poznałem cię od razu. — Nachyla się do mojego ucha, przygryza jego płatek. — Przypomniałaś mi coś, twój zapach zawsze mnie nęcił — szepcze do ucha, jakby flirtował. Kładzie dłoń na mojej tali. — Robiłem wszystko dla ciebie, ale ty zawsze wołałaś Edwarda. — Wciąga nozdrzami zapach mojej spoconej, mokrej od deszczu skóry.

Odwracam się w jego stronę i opieram o zimne okno. Jest tak bardzo kojące dla pleców, jak najlepszy drink z baru Matta.

Niepewnie podnoszę na niego wzrok. Włosy ma mokre, lekko potargane, dłuższe pasma opadają na twarz pod ciężarem spływającej wody. Nieposłuszne krople uciekają po jego policzku. Nie wiem, co myśleć. Z jednej strony chcę mu pokazać, że się nie boję i jestem twardsza niż myśli, chociaż nogi zdecydowanie mówią co innego. Z drugiej jestem zbyt słaba, aby walczyć. Mam dosyć tych psychologicznych gier i w ostateczności, gdy nie będzie już wyjścia, oddam się w ręce oprawców, chociaż wiem, że to nie jest wyjście z tej sytuacji.

Oni są tacy sami, ten sam głos, ruchy i mimika twarzy. Nie potrafię pojąć, dlaczego Robert stał się przeciwieństwem swego brata. Czy mogę to przypisać złu, jakie ogarnęło bliźniaka? Może jego ukryte alter ego wychodzi z cienia tylko w mojej obecności? Ślepia Roberta przeszywają moje oczy, wnikają głęboko. Czuję się, jakbym walczyła z kimś o zaburzonej

tożsamości. Mózg płata mi teraz figle. Tylko co jest prawdą? Jak ją odróżnić?

Robert nachyla się i całuje. Gorące wargi wtapiają się w moje drżące od niepokoju usta. Ręce odruchowo lądują mu na ramionach. Mam mętlik w głowie, umysł toczy bitwę. Nie jestem pewna czy nie zwariowałam. W szoku oddaję pocałunek. Jest gorący, namiętny, ale po chwili robi się coraz bardziej natarczywy i brutalny. Chłodna dłoń Roberta biegnie od bioder, przez brzuch, zatrzymując się na chwilę przy piersi, by nagle chwycić za kark. Obejmuje go bez problemu. Unosi mnie, ledwo stoję na palcach. Krtań zapada się pod naciskiem.

— Błagam — wyduszam z siebie jęk. Oczy bliźniaka przybierają mroczny charakter, ten sam wzrok miał Edward. Czy to możliwe, by był taki sam jak jego brat? Może wypiera swoje drugie ja? Walczy z nim i udaje się mu, przynajmniej na razie. Dopóki nie nastąpi kryzys.

— Gdybym chciał, to złamałbym twój liches kark.

Chcę krzyczeć, ale nie potrafię. Wierzgam nogami, ale na próżno.

— Proszę. — Odpycham się rękami od jego torsu, przyciskając mocniej swoje plecy do szyby.

W oddali Edward toczy walkę z innym napastnikiem. Rzucając się na niego, usiłuje wyrwać z jego rąk broń. Pistolet wypala, kula przebija szybę w drugim skrzydle balkonu. Czuję silny skurcz w żołądku. Parę centymetrów bliżej a oberwałabym nią z Robertem. Nie wiem co gorsze, umrzeć od kuli czy od uduszenia? Słona łza ucieka z oka.

— Zrobię to — sapię — tylko nas wypuść.

— Szlachetnie, Elio.

Kciuk Roberta napiera, paznokieć kaleczy moją skórę. Sapie mi ciężko do ucha, wbijając swoje wielkie palce w moje mięśnie. Wyczuwam tętno, nie wiem czyje. Coraz ciężiej jest nabrać tchu. Łzy nabiegają mi do oczu. Nie jestem w stanie nic wykrztusić, powoli brakuje mi tlenu. Łapię gwałtownie za jego rękę, starając się uwolnić z żelaznego uścisku, ale siły słabną z każdą sekundą. Muszę coś wymyślić, zanim stracę przytomność. Przed oczami robi mi się ciemno.

— Widzę, że znalazłaś zegarek. Chciałem mieć coś twojego.

Ponownie gorąc męskich ogromnych warg osacza moje, przygryzając dolną ich część. Koniuszkiem języka wyczuwam metaliczny posmak krwi. Nie widzę już nic. Puszczam rękę z umięśnionego ramienia, po omacku szukam jakiegoś narzędzia. Wyczuwam coś na wysokości uda. Chwytam i ostatkiem sił ciągnę, podnosząc jak najwyżej. Odgłos rozbijanej porcelany rozdziera ciszę pomieszczenia. Nagle Robert osuwa się na ziemię. Na głowie pęka mu wazon matki, w ręcznie malowane, różowe piwonie. Odłamki spadają tak szybko jak on. Upadam na podłogę, głowa ląduje na torsie Roberta. Podnoszę się i kładę plecami na drewniany parkiet. Staram się złapać powietrze. Edward wbiega do pokoju zdyszany, zgięty wpół, podpierając się dłońmi o kolana, aby zaczerpnąć tchu.

— Gdzieś ty był, do diabła!?! — wykrztuszam z siebie. W polu widzenia pojawiają się czarne ruchome plamki.

— W toalecie — wysapuje Edward, śmiejąc się z zamkniętymi oczyma. To nie jest radosny śmiech. To ten, który uświadamia człowiekowi, jakim był głupcem. Śmiech ocalałego.

— Jesteśmy sobie warci. — Zamykam oczy. Uspokajam rytm rozszalałego serca. Rozpiera ono moją klatkę piersiową, jakby miało zaraz eksplodować, łamiąc żebra.

Znowu trzask. Robert przewraca idącego w moją stronę Edwarda.

— Alan, do cholery, łap tę zdzirę! — wydziera się, trzymając brata za nogę.

Napastnik otrząsa się i zmierza w moim kierunku. Przerażona patrzę w jego twarz. Wydaje mi się, że ma złamany nos. Opuchnięty i wykrzywiony w jedną stronę. Lewe oko w pół zmrużone, opuchnięte. Oczodół nabiera siniego koloru. Przybiera dziwny, wściekły grymas. Krwawi, a ja nie mam już siły. Płuca dopiero co zaczynają swobodnie nabierać powietrza, oczy płoną. Intruzi tłuką wszystko, co znajduje się pod ręką. Z mieszkania obok dobiegają trzaski i przekleństwa skarżących się sąsiadów. Głośne basy dochodzące z góry zagłuszają odgłosy panującego chaosu. W jednej sekundzie wszystko wydaje się jedną wielką groteską. Bracia obkładają się pięściami, jeden z nich dostaje potężny cios w szczękę. Staram się podnieść, podpierając o podłogę. Na podłodze widzę cień. Nagle zbir chwyta za włosy i zmusza do wstania. Odruchowo łapię dłoń za kucyk. Boli jak cholera. Przybija mnie do okna, przytrzymując za ramiona. Uśmiecha się złośliwie, pogardliwe oczy zdradzają jego zamiary. Nie wiem skąd, czuję nagły napływ adrenaliny i pewności siebie. Łudząc się, że cios wyjdzie jak na filmach, napinam kark i z całej siły uderzam czołem w jego brodę. Niestety mój wzrost działa na niekorzyść powodzenia całej akcji. Jedynym tego plusem jest większa możliwość uników. Dobrze wiem, że nie ujdzie mi to płazem. W mgnieniu oka odpłaca się gwałtownym, mocnym pchnięciem. Ból nie pozwala krzyczeć. Niemal mdleję.

Razem wpadamy na szybę balkonu, rozbijając ją. Ciągnie mnie za ramię na zewnątrz. Czuję szarpnięcie, łokieć wbijany w żebro i odłamki szkła na plecach.

— Nie...! — krzyczy Alan, spadając. Głos nagle milknie, a jego kości pękają.

Oślaniam twarz. Alan skręca kark na drugim piętrze, wpadając głową na stalową barierkę balkonu.

Jedynie co pamiętam, to rozbity zegarek — bransoleta pękła przy szarpaninie. Woda otula moje wątłe ciało. Jest tuż obok. Nie jestem w stanie go dosięgnąć. Znika. Potem spokojne, bezwładne opadanie w otchłani jeziora i piękną tafłę wzburzonej wody. Spadające na nią krople deszczu wydają cudowny dźwięk. Unoszę w ich stronę rękę. Czy powinnam słyszeć pod wodą?

Widzę spadający śnieg. Ktoś mnie woła.

— Elia, jestem tutaj! — Macha do mnie ręką ubraną w niebieską rękawiczkę, mały chłopiec po mojej prawej stronie.

— Nieprawda! — krzyczy identyczny po lewej stronie. — On kłamie! To ja jestem Edward!

— To on kłamie! To jest Robert! — wrzeszczy drugi, wskazując na brata.

Nie wiem, kto jest kim. Odchylam głowę do tyłu. Na twarz spadają mi płatki śniegu. Topią się. Maleńkie krople spływają po policzku, chłodząc go. Kolejne osiadają na rzęsach i ustach. Wysuwam język, smakując białe, zimne kruszynki. Rozkoszując się widokiem białego szaleństwa, rozpościeram ręce na boki, aby mnie owładnęło w całości, porwało. Odchylam się w tył i upadam na plecy w biały puch. Widok gęsto spadającego śniegu mnie uspokaja. Jakby ktoś sypał go wyłącznie dla mnie, wiedząc, że kocham jego widok i smak.

— Elia! — krzyczy w moją stronę chłopak.

— Elia! — woła drugi, podbiegając do mnie.

Dwie chłopięce, pyzate, lekko zaczerwienione od mrozu twarze nachylają się nade mną, przysłaniając mój ulubiony widok.

— Dobrze się czujesz? — pyta jeden z nich.

— Tak! — krzyczę i zaczynam się radośnie śmiać na cały głos.

— Wariatka! — stwierdza jeden z braci i rzuca we mnie śnieżną kulką.

Chwytam ich za rękawy kurtek i ciągnę w dół. Upadają ze śmiechem. Kładą się obok i wpatrują w niebo sypiące płatkami.

— Piękne — mówię.

Jestem taka senna. Zamykam oczy, muszę odpocząć.

— To było piękne.

To ostatnie, co widzę. Moje wspomnienie wyparte ze świadomości. Potem nastaje ciemność. Nie wiem, jak długo znajduję się pod wodą, ale jest mi tak błogo, że pragnę tam pozostać.

OCALENIE

Podobno człowiek doświadczający śmierci klinicznej widzi światło i odczuwa nieodpartą chęć pójścia w jego stronę. Dlaczego ja widziałam mrok? Czy moja dusza jest przeklęta? Tkwię na rozstaju dróg, a w chwili tonięcia widzę tylko ciemność. Czyżby całe te opowieści to stek bzdur? A może ma to inny sens?

Może nie warto walczyć z czymś, czego nie da się pokonać? Co jeśli to nasze niedokończone sprawy nie pozwalają na tę łaskę?

Jestem tak bardzo zagubiona, więc proszę, ocal mnie! Niech jasność wyprze mrok.

Krztuszę się parę dobrych minut, dopóki cała woda nie opuści moich płuc. Okropne uczucie bezradności zdaje się trwać wieki. Oczy mam zaciśnięte, na szyi czuję okropny palący ból, jakby zdarto ze mnie skórę. Dotykam palcami miejsca, gdzie Robert zaciskał swoje łapska. Otwieram pozlepiane powieki, łapczywie nabierając powietrza.

— Elia... Jestem przy tobie, jestem. — Edward klęczy nade mną, przecierając ze zmęczenia czoło. — Ile razy mam cię ratować? — Uśmiecha się czule, w oczach ma strach i ogromną ulgę. Łzy spływają po jego mokrej od ulewy twarzy.

Moja głowa leży bezwładnie na jego przedramieniu. Przywiera czołem do mojego czoła, całując je po chwili. Oddech ma szybki, niespokojny.

Deszcz nadal nie odpuszcza i wcale nam nie pomaga. Moje dłonie wyczuwają mokrą trawę i błotnistą ziemię. Za jego plecami widzę jezioro. Przelykam delikatnie ślinę, wyczuwam w niej posmak krwi. Kąciki ust mam wysuszone, oblizuję językiem dolną wargę. To z niej sączy się krew. Na twarzy Edwarda dostrzegam zmęczenie. Przeciera koszulką twarz, zostawiając błotnisty ślad na policzku. Otacza mnie swoimi ramionami i pomaga się pozbierać.

— E...d...ward — usiłuję wykrztusić. Moja krtań płonie, zdrapane gardło blokuje dźwięki. Samo oddychanie sprawia ogromny ból.

— Cii... Nie mów nic. Musisz odpocząć. Przez jakiś czas będzie cię piekło w przelyku, ale to minie. Obiecuję.

W piersi czuję kłujący ból, jakby na żebrach stanął mi słoń. Patrzę na Edwarda, chcę zapytać, co z jego bratem i tym drugim mężczyzną. Zamiast słów, płyną łzy. Ciepłe, słone, niczym drobne perełki spływają po zimnej skórze twarzy. Rozcięta wargę pulsuje pod wpływem ich dotyku niczym sól na otwarte rany. Pojawia się cichy szloch. Wpadam Edwardowi w ramiona i przywieram najmocniej, jak tylko potrafię. Łkanie przybiera smutny, obojętny płacz. Przeżyłam, powinnam się cieszyć z tego powodu, ale nie potrafię.

— Wszystko będzie dobrze. Postaraj się rozluźnić — uspokaja. Rozciera dłońmi moje ramiona.

Temperatura powietrza raptownie spada. Trzęsę się z zimna jak osika. Nagle pojmuję, co się stało. Wpadłam do wody z czwartego piętra. Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Zegarek przepadł na zawsze. Moja najcenniejsza pamiątka zniknęła. Potem tonęłam tak jak on i widziałam mrok. Czyżbym umarła? Czy to właśnie widziała moja matka — mrok? Po co bać się

śmierci, skoro po niej nic nas już nie czeka? A może boimy się jej właśnie dlatego, że oznacza koniec?

Moje mieszkanie jest zrujnowane. Nie wiem, czy będę miała odwagę wrócić do niego, żeby w nim posprzątać. Obydwoje wyglądamy, jakbyśmy uprawiali zapasy w błocie. Ulewa ustaje, jedynie delikatny deszcz zmywa z nas błoto. Edward pomaga mi wstać z grząskiej ziemi i dojść do samochodu.

W ciszy jedziemy do domu Edwarda. Nie wiem, na co się mam przygotować. W jakim stanie będzie jego posiadłość? Nie bardzo pamiętam, co się wtedy działo, jedynie strzały i ogromną demolkę, potem ucieczkę. Obracam głowę w jego stronę i przyglądam mu się chwilę. Ufam mu w pełni, ale nie ufam swojemu umysłowi. Boję się, że może kiedyś wprowadzić mnie w błąd.

Przełykam ślinę, chrząkam parę razy. Ból gardła nie jest już uporczywy.

— Myślałam, że ten dom jest zrównany z ziemią — zagaduję ochrypłym głosem, aby nie wracać myślami do wydarzeń sprzed paru minut. Nie umiem, nie potrafię o tym nie myśleć. Ostrzegał mnie. Mówił, że to niebezpieczne. Sądziłam, że moje życie jest nudne, teraz tak nie myślę.

— Prawie był — zaczyna. — Długo trzymali cię w izolatce. Musiałem wymyślić, jak cię odbić, a najlepiej mi to wychodzi w pracy. Nie miałem pojęcia, jak się za to zabrać.

— Sam go wyremontowałaś?

— Tina mi trochę pomogła. Nie wygląda jak wcześniej, ale jest w porządku. Zamontowałem dodatkowe zabezpieczenia. — Przeciera nerwowo twarz mokrą koszulką. Jego dłonie są całe zakrwawione, mają liczne otarcia na kostkach palców. Z czubka

głowy sączy się powoli ciemna, gęsta krew, zmieniając się w sporego strupa.

Zaciskam zęby, chcę płakać, ale powstrzymuję się. To wszystko przeze mnie. Gdybym nie uciekała z podziemi, te wydarzenia nie miałyby miejsca.

— Nie martw się, on wygląda tak samo.

Unoszę wysoko brew i patrzę z niedowierzaniem.

— Jego kumpel chyba o wiele gorzej. Powiedziałabym, że już w ogóle nie wygląda.

— Cud, że jesteś cała. Gdybyś wyleciała druga, tak jak on... — urywa, nie kończąc myśli.

Doskonale wiem, do czego zmierza. Sama nie potrafię uwierzyć w to, jakie miałam szczęście. Zamiast Alana, to moje kości pękłyby na barierce, połączenia nerwowe zerwałyby się. To byłby albo szybki koniec, albo długie męczarnie w oczekiwaniu na śmierć.

— Nie pamiętam, co było dalej. Co z Robertem?

— Braciszek poleżał sobie trochę, a ja musiałem dać nura.

— Teraz tym bardziej nie odpuści — stwierdzam szorstko.

Dojeżdżamy do domu. Już na samym wejściu daje się wyczuć zapach farby olejnej i surowego drewna. Nowa, dębowa podłoga aż błyszczy, ściany nadal pozostają białe. W przedsionku moją uwagę zwracają namalowane na ścianach różnej wielkości czarne, pełne koła. Nic nie mówiąc, przechyliłam głowę z wyrazem zaniepokojenia.

— No wiesz, granat i inne takie tam. Biała farba nie dała sobie rady. Ja bym użył młota, ale Tina chciała się trochę zabawić.

— Dobra, rozumiem. — Dokładnie sprawdzam wzrokiem każdy zakamarek. Pomieszczenia przeszły totalny remont.

Musiało to zająć sporo czasu i wysiłku.

Edward nie odstępował mnie na krok.

— Widzę nowy blat w kuchni. — Zielony granit wygląda, jakby szafkę pokryto mchem. — Nie wnikam w to, kto wybierał.

— Ale się uczepliła. Siostra ma dosyć osobliwy gust, chciała wprowadzić trochę życia, a ja nie miałem do tego głowy. Jedno życie chciałem ocalić. — Zdejmuje mokrą koszulkę i ciska ją do kosza. Przeczesuje włosy palcami, aż po chwili udaje mu się je ułożyć.

— Przecież nic nie mówię. — Podchodzę do zlewu i wyglądam przez okno. — A ogród? — Wygląda jakby przeszło przez niego tornado albo batalion wojska. Cokolwiek kiedyś tam rosło, zniknęło z powierzchni ziemi.

— No tak, ogród. Zapomniałem o nim na śmierć. Wiesz — przerywa — jest twój. Rób z nim, co chcesz, ja nie mam na niego pomysłu.

— Serio? Mogę? — pytam zdziwiona i zarazem uradowana.

— Poważnie, masz wolną rękę. — Uśmiecha się lekko. Podchodzi i ujmuje moją twarz w dłonie. — Elio...

Moje serce bije mocniej. Wtulona w jego rozgrzany tors czuję się spokojna, chociaż jego twarz przyprawia mnie o mieszane uczucia.

— Tak?

— Jeśli tylko masz ochotę.

Oczywiście wyobraźni widzę drewnianą altankę umiejscowioną w centrum ogrodu, wspinającą się po cieniutkich listewkach róże, huśtawkę, taką z baldachimem, oraz mały skalniak z imitacją wodospadu. Z marzeń wyrzywa mnie rzeczywistość, przecież to nie mój dom, chociaż mógłby nim być. Nawet bym tego chciała.

Zaparzam duży dzbanek kawy na pobudzenie i opatruję Edwardowi głęboką ranę na głowie. Tym razem to ja dzierżę w dłoni jego magiczny, leczniczy długopis. W lustrze nad umywalką widzę siny ślad palców na moim karku i czerwoną bruzdę. Nie wygląda to zbyt dobrze, jakby mi zaciśnięto pętlę wokół szyi. Drobiniki szkła tkwią jeszcze w ramieniu. Tył głowy Edwarda również nie prezentuje się ciekawie. Pozlepiane krwią kosmyki utrudniają oczyszczenie rany. Wierci się niecierpliwie na krześle, ponagłając, bym się pospieszyła.

— Potrzebuję twojej krwi, tylko tak zdołamy odczytać to, co znajduje się na pamięci. Postaram się wszystko wydobyć.

— Dobra, zrobimy to razem. — Rzucam ręcznik do kosza na pranie. Nie czuję się jeszcze w pełni sił, ale lepsze to niż czekanie. Wolę wiedzieć od razu niż przeciągać to w nieskończoność.

Siadam obok Edwarda na kanapie i otwieram pamięć, resztą zajmuje się on. Robert musiał mnie długo przeklinać za ten moduł. Tylko ja jestem w stanie go otworzyć. Uśmiecham się na myśl, że zburzyłam jego niecny plan. Piję ze smakiem gorącą kawę z cynamonem — dziwne, kiedyś jego aromat mnie brzydził, teraz wręcz przeciwnie. Odczuwam jeszcze małe pieczenie przy przelękaniu, ale nie jest to już bardzo uciążliwe. Domowa apteczka Edwarda zawiera więcej lekarstw niż lokalny szpital.

Mija parę godzin, zanim udaje mu się uporać zezkodami wyrządzonymi w plikach. Nie jest to łatwe, sama bym sobie nie poradziła. On grzebie w elektronice, a ja w jego ranach. Doskonały układ.

— Dobrze, że nie zabrałaś go do mieszkania. Nie wiem, czy udałoby się cokolwiek odczytać po twojej kąpieli w wodzie.

— Mieliśmy farta — stwierdzam z ulgą.

— Chyba tak.

Na ekranie, za jego plecami, ładuje się słupek z procentami — 86% i idzie do góry.

— Do czego odlicza komputer?

— To program naprawczy do pamięci.

— Pomoże?

— Myślę, że powinno zadziałać, ale zanim wszystko otworzymy, chciałem cię przeprosić.

— Za co? — spoglądam na niego z zaciekawieniem, zalepiając ostatnią ranę małym plastrem.

— Nie byłem do końca szczery. — Obraca się w moją stronę. — Zacznę może inaczej. Pamiętasz, jak dostałaś się do szpitala z powodu urazu kolana?

— Przecież uciekałam samochodem. — Zamykam małą walizeczkę.

— Nie mówię o tym, Elio — kręci głową. — Pytam, czy pamiętasz, jak leżałaś na sali intensywnej terapii? — Mruży oczy.

— O czym ty mówisz? — pytam ze zdziwieniem.

— Rok temu zakończyłem pewien projekt, pracowałem wtedy jeszcze dla mojego ojca.

— Rozumiem, ale jaki ma to związek? — zaintrygowana podnoszę wzrok na Edwarda.

— Mówiłem ci, że jestem genetykiem, pamiętasz?

— Tak.

— Daniel wykradł moje badania, a raczej z tego, co się mogę domyślić, celowo je finansował, aby mieć do nich pełen dostęp. Niestety nie wiedział, że pół roku później znalazłem w moich

wynikach wadę. Domyślałem się wcześniej, że czegoś tam jeszcze brakuje, ale potrzebowałem kilku badań, żeby się upewnić.

— Wtedy już dla niego nie pracowałeś? Dlaczego? — Siadam głębiej na sofie, podwijając stopy pod tyłek.

— Dowiedziałem się o jego zamiarach. Starłem się doprowadzić do mutacji genetycznej, by samica zwierzęcia mogła zawsze rodzić bliźnięta odpowiedniej płci, a co ważniejsze, wolne od wszelkich chorób. W ten sposób miała się odrodzić populacja zagrożonych gatunków.

— Coś czuję, że to nie wszystko.

— Kiedyś zapytał mnie, czy kobieta również mogłaby rodzić bliźnięta.

— Przecież może. — Uśmiecham się.

— Tak, ale to jest kwestia organizmu lub przypadku, jemu chodziło o celowy zabieg, wszczepienie czegoś przypominającego stymulator, który miał mieć za zadanie podział komórki jajowej. W ten sposób rodzą się bliźnięta wyglądające jak klony. Takie dzieci są po prostu identyczne, ponieważ mają ten sam materiał genetyczny. Myślałem, że udało mi się tego dokonać i częściowo miałem rację. Stąd moje pytanie, czy pamiętasz, jak trafiłaś do szpitala?

— Nie. Wydaje mi się, że nigdy tam nie byłam. Nic takiego nie pamiętam. — W głowie narasta mętlik.

— W wieczór, gdy dowiedziałem się, co jest grane, usłyszałem szepty, które doprowadziły mnie prosto do ciebie.

Patrzy na mnie swoimi dużymi oczyma, jakby sprawdzał, czy za nim nadążam. Nie mam pojęcia, do czego zmierza.

— Nie rozumiem — mówię cicho.

— Ja też, coś tu nie gra, dlatego pytam. Leżałaś na sali pośród pięciu innych kobiet. Trzy z nich były ciężarne. Pozostałe, w tym

oczywiście ty — nie. Strażnik robiący obchód pomyślał, że jestem Robertem, przekazał mi dysk i kopertę od ojca. Znalazłem tam wyniki badań i listę kobiet zakwalifikowanych do testów.

— Co niby miałabym tam robić?

— Byłaś jedną z pierwszych kobiet, której dali szczepionkę ze stymulatorem, Elio. Wtedy też dowiedziałem się o Karolu.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? — Spuszczam stopy na podłogę, siedzę sztywno, przerażona tym, co mi opowiada.

— Nic by to nie zmieniło. Nie chciałem cię bardziej denerwować. Tego wieczora poszedłem do ojca i to był już ostatni raz. Wróciłem po ciebie, ale już cię tam nie było. Na drugi dzień całe skrzydło było spalone.

— Historia kołem się toczy.

— Chyba chcieli zataić to, co robili. Henryk obiecał, że zawsze mi pomoże. Chcę, abyś po prostu była przygotowana na to, co możemy teraz zobaczyć.

— Stymulator... — Mój wzrok błądzi gdzieś pośród pokojowych mebli, szukając punktu zaczepienia. Odnajduję na ekranie tylko pasek postępu, który wskazuje już 93%. Program prawie ukończył swoje zadanie.

— Elio — zaczyna łagodnym tonem — przepraszam, nie wiedziałem, że to cię spotka.

— Wiem. Ja tylko nie potrafię pojąć, dlaczego dali go właśnie mi? To ze względu na Karola, mój wiek, czy tak po prostu, bo nie jestem im obca? Może to jakaś zemsta?

— Nie mam pojęcia. Teraz to nieistotne.

Za jego plecami komputer oznajmia krótkim, niskim dźwiękiem ukończenie zadania.

— Gotowa?

Uważnie patrzy na mnie.

— Nigdy nie będę gotowa.

Tyle informacji na raz, a za chwilę przytłoczy mnie jeszcze ich nadmiar. Nie wiem, czego się spodziewać. Czy dam radę? Choroba Karola to jeden problem, ale wydaje mi się, że cała sytuacja toczy się wokół innej sprawy. Tylko jakiej? I dlaczego, do cholery, przeprowadzali na mnie eksperyment? Czy jestem gotowa na to, co się teraz wydarzy? Zdecydowanie nie. Jak można być przygotowanym na kolejne bolesne wspomnienia? Łzy i tak popłyną bez względu na to, czy jestem świadoma, co ujrzę, czy nie.

Edward obraca się w stronę komputera.

— Otwórz plik — wydaję mu polecenie.

Na początek pojawia się hologram tak jak ostatnio.

— *Witaj Elio, wiem, że to szok. Przykro mi, że nie ma mnie obok was.* — Dopiero za drugim razem dopatruję się w jego smutnych oczach łez. Nie płyną, otaczają gałki, jakby czekały, aż czara się przeleje. — *Mam nadzieję, że dajecie sobie radę beze mnie. Nie mam zbyt wiele czasu* — obraz rozmazuje się w tym samym momencie co ostatnio, po czym wraca — *dlatego będę się streszczał.* — Jego ręka poprawia kamerę, zbliża do niej twarz. — *Elio, nie ufaj nikomu z korporacji Daniela Lloyda* — przerywa, głos załamuje się wbrew jego woli. Wzrok się zmienia w obojętne ślepie. — *Wszystko, co robi i do czego dąży, jest jedynie utopią, tak jak cały ten świat. Musisz poznać prawdę, w module znajduje się zabezpieczony plik.*

Znowu głośny trzask powoduje zniekształcenie obrazu.

Hologram znika, ale zostaje głos. Rozbrzmiewa dźwięk tępego uderzenia i upadającego o kafelki kawałka metalu. Jęk

i ciężki oddech sprawiają, że zamieram. To, co zobaczyłam, wzbudza we mnie tęsknotę, żal i złość.

— Potrafisz odzyskać obraz? — pytam, wycierając rękawem bawełnianej podkoszulki niesforeną łzę spływającą z policzka.

— Tak, już to zrobiłem. Musimy chwilę poczekać, ale mogą być jakieś braki w obrazie.

Nagle widmo ojca znowu się pojawia. Tym razem jego głowa leży bezwładnie na białym blacie biurka. Aż podskakuję na jego widok. Ciemna gęsta krew sączy się z jego potylicy i czoła. Z przerażeniem patrzymy na dalszy ciąg. Musiał dostać czymś ciężkim, cieniutka struga spływa po zamkniętej powiece. W oddali, w progu pomieszczenia, porusza się postać. Odwraca głowę w stronę leżącego mężczyzny, jakby chciała się upewnić, że już się nie poruszy.

— Daniel — szepczę. To on zabił mojego ojca!

W dłoni trzyma płonąca zapalną. Patrzy przez chwilę w żółtawy płomyk, jakby doskonale wiedział, że ten proces jest nieodwracalny. W jego oczach da się odczytać wahanie, które po chwili doskonale zwalcza. Diabeł zawładnął jego umysłem. Rzuca na podłogę drewniany kołek, ogień powoli trawi porozrzucane kartki papieru i sterty segregatorów.

Zastygam w bezruchu, powstrzymuję oddech. Nagle powieki ojca drgają.

— *Elia...* — cichy głos szepcze ostatnie słowo.

Hologram znika, zostawiając pustą przestrzeń pokoju.

— Nie wiedziałem, naprawdę nie miałem pojęcia. — Edward zakrywa usta dłonią, sam nie potrafi uwierzyć w to, co zobaczył. W jego oczach również daje się odczytać ogromny żal i ból. Ogromny ból, który jest w stanie przesyć serce.

Wpatruję się w Edwarda, nie rozumiejąc do końca, co właśnie pokazało mi urządzenie. Marszczę brwi i patrzę na niego pytająco. Może się mylę, ale coś mi mówi, że to nie koniec. Zwilżam językiem usta.

— On żyje? — pytam.

— Wiem, że to szok, ale... — Kładzie swoją dłoń na moim kolanie.

— On żyje! — dociera do mnie. — To on musiał podrzucić mi tę pamięć, minęło tyle lat, a on żył! Daniel myślał, że go zabił, ale był w błędzie! — Zatykam dłonią usta, aby stłumić swój histeryczny śmiech. Zrzucam jego rękę, wstaję i chodzę nerwowo w kółko po pokoju.

— Usiądź, proszę. — Wyciąga w moją stronę dłoń.

Nie chcę jej teraz, nie potrafię spokojnie siedzieć.

— On chciał zamordować mojego ojca. Tylko... Dlaczego? Musimy otworzyć te pliki, tam na pewno jest coś więcej. — Nerwowo wskazuję palcem na pamięć.

— Dobra, zobaczymy, co tu mamy. Kilka plików...

— Edward... — zaczynam powoli, delikatnie. Podchodzę i niespokojna siadam tuż obok.

Jego żyły na szyi napinają się, zaciska szczękę i wypuszcza powietrze.

— Dla ciebie to również ogromny szok. Pamiętaj, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Nie miej do siebie żalu. — Ręką odwracam jego twarz, aby spojrział na mnie. — Wiesz, że musimy to przejrzeć szybciej?

Zabieram ją z jego rąk i zaczynam szybko przeglądać plik po pliku, jakbym wiedziała, czego szukać. Pierwsze pięć z nich to filmy z naszych imprez rodzinnych. Święta, urodziny, mój pierwszy ząbek, awans ojca i wspólne wycieczki.

— Musi być tu coś jeszcze, cholera! — uderzam pięścią w blat.

— Pamięć jest dosyć stara, a w naszym wypadku mogła ulec uszkodzeniu. Nie potrafię odwrócić procesu. Wybacz, ale nie ma tu nic więcej. Wiem, że miałaś nadzieję... Stój! — krzyczy. — Zjedź niżej, na dole widzę plik, może się uda. Reszta raczej nie nadaje się do odczytu. Mogę w nim pogrzebać, chociaż wątpię, że cokolwiek zdołam. — Rozkłada bezradnie ręce i kręci głową.

— Nie ma sensu. Zobaczmy, co się tutaj znajduje. — Przelatuję palcami po szklanym ekranie i klepieniem w powłokę wywołuję otwarcie jedyne go sprawnego pliku. — Co to jest? — Pojawia się dziwaczna mapa, w życiu jeszcze takiej nie widziałam. Dzięki hologramowi można poruszać się w niej jak w rzeczywistym świecie. Oddalony obraz rozciągam na szerokość ramion. Im bardziej rozciągam, tym bardziej obraz się przybliża. Wydaje mi się, że wiem, gdzie to się znajduje. — Dobrze kojarzę, że to w okolicach starego mostu, ale tak jakby w dole?

— Pokaż, musisz rozciągnąć bardziej, złapiemy środek obrazu i trochę go obrócimy, zaraz powinien pokazać, co skrywa. Spójrz, miałaś rację. — Wskazuje palcem w dziurę między zieloną plamą drzew. — Popatrz, jesteście na ziemi, trawa i woda, a w oddali nasz most. Obracając obraz, zobaczymy, co jest naszym celem. — Wykonuje energiczne ruchy dłońmi.

— Czy to jest dom?

Hologram mapy ukazuje nam gęsty, zielony las. Pnie drzew są idealnie proste, rosną wysoko, nie dopuszczając zbyt dużej ilości promieni słońca. Z gąszczu wyłania się dobrze zamaskowany, drewniany dom. Musiał być zbudowany ze wszystkiego, co go otacza. Pewnie przesłabym obok niego,

nie zdając sobie sprawy, że jest tam jakakolwiek budowla. Niska, parterowa zabudowa ukryta w ogromnych liściach w kształcie łez. Wejście wygląda jak pęknięcie w grubej korze, wypełnione mchem. Okna, jeśli można je tak w ogóle nazwać, zrobiono w dachu.

— Myślisz, że go tam znajdziemy? — Patrzę na niego.

— Mam taką nadzieję.

NADZIEJA

Nadzieja to krucha cholera, bez której człowiek nie jest w stanie żyć. Nawet w najpodlejszej istocie pojawia się jej namiastka, owo światełko w tunelu.

Każdy z nas pragnie, by nasze oczekiwania się urzeczywistniły. Nikt nie lubi rozczarowań.

Dojście do celu nie jest łatwe. Nie wiemy, czy ktoś nas nie śledzi. Edwardowi nie podoba się pomysł z przyjazdem do tajemniczego domku. Z pewnością Robert nie da za wygraną i będzie chciał uszczęśliwić swojego ojca. Z tym że jego szczęście równa się mojemu nieszczęściu. W szczególności teraz, gdy jestem tak blisko. Osobiście nie mam nic do Karola, w końcu to tylko dziecko. Nie jest niczemu winny, nawet mi go żal. Chciałabym mu pomóc, ale nie swoim kosztem. Może uda nam się znaleźć inne rozwiązanie. Przecież musi istnieć ktoś, kto może być dawcą, a jeśli nie, przecież nie będę samolubna. Myśli o małym chłopcu dręczą mnie co jakiś czas, nie dając odsapnąć. Jego sytuacja jeszcze bardziej komplikuje moje życie, z którego niewiele już pozostało.

Połowę drogi przemierzamy samochodem. Drugą część niestety trzeba przejść pieszo. Tuż obok ruiny mostu, na którym o mało nie zginęliśmy, możemy zejść po nierównych kamieniach w dół rzeki.

— Tylko ostrożnie, podłoże jest grząskie i może osunąć się w każdej chwili — ostrzega Edward, wskazując na staczające się w dół głazy, które ledwie są parę metrów od nas. — Chodź za mną i patrz pod nogi.

— Najwyżej stłuczemy sobie tyłki.

— Raczej skręcimy kark.

Strome zbocze, jeszcze mokre po ostatniej ulewie, osuwa się pod ciężarem naszych stóp. Nie można zbyt szybko wleć, stawiam zdecydowane i miarowe kroki, nigdy dwa razy w to samo miejsce. Brak jakiegokolwiek płaskiego terenu zmusza nas do wejścia w koryto. Podążamy za biegiem huczącej rzeki poszerzonej od nadmiaru deszczu. Nawet ona wskazuje nam drogę.

— Jak długo będziemy szli w wodzie?

— Aż dojdziemy do celu.

— Bardzo trafna odpowiedź — przewracam oczami. — Dzięki — dodaję beznamiętnie.

Po półgodzinnym marszu odbijamy w gęsty las. Ogromne liście w kształcie łez nad naszymi głowami musiały zadziałać jak parasol ochronny. Ściółka nie wygląda na błotnistą, wręcz przeciwnie. Wygląda to, jakby drzewa nawadniane były przez zielone talerze na swojej koronie, dając dodatkowo cień przy pniu. Może chronią od promieni swoje korzenie, sprawiając, że otoczenie zamienia się w mikroklimat. Znając to miejsce z mapy, nie mamy problemu z dotarciem do domu. Porośnięta zielonym gąszczem bryła wygląda jak ogromna skała zamaskowana powykręcanyimi gałązkami. Trzeba się nieźle naszukać, by odnaleźć wejście do tego dziwaczного budynku.

Po dłuższej chwili odnajduję drzwi pokryte korą zdjętą z pnia masywnego drzewa. Popychane nie wydają dźwięku. Wnętrze

mieszkania jest bardzo przytulne. Drewnianą podłogę pokrywają płyty białych, futrzanych chodniczków o wysokim, gęstym włosiu. W ścianach zrobiono wnęki i włożono w nie naftowe lampy. Ciepłe, migoczące, nastrojowe światło uspokaja. Na ogół nie znoszę zapachu skóry ani surowego drewna, ale tutaj jest inaczej. Przez okna w dachu przebijają się promienie słoneczne, widać przez nie również pnące się korony drzew. Będąc tu, można scalić się z dziką przyrodą.

— Elia? — męski głos dochodzi z innego pomieszczenia. — Elia, to ty? — pyta mężczyzna wychodzący z sąsiedniego pokoju. W jego oku kręci się łza, ale powstrzymuje ją w ostatnim momencie. Siwe włosy opadają bezładnie na okulary, w nerwach stara się zaczesać je palcami na tył głowy, ale nadaremno, po chwili wracają na dawne miejsce. Wierzchnia strona dłoni jest ubrudzona niebieskawym płynem. Szybkim i sprawnym gestem, jakby robił to całe swoje życie, poprawia zsuwające oprawy okularów z nosa. Jego stopy są bose, a przydługie dżinsowe spodnie — lekko za szerokie w biodrach — podtrzymuje skórzany pasek. Koszulę w dziwaczne mazaje w odcieniach brązu i szarości ma wpuszczoną w spodnie. Musiał nad czymś pracować, zanim tutaj weszliśmy. Jak na osobę z takim bagażem życiowych doświadczeń wygląda bardzo dobrze.

— Myślałem, że nie znajdziesz... Przepraszam, nie znajdziecie tego miejsca. Witaj Edwardzie, cieszę się, że tutaj jesteś.

Mierzy go tym swoim ojcowskim, zatroskanym wzrokiem, który pamiętam z dzieciństwa. Patrzył tak na mnie za każdym razem, gdy skaleczyłam się lub upadłam. Prześwietla Edwarda jak rentgen, od stóp aż po sam czubek czupryny. Zapada niezręczna cisza, słychać tylko szum liści dochodzący z lasu.

— Pliki są puste. — Przerywam milczenie.

Ojciec robi krok w moją stronę.

— Elio... Elio, co wam się przytrafiło? — Na twarzy maluje się gorycz.

— Pliki są puste — powtarzam i odsuwam się.

— Zaczekaj. — Unosi roztrzęsioną dłoń.

— Nie działają. Jak mogłeś?! — podnoszę głos. — To byłeś ty! Codziennie mijaliśmy się na ulicy. Nic nie mówiłeś. Żyłeś, żyjesz — urywam. — Dlaczego nie kontaktowałeś się z nami? Wierzyliśmy, że zginąłeś! Dlaczego?

Nie wytrzymuję. Przecież musi istnieć racjonalne wytłumaczenie.

— Elio — zaczyna, głos załamuje się — to bardziej skomplikowane niż myślisz. — Stara się uspokoić.

— To wytłumacz! Mam sporo czasu! — krzyczę, chociaż nie chcę, ale emocje są silniejsze.

Jego oczy robią się smutne, teraz mam wyrzuty sumienia. Nie umiem opanować swoich uczuć, gdy zderzam się z rzeczywistością.

— Usiądźcie, proszę. — Wskazuje dwa taborety przy kuchennej wyspie. Myje ręce w zlewie, wyciera o ścierkę i opiera się o szafkę kuchenną. — Twoja matka wiedziała.

— Wiedziała? — Wstrzymuję oddech. Stoję zszokowana, wpatrując się w jego twarz.

— Tak było lepiej dla ciebie, dla nas wszystkich. Musisz zrozumieć, że to była skomplikowana osoba. Wiedzieliśmy, że i tak do tego dojdzie, ale na razie mogliśmy żyć bez strachu. Aż do niedawna. Musiałem się ukryć.

— I okłamywać swoje dziecko? Przecież miałam dopiero dziesięć lat, byłam dzieckiem do cholery! Dlaczego, powiedz

dlaczego?!

— Odkryłem zamiary Daniela, tego dnia klóciliśmy się o projekt DARWIN, nie miał prawa go zmieniać! — Jego twarz nagle się zmienia, ukazując swoje niedoskonałości. Piętno odcisnięte na jego życiu uwydatnia się w oczach.

Może jestem dla niego zbyt surowa, dopiero co go odzyskałam.

— Manipulowaliśmy ludzkimi genami.

— W jaki sposób? — pytam.

— Nasze zadanie polegało na zainicjowaniu podziału komórki jajowej w każdej ciąży u kobiety. Udało się nam stworzyć stymulator, który przenoszony był pod różną postacią za pomocą szczepionki. Mogła być nią szczepionka na grypę, różyczkę, żółtaczkę, to nie miało znaczenia. Kobiety nie wiedziały o naszych badaniach. Myślały, że to kontrolne szczepienie. Pierwsze testy Daniel przeprowadził na swojej żonie. Tak urodziłeś się ty, Edwardzie, i twój brat.

— Czyli znaliście się już wcześniej? — wtrąca Edward.

— Tak, to twój ojciec poznał mnie z matką Elii. Gdy wypracowaliśmy idealny stymulator, on zapragnął czegoś więcej.

— Więcej? — dopytuje Edward.

— Nie podobało mi się to, nie chciałem się na to zgodzić. To przeczyło ludzkiej naturze. Było okrutne. Zagroziłem, że ujawnię jego zamiary. Wtedy przyszedł do mnie w nocy do biura. Resztę tej opowieści znacie. Zaszyłem się tutaj i pilnowałem, by to się nie wymknęło poza laboratorium. Niestety ktoś rozpoznał mnie w delikatesach.

— Delikatesach? — pytam.

— Tak, zawsze miałem cię na oku, Elio. Jesteś moją ukochaną córeczką... — przerywa, a jego głos drży. — Mój znajomy poprosił Tinę, by w razie kontaktu z tobą upewniła się, że masz przesылkę.

Znowu nastaje niezręczna cisza. Edward uważnie wpatruje się w nasze twarze. Wiem, że nie zamierza się wtrącać w naszą dyskusję.

— Pozwoliłeś matce na romans z tym draniem!?! — Roztrzęsiona zakrywam dłonią usta. — Wybacz, Edwardzie.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co mówię. Patrzę na niego, zaciskając usta. Nie komentuje. Chociaż ma spokojny wyraz twarzy, mogę się tylko domyślić, że czuje ogromną złość gotującą się w żyłach. Nie na mnie, lecz na swojego ojca.

— To inna historia. — Spuszcza głowę i wpatruje się przez chwilę w drewnianą podłogę, drapiąc palcami blat kuchennej szafki. — Od zawsze chcieliśmy z matką dla ciebie innego życia niż nasze. Spokojnego i stabilnego życia.

Przełykam ślinę.

— Na czym tak bardzo zależało Danielowi? — pytam, odtrącając myśli o śmierci mamy.

— Na to pytanie może odpowiedzieć ci Edward.

Kieruję wzrok na Edwarda, nie wiedząc, czemu on ma to wytłumaczyć.

— Nie wiedziałem, że to pan pracował nad DARWINEM — mówi swobodnie, bez emocji. — Dano mi do sprawdzenia wyniki. Sam stymulator był idealny. Niestety po czasie znalazłem kilka błędów, usunąłem je, ale...

— Nie miałeś pojęcia, jaki będzie skutek.

— Nie — odpowiada krótko. Poprawia skrzyżowane na piersiach ręce, bębniąc co chwilę palcami o ramię.

— Nikt nie wiedział — zaczyna ojciec. — Organizm ludzki jest skomplikowany, badamy go z każdej strony już kilka wieków, a nadal jesteśmy na początku tej drogi.

— Wyjaśni mi ktoś? Edward? — wtrącam się w ich dyskusję, rozkładając ręce, bo nic nie rozumiem.

— Daniela o władnęła jakaś dziwna żądza władzy — kontynuuje ojciec. — Chciał stworzyć. Był przekonany, że jeśli udało się stworzyć stymulator, to można pójść dalej i kształtować charakter danej jednostki.

— A po ludzku? — naciskam.

— Chciał stworzyć człowieka, ludzi o określonym charakterze. Klony, identyczne klony... Chciał mieć wpływ nie tylko na ich wygląd, ale i na osobowość, a nawet mieć władzę nad ich umysłem. Po prostu produkt idealny — mówi Edward.

— Ale po co? — pytam.

— Tego nie wiem, może uważa się za stwórcę? — wzrusza ramionami Edward.

— Świetnie, jeszcze Boga nam do tego potrzeba — wywracam oczami.

— To nie wszystko — dodaje Edward.

— Chyba muszę się czegoś napić — stwierdzam oschle.

— Wykradając moje badania, nie wiedział, że są niekompletne. Nie jestem idiotą, nie zostawiłbym całego raportu w biurze. W stymulatorze brakuje kawałka ciągu informacji.

— I tu tkwi cały problem — dodaje ojciec, strzelając palcami. — Gdybym nie podpalił tamtego skrzydła laboratorium, może nie doszłoby do tego. — Pieczołowicie przeciera czoło zewnętrzną stroną drżącą dłoni.

Patrzę na ich twarze na zmianę, nie wiedząc, o czym mowa.

— Mogłem się domyślić. Chciał pan ocalić córkę. W sumie było mi to na rękę. Nie miałem zamiaru tam wracać. Gdyby nie pan, nie wiadomo co byłoby dalej. Nie byłoby nas tu, gdzie teraz jesteśmy. A teraz ktoś musi to powstrzymać. Znając mojego brata, z chęcią będzie chciał wygryźć ojca, dlatego tak gorliwie z nim współpracuje. Jego protekcja umożliwi przejęcie władzy Robertowi.

— Chwila, chwila, czy ja dobrze rozumiem, że mam w swoim ciele uszkodzony stymulator? — Podnoszę rękę na znak pytania. Obecni w kuchni chyba zapominają o tym szczególe, który teraz nie da mi spokojnie spać. — To, że mi go wszczepiono to jedno. Zdażyłam się z tym oswoić na swój sposób. Ale uszkodzony? Da się usunąć to coś?

— Pracuję nad tym, ale... — wzdycha głęboko ojciec.

— Ale? — przerywam ojcu. — To za mało w obecnej sytuacji!

— Jak do tej pory nie potrafię znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Może jestem już za stary, do tego potrzeba młodego umysłu. — Ojciec kieruje wymowny wzrok na Edwarda.

— Niestety, ja również nie potrafię tego usunąć.

— Jezu, Ed, jesteś genetykiem do cholery! — krzyczę podenerwowana, policzki płoną od złości.

— Spokojnie Elia. Myślę, że mam inne rozwiązanie. Niezbędny jednak będzie dostęp do laboratorium. — Opiera się o ścianę obok wnęki na lampkę, krzyżując ramiona, jedną stopę kładzie na stojący obok drewniany puf. Małeńkie falujące światelko płomienia pada na jego poważną twarz. Jest spokojny, pewny siebie.

Cieszy mnie ten widok, inaczej bym zwariowała.

— Nie martw się o to — zaczyna ojciec. — Mam wszystko, czego potrzebujesz. Mój pokój jest w pełni wyposażony.

Zdradzisz swój plan?

— Najpierw muszę się upewnić.

— Odnoszę wrażenie, że nie mówicie mi wszystkiego. Jakie szkody, jeśli mogę to tak ująć, powoduje ten stymulator? — naciskam.

Zapada cisza, a ja czuję, że zaraz trafi mnie szlag, jeśli nie usłyszę odpowiedzi.

— Przeciwiństwo — rzuca w moją stronę Edward.

Ojciec potwierdza jego słowa skinieniem głowy.

— Nie rozumiem.

— Rodzeństwo, bliźnięta będą totalnym przeciwiństwem. Dobro i zło, jin i jang — wyjaśnia Edward.

— Dobra, teraz rozumiem, i to jest takie straszne?

— Tak, jeżeli jeden kocha życie, to drugi będzie je nienawidził i je odbierał. Jeden cię pokocha, drugi wbije sztylet w plecy.

— Mówiłeś, że usunąłeś błędy. I ty mi mówisz, że mam być spokojna?

— Usunąłem je, ale dotyczyły czegoś innego — wzdycha. — Mutacji genu pod względem chorób. Na samym początku sprawdzałem dane, jakie mi powierzono, gdy znalazłem błędy w samym stymulatorze jako nośniku danych — naprawiłem go. Następnie doprowadziłem do tego, by nośnik nie tyle prowadził do ciąży mnogiej, ile powodował, aby przyszłe dzieci były wolne od wszelkich chorób.

— Ale mówiłeś, że chodziło o uratowanie zagrożonych gatunków zwierząt.

— Owszem, testowałem to na zwierzętach. Nie miałem pojęcia, że ojciec mówił serio i wykorzysta go do innych celów. — Opuszcza głowę i przeciera gorączkowo czoło zewnętrzną stroną

dłoni. — Niestety, jeśli wszczepisz do organizmu stymulator z niepełnymi informacjami, spowoduje on przeciwieństwo.

Przełykam głośno ślinę, zwilżając wysuszone ze strachu gardło.

— Podsumowując, wszczepiono mi stymulator, który naprawiłeś pod względem chorób. Czyli moje dzieci nie będą chorowały tak?

— Tak.

— Ale wersja, jaką mi wszczepiono, była niekompletna. Robert się nie zorientował? Dlatego dzieci mogą mieć przeciwne charaktery? Czegoś tutaj nie rozumiem.

— Czego? — marszczy brwi.

— Mówiłeś mi, że znalazłeś w swoich wynikach wadę. Jaką wadę miałeś na myśli?

— Stymulatora nie da się usunąć.

Czuję się jakbym dostała obuchem w twarz, przechodzące dreszcze skupiają się wokół brzucha, powodując ściskanie w dołku.

— Żartujesz, prawda? Powiedz, że żartujesz.

— Przykro mi, Elio.

Czuję zawroty głowy. Siadam na taborecie. Oddycham głęboko, zbierając myśli do kupy.

— Dobra, wystarczy. Obyś miał rację i znalazł sposób na odwrócenie procesu, inaczej sama wbiję wam sztylet!

— Znam sposób, muszę się tylko upewnić.

Edward rusza za ojcem do sąsiedniego pokoju. Idę za nimi.

— Tam jest wejście do piwnicy. — Wskazuje na otwartą pokrywę prowadzącą w dół.

— Jeszcze jedno... — zatrzymuję ich w progu.

— Tak? — odzywa się Edward.

— Czy wy... — zapowietrzam się, nie wiedząc, jak zapytać. — Czy ty i Robert jesteście takim przeciwieństwem?

— Nie, to nie tak — mówi ojciec. — Na początku chodziło o leczenie bezpłodności.

— To znaczy?

— Mama Edwarda miała kłopoty z zajściem w ciążę. Edward i Robert są wynikiem sztucznego zapłodnienia — wyjaśnia ojciec.

— Przepraszam Edwardzie, myślałam... — urywam, spuszczaając wzrok i wlepiając go w podłogę. Nie chciałam go zranić.

— Wiem, nie mam ci za złe, że chcesz się upewnić, ale jak zauważyłaś, nie trzeba błędu w genetyce, aby natura zrobiła to sama.

— Trzeba będzie odszukać kobiety, które dostały ten sam typ szczepionki. Inaczej będą miały dzieci z piekła rodem.

— Elio, wiesz, że musimy porozmawiać? — wtrąca ojciec.

— Wiem. Nie teraz, lepiej będzie, jak szybko znajdziemy rozwiązanie, a czułości odłożymy na później.

Pracownia ojca znajduje się w piwnicy. Ogromny pokój o powierzchni całego piętra, wyposażony w najlepszy możliwy sprzęt. Niejeden naukowiec mógłby mu pozazdrościć. Komputery, mikroskopy, wirówki do surowicy, probówki, pipety. Wszystko starannie ułożone, każda rzecz ma tutaj swoje określone miejsce. Nie widzę tu zamykanych szaf czy schowków. Otwarte regały wypełnione po brzegi przyrządami laboratoryjnymi. Z sufitu, pośrodku pokoju, wypuszczono czworoboczny panel. Na każdej ze ścianek zamontowano osobny ekran, na którym wyświetla się inny widok tego, co na zewnątrz. Odrobina bezpieczeństwa chyba jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Lepsze to niż wstawanie co pięć minut w nocy z powodu łamiącej

patyki sarny lub innych stworzeń. Gdybym musiała siedzieć sama pod ziemią, pewnie zrobiłabym to samo. Chociażby dla samej scenerii. Widok natury uspokaja duszę, człowiek wtedy mniej świruje.

— Komputery są połączone w jedną sieć. Każdy test możesz wykonać osobno, a centralny komputer przeanalizuje całość. W razie awarii jednego reszta pozostaje nietknięta.

— Super. Myślę, że to ułatwi nam sprawę. Ma pan pierwowzór kodu? — pyta Edward.

— Nawet lepiej, mam kopię twojej wersji.

— Nie pytam skąd... Ale to doskonale. Oznacza to, że połowa drogi za nami.

Kiedy widzę, jak cieszy się z tego powodu, ja również jestem spokojniejsza.

— Zaoszczędzimy sporo czasu. W takim razie myślę, że może się to udać.

— Zdradzisz swój pomysł? — pytam z ciekawości, przerywając ich fascynację zabawkami.

Podchodzi, delikatnie kładzie swoje ciepłe dłonie na moje ramiona, przytrzymując, patrzy w oczy.

— Niestety usunąć stymulatora się nie da, jest on teraz częścią twojego genu, ciała. Rozumiesz?

Potwierdzam niepewnie skinieniem głowy.

— Wytlumaczę inaczej. Nic na siłę. Jesteś dobra z IT. Jeżeli nie da się go usunąć ani zniszczyć, jedynym wyjściem jest go zaktualizować.

— Czyli uzupełnimy informację?

— Dokładnie tak, a przynajmniej mam taką nadzieję.

— To już coś — stwierdzam dumnie z lekkim uśmiechem.

— Jeszcze się nie ciesz, to nie jest system binarny, tylko ludzki organizm. To jak z przeszczepem nerki. Pasuje, ale organizm biorcy może odrzucić przeszczep z różnych przyczyn.

— Zdaję sobie z tego sprawę — wzdycham. — Chyba potrzebujecie spokoju, zaparzę kawę.

— Dzięki — rzuca Edward.

W MATNI

Świadomość nie ułatwia.

Nie mogę dłużej wytrzymać w tych ścianach. Zapach drewna zaczyna drażnić moje zmysły. Głowa zaczyna pękać od małej ilości światła.

— To w piwnicy może mieć ostre, białe światło jak w kostnicy, ale w salonie już nie potrafi nawet porządnej lampy zawiesić? — pytam sama siebie, dobrze wiedząc, że nikogo koło mnie nie ma.

Tylek zaczyna mnie poboлеwać od długiego siedzenia na kanapie. Nie potrafię zmrużyć oka. Całą dobę ślęcę nad dziwacznymi książkami ojca o anatomii człowieka. Na widok zdjęć rozchlastanych zwłok zbiera mi się na wymioty. Wiercę się na niewygodnym siedzisku, muszę wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza. Odkładam książki na swoje miejsce. Przeglądam grzbiety opraw, szukając ciekawszej i mniej drastycznej lektury. Niestety, regały wypełniają naukowe pozycje. Widać nie było mi dane odziedziczyć zmysłu naukowca po rodzicach.

Przy wyjściu mijam kamery i podążam wzdłuż wąskiej ścieżki prowadzącej w głąb gęstego lasu. Liście są gładkie w dotyku jak aksamit. Nowo wyrosnięte mają niesamowity, soczysty, zielonkawy kolor. Ziemia wyschła już po ostatniej ulewie. Ściółka wydaje charakterystyczną woń, która urzeka od pierwszego wdechu. Ten zapach jest oznaką budzenia się do życia. Dzikie zwierzęta bacznie mnie obserwują. Po paru minutach

przyzwyczajają się do mojej obecności. Zdają sobie chyba sprawę, że nie jestem drapieżnikiem i nie muszą przede mną uciekać. Po chwili wracają do swoich przyzwyczajzeń, co jakiś czas na mnie spoglądając.

— Pięknie tu — wzdycham.

Cisza i spokój na ułamek sekundy przepelniają mój umysł. Rozpościeram ręce i łąpczywie wdycham powietrze. Zamykam oczy, by mocniej poczuć młody las i usłyszeć, jak mówi. Uważam, że gdy człowiek skupi się na lesie, ten zacznie do niego przemawiać. Nie zauważam od razu, że znacznie oddaliłam się od chaty. Nigdy wcześniej nie chodziłam sama po lesie, mimo że miałam go na wyciągnięcie ręki. Tam, gdzie mieszkam, jest sporo wody, ale za jeziorem znajduje się gęsty las. Wiem, co trzeba zrobić, gdy człowiek nagle się zgubi, ale co innego teoria, a co innego faktyczne zagubienie się. Ten las jednak zdaje się inny. Nie potrafię rozpoznać, gdzie jest północ. Mech rosnący na korze drzew różni się od przedstawianych nam w szkole obrazków. Pnie w całości, aż na wysokość ponad dwóch metrów, pokrywa roślina przypominająca grubą gąbkę. Z ciekawości zanurzam palec w obrośniętym drzewie. Wskazujący palec „wpada” na całej długości. Zielona pierzyna zachęca do przytulenia się do niej, przyjemny dotyk sprawia, że się zatracam. Liście drzew szumią nade mną, a ja tak bardzo wsiąkłam w naturę, że nie zwracam uwagi na to, jak długo tutaj jestem. Może minutę albo godzinę, nieważne, to wspaniałe uczucie wdziera się w mój umysł, kojąc go.

Nad głową słyszę skrzek jakiegoś ptaka. Nie widzę go, musi siedzieć bardzo wysoko w koronie drzew. Znowu ten skrzek, tym razem bliżej. Kolejny raz, jakby to były dwa ptaki. Milkną. Nie widzę ich.

Nagle przerażone zwierzęta zaczynają uciekać w popłochu, wpadają jedno na drugie i taranują się nawzajem. Niespokojnie szukam powodu ich gwałtownego zachowania. Szelest liści zbija mnie z tropu. Siedzę pośrodku lasu, coś w oddali czyha na mnie, a ja nie wiem, jak się odnaleźć w tej gęstwinie. Nie zapytałam ojca, jakie zwierzęta tutaj grasują. Może drapieżniki?

— Co mówili o drapieżnikach? Nie uciekać czy uciekać slalomem? A może wspinać się na drzewo? Cholera, cholera! — Biję się w pierś za swoją głupotę.

Powoli odsuwam się od pnia i rozglądam. Staram się wracać po śladach, jakie zostawiłam. Odciski butów wskazują drogę. Co chwilę w oddali słyszę łamiące się patyki, doprowadzające mnie do szaleństwa.

— Może to tylko sarna, zachowaj spokój — mówię do siebie szeptem, mając nadzieję, że to tylko zagubione lub zdezorientowane zwierzę. Na drzewo nie wejść, ich kora jest gładka i nie ma o co się zaczepić nogami, a gałęzie są zbyt wysoko. — Uspokój się — szepczę, zaciskając zęby.

Napastnik raczej uważałby na to, gdzie stawia nogi. Przynajmniej tak przypuszczam. Strach powoli mnie opanowuje. Serce wyrywa się z klatki piersiowej. Gdy odnajduję drugą parę śladów, jestem diabelsko przerażona.

— Cholera — warczę.

To moja wina. Na samą myśl, że ktoś na mnie czyha, napinam mięśnie. Sporej wielkości ślad trapera oznacza mężczyznę. W mgnieniu oka zalewa mnie zimny pot, zwilżam suche usta. Wycieram wilgotne dłonie o spodnie i wzrokiem przeczesuję teren. Trzepot skrzydeł wystraszonych ptaków przeraża mnie na śmierć, włoski jeżą mi się na karku. One wiedzą, co się dzieje.

Upadam bezwładnie na bok, powieka lewego oka drży. Widzę buty przed moim nosem, oblepione błotem ze sporym traperem, czarne z tłoczonym logo na boku, sznurowane wysoko ponad kostkę. Bolesne uderzenie w głowę tępym narzędziem powoduje utratę przytomności.

OBDARTA Z GODNOŚCI

W pułapce strachu, sytuacji bez wyboru, nieświadomości, jesteśmy zdolni zrobić to, co nam każą.

Skroń pulsuje od ciosu, okropny ból w czaszce nie pozwala być nieprzytomną. Nie wiem, czy straciłam wzrok, czy to po prostu szmata narzucona na głowę i przepasane ciasno oczy. Oblizuję językiem suche, spękane wargi, nie pomaga to za wiele. Gardło dosłownie wyschło na wiór. Mam związane z tyłu ręce i nogi. Leżę bezwładnie na podłodze jadącego samochodu. Wrzucono mnie tu jak świnie wiezioną na rzeź. Na pakę. Obijając się o blachę, na biodrze i ramieniu czuję każdą nierówność drogi. Poza wyciem silnika słyszę szmer tuż obok moich uszu. Wyczuwam benzynę, metal pod moim nosem i intensywny zapach laboratoryjnych odczynników.

— Jest tu ktoś? — pytam, ale moje słowa brzmią jak rzeźnienie. Mówienie sprawia mi ból. Ciągłe oblizuję wysuszone usta. Musimy jechać już dosyć długo, wyschnięte gardło zaczyna coraz bardziej doskwierać. — Wody, proszę... — wykrztuszam ledwo.

— Elia? — słyszę znajomy głos, który mnie uspokaja.

— Edward? — Unoszę głowę, jego głos dochodzi z za moich pleców.

— Zamknąć się! — warczy tym razem obcy, męski głos.

Mężczyzna zdejmuje worek z mojej głowy, pozostawiając tylko opaskę na oczach. Do ust dociera świeże powietrze. Chwyta

stanowczo za ramiona i sadza w fotelu.

„A jednak nie wrzucili mnie jak świnie” — myślę. Siedzenie w tej pozycji sprawia, że rozrywa mi czaszkę, pulsująca krew przeszywa mnie jak miliony małych igiełek wbijanych w mózg. Serce wali jak młot, adrenalina uderza do krwi. Jeszcze nie zdążyłam dojść do siebie po ostatniej akcji, a znowu mnie złapali. Nie wiem, co będzie dalej, ale mam przeczucie, że koniec jest już bliski.

Ciągle mam na oczach opaskę, nic nie widzę. Mężczyzna chwyta lodowatą, szorstką dłońią mój podbródek, ściska, zadzierając do góry i przykłada mi butelkę do ust. Spragniona biorę łapczywie parę ogromnych łyków. Woda leje się po karku i spływa po piersi. Strażnik śmieje się na ten widok, ale nie zwracam na to uwagi i piję dalej. Czyli jednak musieli nas śledzić. Jeżeli Edward jest tutaj, to co zrobili z ojcem?

— Tato? — próbuję ochrypłym głosem sprawdzić, czy tu jest, ale nadaremnie.

— Zamknij paszczę albo tym razem twoja głowa pęknie! Koniec zabawy! — wrzeszczy.

Nie brzmi to dobrze. Milczę, muszę wziąć się w garść, nic więcej mi nie pozostało. Kołysanie samochodu i zmęczenie sprawiają, że usypiam w fotelu. Jestem jak zwierzyzna złapana na polowaniu i barbarzyńsko związana. Tylko jakie trofeum zrobią z tej zdobyczy?

Ze snu wybudza mnie brutalne uderzenie buta lądującego na mojej obolałej łydce. Stękam z bólu.

— Wstawaj, idziemy! — krzyczy mi tuż przy uchu.

Przecina więzy na kostkach. Czuję ogromną ulgę, ale nie na długo. Mężczyzna zaczyna ciągnąć moje obolałe ciało.

Jego łapska zaciskają się na moim ramieniu. Nie nadążam za jego szybkimi krokami. Co parę metrów przyciąga mnie do siebie gwałtownym szarpnięciem. Nagle zahaczam o coś czubkiem mojego trampka jakby o wysoki próg. Upadam na kolana. Moje rzepki wydają dziwny trzask. Boli jak diabli. Przechodzę gehennę. Napastnik nie zwraca uwagi na to, że dalej nie zdołam iść. Przeszywają mnie ciarki.

— Zaczekaj... Już nie umiem — błagam, by się zatrzymał. Nie potrafię wstać.

Mężczyzna nie reaguje na moje prośby, znowu szarpie mnie za ramię, prawie wyrывая je ze stawu. Wlecze parę metrów po chłodnej podłodze. Nie mam już siły, poddaję się. Rozluźniam ciało.

— Włazić! — prycha. — Macie jedzenie i wodę, wrócimy za parę dni. Nie kombinujcie — ostrzega. — Mogę was zapewnić, że stąd nie ma ucieczki!

Puszcza gwałtownie moje ramię. Upadam bokiem na podłogę. Napastnik chwytając za przeguby, przecina więzy na rękach i wychodzi. Słyszę zgrzyt zamka. Czuję ogromną ulgę w poranionych nadgarstkach. Oddycham powoli, płytko.

— Edward?! — Szloch nie pozwala na wypowiedzenie nawet jednego słowa.

— Jestem, poczekaj, pomogę ci.

Jego głos mnie uspokaja, przynajmniej wiem, że jest cały. Czuję dotyk na twarzy.

— To moja wina.

— Cii... Nic nie mów, musieli ci nieźle przyłożyć.

Zdejmuje ostrożnie opaskę z moich oczu, powoli odsuwa przywarty materiał od skroni i brwi. Zmęczone oczy parę minut przyzwyczajają się do światła. Edward nie wygląda dobrze.

Zaschnięty strup krwi z tyłu głowy jednoznacznie wskazuje na mocny cios napastnika. Nie widzę za dobrze. Rozdzierający ból tuż za gałkami ocznymi powoduje łzawienie. Dotykam opuszkami jego rozciętej wargi, zaciskam oczy, łzy płyną po ciepłym policzku. Wpadam w jego ramiona i lgnę mocno do niego.

— Co z ojcem? — pełna obaw pytam ochryplym ze zmęczenia głosem.

— Zabrali go inną ciężarówką. Nie martw się, jest dla nich zbyt cenny, aby mogli mu zrobić krzywdę — zapewnia.

— Pewnie masz rację. — Oddycham głęboko.

— Chodź, pomogę ci wstać. — Podaje rękę. — Musisz usiąść na łóżku. Postaram się oczyścić ranę.

Siadam na brzegu, mrugając szybko powiekami. Czy ten rozmazany obraz ustąpi?

— Ależ byłam głupia. To przeze mnie, nie powinnam opuszczać chaty. Nie mogłam już tam dłużej wytrzymać. Siedzieliście na dole, a mi tak bardzo się nudziło, szlag mnie już trafiał. Aua, to bolało!

— Wybacz. To nie twoja wina, i tak pewnie by do tego doszło.

— Że też nie mogłam usiedzieć na tyłku.

— Musieli śledzić nas od dłuższego czasu, zapewne wcale nie przestali po tym incydencie w twoim mieszkaniu.

— Bardzo możliwe, aua! Delikatniej! — Zaschnięta krew i pozlepiane włosy dają złudzenie, jakby to było coś poważnego, ale oczyszczona rana nie wygląda już tak źle. Widocznie trafili na miejsce ze sporą ilością żyłek. — Tylko po co nas ścigają? Skoro nie wiedzą o błędzie stymulatora, to może chodzi o tę cholerną nerkę?

— Może tak. Ty mi powiedz.

— Nie rozumiem. — Podnoszę na niego wzrok.

— Może masz coś jeszcze? Coś, co od ciebie chcieli.

— Tylko pamięć ojca, ale ją już mieli i chyba niezbyt ich interesowała. Zresztą dane były dostępne dopiero po odszyfrowaniu próbki mojej krwi — urywam, w myślach szukam innej odpowiedzi. — Stymulator nie był nigdzie zapisany, dopiero co go naprawiałeś.

— Odpocznijmy — proponuje troskliwie. — Za dużo wrażeń jak na jeden dzień.

— Jak możesz być tak spokojny? — burzę się.

— Wściekłość na nic się zda w naszej sytuacji.

— Masz rację, chciałabym mieć twój dar opanowania.

Widzę, jak się uśmiecha, badając wzrokiem pomieszczenie.

— Miło mi to słyszeć.

— Gdzie my w ogóle jesteśmy? Na więzienie to nie wygląda, ale na hotel tym bardziej.

Ogromny pokój bez okien, ściany gołe bez farby, tylko surowiec budowlany, jakby ogromne płyty betonowe. Przy ścianie umiejscowiono dwuosobowe łóżko z ozdobnym zagłówkiem z mosiężnych rurek w kształcie zawijasów. Zdecydowanie nie wygląda to na celę. Zauważam drzwi, moja ciekawość wygrywa z bólem. Muszę wstać i zobaczyć, czy są otwarte. Popycham drewniane skrzydło. Stare zawiasy skrzypią.

— Łazienka? — pytam ze zdziwieniem. — Co to za miejsce?

— Widocznie nie mają zamiaru nas zabić. Wygląda mi to na jakieś podziemie. Jakby piwnica przerobiona na pokój.

— I łóżko w kobiecym guście?

— Jak już tam jesteś, to zaczekaj, umyjemy porządnie te rany. Przystaje za moimi plecami.

— Coś tu nie gra — stwierdzam, kręcąc głową.

— Co masz na myśli? — podchodzi do umywalki i odkręca wodę.

— Sama nie wiem — wzruszam ramionami.

Zwilża niewielki ręcznik zabrany z umywalki. Powoli zmywa z mojej skóry zaschniętą krew, a z kostek przyschniętą ziemię. Zimny okład jest ulgą dla potłuczonych kolan. Cud, że rzepki nie pękły pod naciskiem ciała. Coś ciągle nie daje mi spokoju.

— Gotowe — uśmiecha się.

Kładę mu dłoń na ramieniu.

— Jak dobrze znasz własnego ojca?

— Myślę, że dobrze, chociaż teraz... Dlaczego pytasz?

— Nie wiem — wzdycham głęboko.

— Mylisz, że... Nie, raczej nie, jego dom nie jest podpiwniczony.

— A może jednak? Już mnie nic nie zdziwi.

— Mogę ci zagwarantować: jego dom zbudowano na skale, więc jest to niemożliwe — zapewnia.

Nie jestem do końca pewna, czy wolałabym, by był to dom Daniela czy coś innego.

— Nie lubię, nie cierpię miejsc bez okien. Doprowadzają mnie do szału.

Wracam na łóżko, siadam i opieram łokcie o kolana, w dłoniach skrywając twarz. W chwilach bezradności zawsze ukrywam się za zasłonę swoich palców, aby opanować emocje targające moim umysłem i ciałem. Staram się nie wpaść w panikę — uspokoić napływ czarnych myśli.

— Postaraj się zasnąć, to nam dobrze robi. Będę cały czas przy tobie. — Patrzy na mnie, wyciąga dłoń i gładzi moje włosy.

— Nie widzę za dobrze, jedno oko rozmazuje obraz. Nie chciałam wcześniej nic mówić, by nie wyjść na mięczaka.

Mama zawsze mnie uczyła, bym nie okazywała swojej słabości w obecności innych osób, nawet tych najbliższych. Twierdziła, że słabość jest skazą, która pod naciskiem może przerodzić się w sporej wielkości pęknięcie i doprowadzić do upadku człowieka. Nie chciała mnie nastraszyć, raczej przygotować na to, jak człowiek może być okrutny wobec innej osoby.

— To przez to uderzenie w skroń, ale minie. Zaopiekuję się tobą. Obiecuję — zapewnia.

Kładę głowę na poduszkę i podkurczam kolana jak najbliżej piersi — jak dziecko w łonie matki. Zamykam oczy.

Nie spodziewałam się, że zdołam usnąć w takim miejscu. Nie wiem, jak długo spaliśmy, ale budzę się z większą ilością siły. Przewracam się z pleców na bok, tuż przy torsie Edwarda, podpieram głowę ręką i wpatruję się w niego. Palcami u stóp delikatnie muskam jego łydkę. Śpiąca twarz Edwarda wygląda tak niewinnie. Jego duże usta są bardzo ponętne, kuszą do pocałunku. Oddycha spokojnie, miarowo. Lekki tik policzka zdradza, że udaje. Jego pulsująca żyła na szyi uspokaja mnie. Koszulka splamiona krwią i lekko naderwana na rękawie nadaje się do kosza.

— Gapisz się, czuję to — szepcze.

— Wcale nie! — bronię się, śmiejąc pod nosem.

— Kłamczuch. — Uśmiecha się lekko, oczy ma nadal zamknięte.

Podnoszę się z materaca i wstaję na równe nogi. Zaciśnięty żołądek niemiłosiernie domaga się pożywienia. Ciekawa jestem,

jakie śmieci dali nam do jedzenia. Otwieram jedyną postawioną obok łóżka szafkę znajdującą się w tym miejscu. Na półkach ustawiono kilka butelek soku pomarańczowego i wody. Z tyłu wygrzebuję batoniki energetyczne i gotowe dania na zimno. Kiszki skręcają się jeszcze mocniej.

„Dobre i to” — myślę.

Zjadam karmelowego batonika. Już dawno nie jadłam słodczy, brakowało mi smaku czekolady w ustach. Po pierwszym kęsie prawie zwracam to, co przełknęłam. Żołądek musi się zaadaptować. Odkładam nadgryziony batonik do szafki i wyjmuję jedno z pudełek. Skubię coś, co przypomina lazanie. Pierwszy kęs wydaje się, o dziwo, całkiem dobry. Moje ślinianki automatycznie reagują, pochłaniam potrawę w całości, nie bacząc na ubrudzone palce. Popijam łąpczywie butelkowaną wodą.

— Woda życia — mówię, odsuwając od ust napój. Przecieram dłonią wilgotne usta.

A co jeżeli zatruli jedzenie lub wodę? Wącham zawartość butelki, wydaje się normalna. Jej smak również nie odbiega od normy. Jeśli chcieliby nas zabić, to pewnie zrobiliby to wcześniej. Wzruszam ramionami, zakręcam butelkę i kładę na górę szafki. Patrzą na Edwarda, czy przypadkiem nie widzi tej żalosnej sceny rozczulania się nad butelką. Na szczęście śpi twardo w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam. Idę do łazienki, aby się ogarnąć. Moje ubrania przypominają teraz łachy bezdomnego, podarte i ubrudzone, przesiąknięte krwią i potem. Zastygła krew nie chce zejść z bluzki. Z uporem szoruję ciemną plamę. Doskonale wiem, że rękaw i tak jest już w znacznym stopniu podarty, ale muszę czymś zająć niespokojne dłonie, żeby nie zwariować. W pękniętym owalnym

lustrze brakuje połamanych kawałków zwierciadła. Podchodzę, by się w nim przejrzeć. Postać, którą w nim widzę, różni się od tej, jaka była kilka miesięcy temu. Włosy potargane, sterczące w różne strony i posklejane przy strupie na głowie. Posiniaczona skroń przybrała zielonkawe odcienie, a skóra pod oczami ziemisty kolor. Jedynie usta już nie wyglądają na suche. Zdejmuję koszulkę i wodą obmywam brudną skórę na ramieniu, odświeżam zapach, aby nie chować się w łóżku pod pledem przy Edwardzie. Wypłukuję usta. Upinam włosy w kucyk gumką, którą zostawiłam na nadgarstku.

Edward leży jeszcze na łóżku.

— Jak na więźniów nie traktują nas tutaj źle — mówię do niego głośnym tonem, by go rozbudzić. Wierci się niespokojnie, ale nie daję za wygraną. Nie potrafię gadać sama ze ścianą. — Polecam lazanie. — Aż dziw, śmieciowe jedzenie, a takie dobre. Chyba że to przez ten głód, który mi doskwierał.

Siadam z powrotem na krańcu łóżka. Materac wydaje cichy dźwięk skrzypiących sprężyn uginających się pod moim ciężarem. Zabieram z szafki wodę, odkręcam korek.

Czuję ciepło jego dłoni wędrującej po moich włosach tuż przy uchu. Delikatnie gładzi moją skórę na szyi. Opuszki palców wędrują w górę i w dół, wprowadzając mnie w błogi stan jak mantra. Uspokaja mnie, zamykam oczy. Może właśnie tego mi teraz trzeba. Cieleśnego odprężenia i zatracenia w miłosnym uścisku, tak by całe skumulowane napięcie uszło. Przynajmniej na chwilę zapomnę, gdzie jesteśmy. Zapomnę o wszystkim, co powraca w snach. O bólu i tęsknocie, zaciskających się łapach na moim karku i mojej śmierci. Tak przynajmniej mi się wydaje, jedynie w ten sposób mogę to opisać.

Umarłam i powróciłam. Nie wiem, czego mam się spodziewać.

Wtedy sobie przypominam.

— Druga pamięć! — krzyczę i odwracam się do niego. Woda wylewa się na pled, nie zwracam jednak na to uwagi, odstawiam butelkę na szafkę.

— Co? — Otwiera oczy. Nic nie mówi, nie pyta. Podnosi się lekko i opiera twarz o rękę, czeka.

— Przecież to takie logiczne. Na śmierć o niej zapomniałam. — Moje ciało dygocze nie ze strachu, tylko z nagłej niepohamowanej euforii towarzyszącej mojemu olśnieniu. — Ta od mamy. Pamięć z mieszkania jest albo była w kuchni u ojca. Przecież to takie oczywiste, że właśnie tego muszą szukać. Idiotka ze mnie, nie mam pojęcia, co w niej jest. Nie zdążyłam... — przerywam, przetykając ślinę. — Zapomniałam tam zajrzeć. Widok żywego ojca mnie od tego odciągnął. Żeby tylko jej nie znaleźli. Cholera, musimy być przed nimi!

Radosny stan przeradza się w panikę, pocieram nerwowo dłońmi o potargane dzinsy na udach, dopóki nie zaczyna to boleć.

— Będziemy musieli tam wrócić, jeśli tylko uda nam się uciec. — Jego beznamiętny głos sprawia, że moje nerwy dochodzą do kresu wytrzymałości.

Zaczynam nerwowo badać palcami ściany. Wydają się dosyć grube. Stalowe drzwi, przez które nas tutaj wrzucili, nawet nie drżą, gdy szarpię za okrągłą klamkę. Ciągnę, siłuję się z nią, po czym przestaję i znowu szarpię raz po raz.

— To na nic, odpuść. Coś wymyślimy.

— Dlaczego to robisz? — naskakuję na niego ze złością. Chyba staję się podobna do matki. Ona nigdy nie tłamsiła w sobie złości, tylko wylewała ją na drugą osobę bez względu na to, czy ją urazi, czy nie.

— Co robię?

— Znowu to robisz.

— Elio... — wywraca oczyma.

— Jesteś taki... — nie potrafię dobrać odpowiednich słów. Każde z nich zdają się mało dosadne.

— Jaki?

— Dziwny.

— A jaki mam być? — marszczy brwi, jakby starał się zrozumieć.

— Nie wiem, siedzisz tutaj, jakbyś był w swoim domu. Jakbyś miał gdzieś to, co się stało?

— To nie tak — wzdycha, siada na skraju łóżka.

— Nie? A jak? Ja wypruwam żyły z nerwów, pod czaszką kotłuje się miliard pytań, na jakie pewnie nikt mi nie udzieli sensownej odpowiedzi, a jeżeli tak, nie będę miała pewności, czy mówi prawdę. A ty, ty jesteś spokojny, siedzisz na tym zapchlonym łóżku, jakby cię to nie dotyczyło.

— Elio... To że nie zachowuję się jak małpa w zoo, nie oznacza, że jest mi to wszystko obojętne. Przeciwnie. Po prostu nie dajmy się zwariować. Nie wskórasz nic szarpaniem za klamkę. Te drzwi wykonano z dziesięciocentymetrowego tytanu. Musiałabyś mieć ładunek wybuchowy, żeby je otworzyć, ale zginęłabyś od jego wybuchu.

— Znowu to robisz. — Kręcę się wkoło. Zaczესuję włosy na tył i wypuszczam powietrze.

— Przestań, to nie pomoże. Jesteśmy tutaj razem, to jedyny plus.

— Sama bym pewnie zwariowała. Tyle pytań, żadnych odpowiedzi. Kto nas tutaj wsadził i po co? Co z ojcem? Może uciekł i wrócił do chaty w lesie. Że też głupia musiałam wyjść i w dodatku zgubiłam się tam. — Śmieję się głośno, rozpacz wdziera się do gardła, zaciskając je.

— Chodź do mnie. Na razie nic nie możemy zrobić, musimy cierpliwie czekać. Wspierać się nawzajem i nie dać się zwariować.

— Chyba masz rację. — Ostatni raz uderzam pięścią w drzwi. Wracam na łóżko, wtulam się w jego umięśnione ramię, staram się uspokoić i odpocząć.

DRAŃ

Tak bardzo wierzymy w to, co widzimy, że nie dostrzegamy tego, co znajduje się odrobinę dalej, na drugim planie naszej scenerii. Jesteśmy ślepi na los, ślepi na szczęście. I gdy będzie już za późno, będziesz chciał ocknąć się z tego snu. Będzie bolało, ponieważ jest za późno.

Biegnę boso długim, ciasnym, lodowatym korytarzem. Za moimi plecami rozbrzmiewają przeraźliwe, zniekształcone krzyki.

— Ty suko! Zabiję cię! — męski, niski głos jest coraz bliżej.

Odgłos ciężkich butów jest niejednostajny. Jakby jedna noga musiała nadganiać tę drugą, chyba kuleje.

Potykam się o grube, powykręcane konary wystające z popękanych kafelków. Wiją się na wszystkie strony, obrastając błyskawicznie najmniejszy skrawek podłogi. Wspinają się po ścianach niczym zarazki. Upadam, uderzając głową o resztki rozbitej szyby. Spory kawałek grubego szkła przebija moją dłoń na wylot. Palce drętwieją. Zaciska mnie w gardle.

— Szlag by to...! — drę się na cały głos.

Staram się wyciągnąć szpiczasty odłamek, ogromny ból przeszywa moje ciało. Łzy płyną strugami. Spoglądając w górę, wrzeszczę tak głośno, jak bardzo pozwalają moje płuca, aby odciągnąć wzrok od tego, co zamierzam zrobić. Bełkot wydobywa się z moich ust, ledwo udaje mi się powstrzymać

torsje. Zaciskam zęby i oczy. Z całej siły szarpnię drugą dłonią za wystający ostry element, rozcinam obie dłonie.

— Aua! — zawodzeniu towarzyszy histeryczny śmiech.

Otwieram drżącą dłoń, szkło wyslizguje się z palców, spada na podłogę, rozbijając się na mniejsze kawałki. Kręci mi się w głowie. Widzę pęknięty, szklany sufit. Wiruje. Ściany falują, jakby oddychały. Może to są czyjeś płuca? Pachną zgnilizną, ten ktoś musiał zażywać narkotyki albo za dużo palić. Z pełzających konarów wypływa jakaś zielonkawa substancja.

Zaczynam kaszleć, wypluwam ślinę z domieszką krwi. Przecieram usta rękawem szarej bluzki. Targam jej kraniec na dole tak, by powstał długi pas. Krew sączy się i kapie na ziemię. Oddycham szybko, zdecydowanym ruchem owijam dłoń i zaciskam w pięść, materiał przykleja się do rany. Wstaję, nie zważając na rozciętą drugą dłoń.

— Dopadnę cię! — Obcy jest coraz bliżej, głos niesie się echem i milknie przy ścianie z rzędem nieotwartych drzwi.

Ściany błyskawicznie obrastają w pędy, z każdego grubszego wychodzi kolejny nowy. Wiją się, skręcają, oplatając swoją ofiarę i tak w nieskończoność. Jestem zmuszona wspiać się po ogromnych, wyrastających przede mną konarach, aby przejść dalej. Zielone ściany znikają w szaleństwie dzikiej rośliny. Światła lamp migocą przez prześwity między odnogami rozprzestrzeniającego się świństwa. Odnajduję wzrokiem wystającą klamkę. Jeden z zielonych sznurów chwytam mnie za kostkę, oplata ją, wspina się po łydce. Nagle czuję, jak szarpie mnie za nogę. Upadam. Łapię kurczliwie za wszystko, co mam pod rękami. Roślina dalej szarpie, jest silna. Wierzgam nogami, by ją złamać. Patrzę na nogę. To nie roślina, to dłoń.

— Znalazłem cię! — krzyczy nieznajomy z szyderczym uśmiechem na porośniętej siwą brodą twarzy i oczyma szaleńca. Mruga szybko, na lewym oku dostrzegam skurcz dolnej powieki. Jego gałki oczne są przekrwione. Nie wiem, czy to żywy człowiek, czy tylko moje wyobrażenie.

— Puszczaj! — Wierzgam, kopię z całych sił, jednocześnie podciągając się na konarach. Stopa napotyka opór. Czy to była jego głowa? Czuję ulgę na nodze, patrzę w dół. To była tylko roślina, która się urwała. Zdejmuję z nogi złamaną część.

Czołgam się w stronę klamki. Co parę metrów pędy zapadają się pod naporem mojego ciała. Drzwi, które jeszcze przed paroma minutami niczym się nie wyróżniały, teraz stoją przede mną obrośnięte. Łamię nerwowo, w pośpiechu, suche łodygi, ale nadaremnie. Z ich końców wyrastają nowe jak pasożyt żerujący na trupach innych.

Ciągnę z całych sił za metalową klamkę. Gałęzie puszczają, rozpadając się na kawałki. Wbiegam szybko do sąsiedniego pomieszczenia. Zastawiam klamkę stojącym obok drewnianym krzesłem.

— Co to było? — pytam sama siebie, przełykając ślinę.

Oddech szaleje. Odsuwam się od drzwi, obracam, by się rozejrzeć. Przerażliwa biel pomieszczenia razi moje oczy. Mrużę je automatycznie, aby dostrzec to, co znajduje się w dali.

Stoję przed szpitalną płachtą odgradzającą pacjentów leżących na sąsiadujących łózkach. Jakieś dziwaczne cienie poruszają się gwałtownie. Ich długie kończyny gestykują nerwowo. Czarne postacie powiększają się. Wydłużają się, są smukłe i nienaturalnie wysokie. Wycieram spocone dłonie o spodnie. Jedną ręką sięgam, aby odsunąć zieloną zasłonkę. Zza płachty wyskakuje wysoki mężczyzna w zielonym, długim

kitlu i czepku. Jego oczy są czarne, paciorkowate. Usta wąskie, brwi ściągnięte w groźny grymas.

— Z drogi! — wydziera się. Ocierając się ramieniem, mijają mnie, a potem znika. Rozpływa się w powietrzu jak mgła.

Wychylam lekko głowę, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie płachty. Jakaś kobieta wydziera się w niebogłosey i wierzga jak opętana na łożku. Szarpanina nie pomaga kobiecie, przypięta pasami nie może się ruszyć. Czy to jest porodówka? Tak, chociaż na nią nie wygląda. Ta kobieta rodzi przez cesarskie cięcie. Wszędzie pełno dziwnej białawej wydzieliny, na łożku mnóstwo krwi sączącej się z jej rozdartego brzucha.

— Nie chcę tych dzieci! Zabijcie je! — Podnosi głowę i patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami.

— Elia, musisz je zabić! Zabij je! — wrzeszczy. Przepocona twarz ukazuje strach.

To jestem ja. Wrzeszczę sama do siebie! Jak to jest w ogóle możliwe?

— Co tu się dzieje?! — krzyczę w ich stronę. Nikt mi nie odpowiada.

Dwie kobiety niosą na rękach bliźnięta. Ręce zaczynają mi drżeć, nogi uginają się pode mną. Chwytam za zasłonkę, aby nie upaść. Udaje mi się nie zemdleć. Musi być jakieś wytłumaczenie. Może mam siostrę? Co to są za ludzie? Dlaczego przy porodzie jest taka obstawa? Coś tu nie pasuje. Wszyscy mają maseczki chirurgiczne i ochronne peleryny. Jeden z mężczyzn obserwujących całe wydarzenie podchodzi do kobiety, wyciągając pistolet. Poznaję go, ten świdrujący wzrok z tikiem dolnej powieki. Unosi broń. Nie waha się. Z chłodem w oczach celuje, słysząc huk. Wzdrygam się. Dźwięk dociera do mojego mózgu niczym tysiące igieł, unieruchamiając go na sekundę albo dwie.

Jej, a może moją, czaszkę przeszywa kula. Na monitorze przy łóżku pojawia się ciągła linia. Nagle czuję, jak coś spływa mi po policzku. Łaskocze. Dotykam opuszkami palców mokre miejsce. Krew... Czarna, lepka, gęsta maź sączy się z mojej skroni. Na bluzce wylewa się ogromna, ciemnoczerwona plama, szybko rozprzestrzenia się na całej jej powierzchni. Kieruję wzrok na łóżko, ale jest już puste, zasłane niebieskim pledem. Monitory wyłączone.

— Ale jak? Jak to jest możliwe? — Zakrywam ręką drżące usta. Odsuwam się powoli. Krok za krokiem. Wpadam na krzesło. — Nie! — wrzeszczę. Przerazona wybiegam jak najszybciej z powrotem na korytarz, którego już nie ma.

Stoję na krawędzi dachu lustrzanego gmachu, jeden krok i spadnę.

— Gdzie ja jestem!? — Łzy napływają mi do oczu, chcę ostrożnie się odsunąć, ale za plecami mam ścianę. Delikatny wiatr osusza mokrą od płaczu twarz.

— Chodź do mnie, Elio... — słyszę kobiecy, delikatny głos, uspokaja mnie. Ten sam kołysał mnie do snu, ten sam opowiadał bajki i karmił za nieczne uczynki.

— Mama? — pytam niepewnie.

— Elio... — znowu ten sam głos.

— Gdzie jesteś? — Szukam wzrokiem, skąd dochodzi dźwięk, ale nie znajduję jego źródła.

— Elio, chodź... — Jest coraz bliżej.

— Zaczekaj... — wyciągam dłoń w stronę poruszającej się mgielki. — Zaczekaj... — Ruszam powoli w jej stronę.

Spadam. Trwa to wieczność, a może tylko sekundę, sama już nie wiem. Mijam wszystkie piętra budynku, w oknach widzę swoje odbicie. Rozpościeram ręce. Jestem lekka.

Wpadam do wody. Otwieram oczy, długie włosy falują delikatnie, dłonie pokrywają maleńkie pęcherzyki powietrza, jakbym zanurzyła się w wodzie mineralnej. Szukam wzrokiem powierzchni, ale nie potrafię jej znaleźć. Jakbym była w szklanej kuli wypełnionej po brzegi przezroczystą cieczą. Pod nogami widzę jakiś kształt. To jakiś człowiek płynący w moją stronę, nurek? Tak, to nurek... Mrużę oczy, by dostrzec go wyraźniej. Nurek płynie coraz szybciej w moją stronę, ale w dłoni trzyma coś dziwnego. Ten kształt coś mi przypomina.

Nagle przy mojej twarzy pojawiają się pęcherzyki powietrza. I jeszcze kilka. To kule! Nurek w wyciągniętej ręce trzyma harpun. To nie kule, to strzały! Płynę w dół tak szybko, jak potrafię, póki nie opadnę z sił. I tak zaraz zabraknie mi tchu. Robi mi się coraz słabiej, mam coraz mniej powietrza, czuję uścisk na krtani, jakby ktoś mnie dusił. Pod stopami widzę jakiś kształt, ale powieki się zamykają. Ciemność.

Budzę się z ogromnym kacem w swoim łóżku. Głowa pęka od bólu, z każdym ruchem staje się bardziej uporczywy. Spoglądam w lustro zawieszone nad komodą przy łóżku.

— Elio, nie pij więcej. — Opieram dłonie o komodę. Przyglądam się własnemu odbiciu. — Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz? — Kręcę głową. Nie podoba mi się to odbicie. Oczy zmęczone, skóra wokół nich sinawa, twarz blada, zmęczona.

Wkładam pospiesznie ubranie i zbieram ze stolika obok łóżka swoje notatki. Przecież nie mogę się spóźnić do pracy, bo mnie wyleją. Zamykam mieszkanie, sprawdzając dwa razy, czy zamek jest zablokowany.

— I po co ja to robię? — karcę się.

Szybkim marszem zmierzam w stronę lustrzanego gmachu. W oddali widzę wysokiego mężczyznę opatulonego ciasno

na szyi grubym, wełnianym szalem. Sięga dłonią do klamki, przekręca klucz i znika za drzwiami knajpki. Przyspieszam, by jako pierwsza złożyć zamówienie i nie czekać długo na małe śniadanie. W ulubionej kawiarni jak zwykle piję swoją czarną dawkę energii. Kupuję po drodze parę słodyczy w sklepiku. Piękny słoneczny dzień poprawia samopoczucie. Chciałabym się urwać i iść na węgry, wystawić ciało na promienie letniego słońca, zwolnić tempo i swobodnie odetchnąć pełną piersią.

Mijam windą osiem pięter. Pstrykam nerwowo palcami w kieszeni swojego płaszcza, odliczając kolejno piętra, na panelu tuż obok drzwi zapala się dziewiątka. Wsiadam. Poprawiam lekko pogniecioną bluzkę, wpuszczając ją głębiej w ciasną, ołówkową spódnicę.

— Za dużo słodyczy — mamroczę.

Moje biodra zaokrągliły się przez tę porę roku. Nie jestem za pan brat z wszelkiej maści ćwiczeniami i oto skutki obżerania się. Udaje mi się okiełznać niesforną koszulę. Nic nie wystaje, nic się nie marszczy. Dociągam zamek na boku, zapinam guzik.

— Teraz już mi nie uciekniesz. — Uśmiecham się do siebie zadowolona. Oby tylko nie pękła na szwach przy siadaniu na krzesło.

Przechodzę przez szklane drzwi do swojego biura. Zdejmuję pospiesznie płaszcz, rzucam na wieszak obok drzwi i zmieniam swoje wysokie, skórzane buty z wyraźnym traperem na bardzo niewygodne, czerwone szpilki.

Na biurku zauważam małą karteczkę:

*Wybacz Elio, jestem na urlopie, dostaniesz zastępstwo. Zadzwonię.
Buziaki.*

Daria

— Chyba mam *déjà vu* — myślę i zabieram się natychmiast do pracy.

Włączam odciskiem palca komputer i podłączam się do zamkniętej sieci lustrzanego gmachu. Kończę wczorajsze zlecenie transportu dokumentów. Idę do regału z kartonem, który mają zabrać. Znakuję go za pomocą ręcznego urządzenia wypalającego, aby trafił w odpowiednie miejsce.

Słyszę ciche pukanie do drzwi. Zerkam przez ramię z zaciekawieniem. Czyżby goniec był aż tak szybki? Do biura wchodzi wysoki, zielonooki mężczyzna.

— Jestem Robert — przedstawia się nieznajomy, wyciągając rękę.

— Robert? — Zdumiona marszczę czoło. Witam przybysza, chociaż nie chcę.

— Przydzielono mnie do pani na zastępstwo.

— Czy my się znamy? — pytam. Znowu mam wrażenie, jakby się to wydarzyło.

— Nie rozumiem. — Kręci głową, jego ton jest beznamiętny.

— Przecież to się już wydarzyło — mówię i patrzę na jego reakcję.

— Jestem tu pierwszy raz, więc wątpię. — Jego oczy są przenikliwe, jakby wchodziły w głąb mojej duszy, skanują mnie od stóp do czubka głowy. Świdrujący wzrok przyprawia mnie o gęsią skórkę. — Czy to za panią to nasze cele? — Wskazuje palcem.

Odwracam się, żeby zobaczyć.

— Tak, te kobiety musimy odszukać. — Dlaczego wypowiadam te słowa? Jakie kobiety? Coś tutaj nie pasuje...

Dźwięk cichej blokady drzwi wzbudza zaniepokojenie. Tętno przyspiesza, dłonie wilgotnieją. Odwracam się z powrotem w jego stronę. Lufa jego pistoletu wycelowana w moją głowę. — Robert...

— Żegnaj.

— Elio, obudź się! To tylko sen, tylko sen. — Potrząsa mną za ramiona.

Otwieram sklezione od łez oczy. Policzki są wilgotne. Przerażona siadam na łóżku, rozmasowuję napiętą łopatkę.

— Powiesz, co ci się śniło? — pyta Edward.

— Lepiej nie, to jakieś... Zawile i nienormalne. — Wypuszczam z płuc ciężkie powietrze i przeczesuję spoconą dłonią włosy. — Jak długo będą nas tutaj trzymać? Jak długo już tu jesteśmy?

— Mam wrażenie, że spędziliśmy tu jakieś dwa dni, ale to może być tylko złudzenie.

— Złudzenie? — Zerkam na niego z zainteresowaniem.

— W zamknięciu organizm inaczej działa. — Gładzi skórę mojego policzka.

— Pozostaje nam tylko czekać.

Zaczesuję włosy do tyłu i zwiążuję ponownie gumką. Sny są moim przekleństwem, a nie powinnym. Tylko w nich możemy być bezkarnymi kreatorami własnego życia. Tworzyć i niszczyć. Zabawić się w Boga. Moje sny stały się inne od czasu tych wszystkich wydarzeń. Człowiek zapomina wiele rzeczy. Jego mózg pracuje jak magazyn, gdy jest zbyt mało miejsca, usuwa to, co uzna za mało przydatne. Mój widocznie miał zwarcie i tworzy dziwne scenerie, nad którymi nie potrafię zapanować, chociaż zawsze, gdy scena robi się brutalniejsza, nagle się budzę.

Gdy umieram we śnie, czuję jakby jakaś częśćka mnie umarła naprawdę. Mam wrażenie, że coś utraciłam i nie jestem w stanie tego odzyskać. Mam cichą nadzieję, że zdołam nad nimi zapanować, gdy to wszystko się skończy.

Rozmawiamy z Edwardem parę godzin o pierdołach, a może tak nam się tylko wydaje? Opowiada mi o dzieciństwie, zabawach w chowanego, kawałach robionych nowym praktykantom. Większości nie pamiętałam, ale miło było wsłuchać się w jego melodyjny głos. Na małą chwilę oderwaliśmy się od tego miejsca. Gdy dochodzimy do wydarzeń z wypadku ojca, schodzę na ziemię. Cały pokój, który wyobraziłam sobie jako ten z dziecięcych lat — znika. I znowu siedzimy w tej norze. Śmiech ustępuje smutkowi, a złość coraz mocniej rozrasta się w żyłach, napędzając mój organizm. Nie wytrzymuję dłużej. Podchodzę do stalowych drzwi i usiłuję jeszcze raz szarpnąć za klamkę w nadziei, że tym razem zamek ustąpi. Niestety, ostatni jej płomyk szybko gaśnie. Drzwi nawet nie drgną.

— Elio...

— Wiem, ale musiałam sprawdzić. — Opieram czoło o zimne drzwi.

Czuję jego tors na moich plecach, nagły gorąc zalewa moje ciało. Opuszkami palców muska delikatnie moją szyję. Przechyliłam głowę na bok, rozkoszując się dotykiem. Kładzie mi dłonie na ramiona i gwałtownie obraca mnie do siebie. Widok nagiego korpusu powoduje kolejną falę ciepła. Dotykam jego mięśni, pod którymi wyczuwam pulsującą krew. Tak jak moja gotuje się, czekając na eksplozję namiętności. Moje wargi toną w pocałunku. Spękane usta zwilżają się. Rozgrzane palce tańczą

na skórze niczym baletnica. Z tańca przechodzą w łapczywy stan. Obmacują każdy skrawek, zakamarek ciała.

Zdejmuje moją bluzkę, spodnie. Przybija do lodowatych drzwi. Moja skóra walczy, ostygnąć czy gotować się dalej. Stał rozgrzewa się od temperatury pleców. Sięgam językiem tuż przy jego lewym uchu, wodzę nim po płatku małżowiny. Widzę, jak sprawia mu to przyjemność. Kiedy przygryzam zębami płatek, syczy z rozkoszy i bólu. Wtapiam się z powrotem w jego soczyste wargi. Oddech mamy nierówny, nabierany pomiędzy pocałunkami. Spragnione ciała odnajdują ukojenie. W piwnicy bez wyjścia, gdzie stres sięgnął zenitu. Namiętny, szybki seks staje się ulgą dla nas obojga. Rozładowane emocje koją zgwałcone postrzeganie własnego „ja” w obecnej sytuacji. Wszystko wydaje się mniej brutalne niż jest w rzeczywistości, część negatywnych wrażeń ustępuje miejsca nadziei. Nawet stłuczona głowa przestaje doskwierać. Jeszcze parę pchnięć i opadnę z sił. Ciągnę palcami jego gęstą czuprynę. Zagłębiam się w jego pływające, zielone oczy.

Zamieram w bezruchu i zaciskam kurczowo zęby. Żyły na karku napinają się w proteście. Brakuje mi tchu. Nie chcę wierzyć temu, co widzę.

— Robert? — wyduszam z siebie sapiącym półszepciem.

Przecież to niemożliwe, to nie są jego oczy.

Łapie moje nadgarstki, jedną dłonią przybija je nad moją głową do lodowatych drzwi. Zaciska mocno, nie pozwalając mi się ruszyć. Łopatki zaczynają boleć od nacisku.

— Puszczaj do cholery, ty podła łajzo! — wrzeszczę, wierzgając nogami. Staram się wyszarpać moje dłonie z uścisku. Palce zaczynają mi drętwieć. Po chwili nie czuję już ramion, krew odpływa z górnych kończyn.

— Mówiłem mu, że będziesz moja, ale mi nie wierzył — cedzi przez zęby, po czym kończy gwałtownie.

Cała miednica pulsuje od bólu. Moje ciało krzyczy w proteście. Chcę, żeby mnie wypuścił. To nie może się dziać naprawdę! To sen, to tylko sen i zaraz się obudzę. Albo ktoś mnie z niego wybudzi. Błagam, niech to będzie tylko kolejny durny sen, w którym nie jestem w stanie nic zmienić, tylko czekać na jego koniec.

To nie sen.

— Puszczaj! — Nie zwraca uwagi na to, co do niego mówię.

Przytrzymuje moje gardło przedramieniem. Jak mogłam się nie domyślić? Zachowywał się jak Edward. Jak mogłam? Musiał wiedzieć, doskonale wie, że tylko oczy mogą go zdradzić. Nie patrzył na mnie, zawsze uciekał wzrokiem, a w łóżku nie otwierał powiek. Idiotka ze mnie, jak mogłam być tak nierozważna. Nigdy by mi na myśl nie przyszło, że jest zdolny do takiego czynu. A te opowieści... I na co to wszystko? Teraz wiszę, jak zdobycz na haku w rzeźni. Patrzę na jego twarz, nie rozumiejąc, dlaczego to zrobił.

— Chyba nie myślałaś, że ujdzie ci płazem ostatni wybryk?! Jesteśmy kwita! — Obraca głowę w bok i przykłada palec do swojego lewego ucha.

— To boli — mówię drżącym głosem.

— Jest w lesie, w chacie, prawdopodobnie gdzieś w kuchni. Przyduście ojca! Niech powie, gdzie go ukryli. Przyprawdźcie Edwarda, staruszka możecie zabić.

— Nie! Proszę, nie rób tego! Dam ci co zechcesz, tylko nie rób mu krzywdy. — Wierzgam. — Błagam cię, zostaw ich — dodaje, oczy robią się wilgotne.

— Od ciebie wziąłem już wszystko, co chciałem. — Przyciska twarz do mojego policzka. — Zabiorę więcej, jeśli tylko będę tego chciał.

Jego oczy nie są już nawet zielone, przybrały mroczny kolor. Taki jak jego parszywy charakter. Podły samiec myślący tylko o osiągnięciu celu, bez względu na konsekwencje. Niezważający na innych. Nagle puszcza moje ręce, upadam boleśnie na posadzkę. Usiłuję wstać. Mam nieodpartą chęć przyłożyć mu ten ostatni raz. Nawet jeśli ma mnie za to zabić.

Już rzucam się na niego, ale łapie mnie za nadgarstki, podnosi wysoko i popycha mocno na podłogę. Chcę jeszcze raz rzucić się na niego, ale zdrętwiały tułów nie pozwala mi nawet na podparcie się łokciami, by znów się podnieść. Nie wspominając o jakimkolwiek ataku lub uniku.

Łzy jak groch spływają po twarzy i padają na podłogę. Robert zapina zamek swoich potarganych dżinsów, zakłada czarną koszulkę i przeczesuje dłonią włosy.

— Nigdy mi nie uciekniesz, zawsze cię znajdę! Myślisz, że jestem głupi i się nie zabezpieczyłem? Jesteś moja, zapamiętaj to!

— Jesteś chory! — wrzeszczę mu w twarz.

Podchodzi, pochyla się nad moim nagim ciałem. Jedną ręką chwyta za podbródek, ściskając go, kieruje w swoją stronę.

— Możesz uciekać — zaczyna powoli z kpiącym uśmiechem na twarzy — ale odnajdę cię nawet w najciemniejszej dziurze! Stymulator ma w sobie wbudowany lokalizator. Obiekty badań trzeba mieć pod kontrolą.

DARIA

Drzwi otwierają się, do pokoju wchodzi zamaskowany, ubrany w czarne bojówki i zieloną kurtkę mężczyzna. Przez ramię ma przerzuconą broń. Sięgam ręką koszulki, aby się nią okryć. Ból ogranicza moje ruchy.

— Jesteśmy gotowi, samochód już czeka — informuje.

Robert prostuje się i puszcza moją twarz.

Poniżona i wykorzystana leżę półnaga na podłodze, powoli odzyskując czucie.

— Co mamy z nią zrobić? — pyta strażnik.

— Wrócimy po nią później — odpowiada Robert, rzucając mi zadowolone spojrzenie.

To są ostatnie słowa, jakie od niego słyszę. Potem znów mnie zamyka w tej norze. A jednak to cela, nic innego. W ostatniej sekundzie rzuca mi przed nos zegarek. Przejaw dobroci czy sadyzmu? Nie wierzę w jego dobre intencje, więc raczej to drugie.

Od ponad czterech godzin wpatruję się w mały, elektroniczny ekran męskiego zegarka. Nie wiem, co jest gorsze: to, że nie wiesz, jak długo tkwisz w jednym miejscu, czy odwrotnie — świadomość każdej minuty. Sekundnik biegnie jak oszalały, a ja tkwię tu skulona, bokiem wtulając się w szafkę. Nie mam ochoty na jedzenie. Nerwy nie pozwalają mi zasnąć. Godziny upływają. Może o mnie zapomnieli? Albo lepiej,

pozabijali się nawzajem i teraz się stąd nie wydostanę. To by było piękne zakończenie mojego marnego życia.

Co jakiś czas drzemię, za każdym razem w innym kącie pokoju. Łóżko przyprawia mnie o mdłości. Na samą myśl, że spałam z tą łajzą i nie zorientowałam się, kim jest, robi mi się niedobrze. Dręczą mnie czarne myśli. Nie wiem, co zrobię, jeśli będę miała okazję mu się odplacić. Czy mam zniżyć się do jego poziomu i stać się wredną suką, by odkupić moje cierpienia? Wydaje mi się, że byłabym w stanie pociągnąć za spust. Ale czy na pewno? Czy byłabym w stanie to zrobić, widząc przed sobą twarz Edwarda? Czy nie obróciłoby się to przeciwko mnie?

Po kolejnych godzinach siedzenia w tej dziurze moje ciało wraca do formy. Długo zastanawiam się, gdzie jestem. Jechaliśmy tu parę godzin, droga musiała być bardzo zniszczona albo były to kamienie. Znam trzy miejsca z dziurawymi drogami, ale kamienie mogą oznaczać tylko jedno. Jestem dalej w lesie. Dosłownie i w przenośni.

Zgrzyt zamka wyrywa mnie z zamyślenia. Jeden ze strażników otwiera drzwi.

— Przebierz się! Prędej, nie mamy całego dnia! — Rzuca we mnie zielonym szlafrokiem dla pacjentów.

Znowu mam wrócić do podziemi? Nie, tym razem tak łatwo się nie poddam. Zabieram z podłogi ubranie, w głowie układając plan.

— Odwróć się! — krzyczę.

— Chyba kpisz?

— Przecież i tak nie ucieknę. Okaż choć trochę przyzwoitości jako mężczyzna.

Uśmiecha się. Dobrze wiem, co mu chodzi po głowie. Nie daję za wygraną i ciskam groźne spojrzenie.

— Dobra, ale pospiesz się!

Popełnia błąd, słuchając mnie. Za paskiem spodni ma zaczepiony elektryczny bat. Gdy stoi odwrócony plecami, podchodzę bezszelestnie na palcach. Szarpię za rękojesć i rażę intruza po udach. Pada nieprzytomny jak kłoda.

— Idioci jednak nie wymarli. Co z tobą zrobić?

Ciągnę go po podłodze, trzymając za kurtkę, zapierając się, o co tylko się da. Masywne buciory utrudniają przesuwanie intruza. Drań waży chyba ze sto kilo...

— O matko! Co ty jesz, że jesteś taki ciężki? — sapię w połowie drogi. Przywiązuję go do ramy łóżka. Knebluję usta i biorę wszystko, co tylko może mi się przydać.

Zamykam drzwi. Szukam wyjścia z tej nory. Popycham drzwi na końcu długiego korytarza, przez który mnie prowadzili.

— Wiedziałam. Szlag by to trafił! To cholerny las! Gdzie ja jestem?

Wyrzucam klucz od celi jak najdalej w gęste zarośla i losowo obieram kierunek. Tym razem nie popełnię tego samego błędu. Wolę iść pieszo niż jechać ich samochodem. Niecałe trzy godziny wędruję na oślep i przedzieram się przez las, nie wiedząc, czy nie chodzę w kółko. Całe szczęście, że jest południe, noc byłaby przerażająca w tym miejscu. Po kolejnej godzinie wędrówki staję przed ceglastym murem porośniętym pnączami, wysokim na kilka pięter. Nie mam pojęcia, czemu służy, ale muszę wybrać kierunek. Ani prawa, ani lewa strona nie wskazuje na właściwy trop. Gęste pnącza obrastają mur. Jestem prawie pewna, że muszę podążać prawą stroną. Jeżeli z miasta jechaliśmy do lasu, a następie pieszo zmierzałam bardziej w jego głąb, to logiczniej wydaje się pójść w prawo. Lewa tylko oddalałaby mnie od niego. To tylko albo aż pięćdziesiąt

procent szans. Tak jak rozpoznanie, który z bliźniaków jest Edwardem.

— No dobra, obym się nie pomyliła. Inaczej będę musiała zawrócić.

Idę wzdłuż muru, co kilka metrów wplątuję się w dziwaczne rośliny. Marsz staje się monotony jak na bieżni. Wiecznie ten sam widok. Od sześciu godzin nie miałam w ustach wody ani niczego do jedzenia. Przedzieranie się przez las jest bardzo wykańczające. Siadam na ziemię i kładę się na trawę. Na zegarku dochodzi szósta. Słońce będzie jeszcze świeciło jakieś trzy godziny. Liście szumią nad głową, jestem senna, ale nie mogę się poddać.

— Dasz radę Elio — słyszę głos.

Wystraszona otwieram oczy.

— Musiałam przysnąć ze zmęczenia, a nie mogę sobie na to pozwolić. To nie czas na odpoczynek, każda minuta może się okazać warta czyjegoś życia.

Podnoszę się i rozglądam. Coś zwraca moją uwagę.

— Ulica! Samochody! — krzyczę i podskakuję z radości. Z najniższych pokładów energii wydobywam ostatnie okruchy.

Przyspieszam. Z lasu wpadam na boczną drogę prowadzącą do centrum. Rzucam spojrzeniem wokół, sprawdzam, czy ktoś mnie śledzi. Nikogo nie widzę, idę poboczem.

Dochodzę do miasta.

— Nareszcie! Co teraz, dokąd iść? — pytam, zerkając za siebie. — Daria. Tak, ona może pomóc.

Staram się omijać główne aleje. Mijający mnie ludzie spoglądają w moją stronę, po czym ich wzrok ucieka, jakby wstydzili się tego, co widzą, a to przecież ja powinnam się wstydzić. Wyglądam, jakby dorwało mnie stado wilkołaków.

W głowie układam scenariusz, jaki jej przedstawię. Nie mogę jej narażać na niebezpieczeństwo. Im mniej się dowie, tym lepiej dla niej i dla mnie. Tylko jak mam się wytłumaczyć ze swojego wyglądu? Muszę zachować zimną krew. Prawdy nie wyjawię, ale wokół niej mam zamiar krążyć. Porwanie to idealne wytłumaczenie mojego stanu.

Odnajduję budynek i dzwonię domofonem. Opieram dłonie na ścianie tuż przy domofonie i nachylam się. Czekam niecierpliwie.

— Słucham? — odzywa się kobiecy głos.

— Daria! — głos załamuje się. — Tak dobrze cię słyszeć, wpuść mnie, proszę! — Łzy napływają mi do oczu.

— Elio, to ty? Co się stało? Wejź! — Otwiera drzwi.

Wspinam się, powoli przesuwam dłonie na poręczy, wchodzę na drugie piętro. Jeszcze kawałek i będę bezpieczna. Czeka na mnie w drzwiach.

— Co ci się stało? Jak ty wyglądasz?! — Stoi przerażona.

Wpadam jej w ramiona, wybuchając histerycznym płaczem, omal nie mdlejąc w uścisku.

— Za dużo by opowiadać, nie piłam cały dzień... Nie mam już siły, muszę usiąść.

— O rany! Poczekaj... — Przekłada moją rękę na swoje ramię.

Wsparta o Darię idę w kierunku kuchni. Siadam na drewnianym krześle pomalowanym białą farbą, łuszczącą się delikatnie na wnętrzu oparcia. Oczy zamykają się ze zmęczenia, ale nie mogę zasnąć. Nie mogę tutaj długo zostać. Wypijam naraz całą szklankę wody, życiodajny napój dociera do wszystkich komórek mojego ciała. Nabieram siły. Umysł trzeźwieje.

— Dzięki, już myślałam, że tutaj nie dojdę — mówię, odstawiając pustą szklankę na stół, obok wysokiego, smukłego

wazonu z trzema słonecznikami. Ich płatki wyglądają jak słońce, przywracają uśmiech na twarzy. Nachylam się, dotykam opuszkami palców aksamitnych płatków i wącham. Zanurzam się w tym zapachu, jest intensywny, kwiaty muszą być świeżo kupione.

Obserwuję, jak Daria krząta się niecierpliwie przy lodówce, szykując kanapki. Nie wytrzymuje długo mojego milczenia, przystaje i zerka przez ramię.

— Co ci się stało? Błagam, Elio, powiedz mi prawdę. Przychodzisz po tylu miesiącach... — przerywa. — Zachodziłam w głowę, co się dzieje. Powiedzieli mi, że sama odeszłaś. Nie uwierzyłam im. To do ciebie niepodobne. Dzwoniłam, parę razy byłam pod twoimi drzwiami. Rozpłynęłaś się.

— Masz rację — przytakuję jej.

— Kto ci to zrobił? — naciska.

W jej głosie słyszę zmartwienie i czułość.

— Nie wiem, szłam do pracy. Zatrzymał się samochód, wyskoczyło dwóch zamaskowanych mężczyzn. Złapali mnie i wpakowali do środka. Potem ogłuszyli. Obudziłam się w jakimś schronie. Nic więcej. Nikt mi nic nie mówił. Musiałam uciec. Uciekłam, jedynie tobie mogę zaufać. — Patrzę w jej oczy pełne przerażenia. Chociaż raz czuję, jak ktoś lęka się bardziej ode mnie.

Jej usta drżą, podchodzi bliżej.

— Zgwałcili cię? — pyta roztrzęsionym głosem. — Jeśli nie chcesz, to nie mów. Ale... — Spuszcza wzrok.

— Nie — wypalam — trzymali tylko w jakimś pokoju. — Odpowiadam, starając się, by zabrzmiało jak prawda.

— Trzeba to zgłosić. — Macha nożem w moją stronę, wraca do krojenia. Sieka nerwowo ogórki, nieświadomie

przyspieszając. Jeden nieuważny ruch i odetnie sobie palce.

— To nie jest dobry pomysł — zaczynam niepewnie. —
Wtedy mnie znajdują. — Obserwuję ruchy jej ręki. Są coraz
to szybsze. Góra, dół, góra, dół i kolejny plasterek ukrojony.

— Tak nie może być!

— Daria! Ostrożnie z tym nożem.

— Ale kto? Kto cię znajdzie? Kim oni są? Nie można tego
tak zostawić.

— Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

— Musimy coś wymyślić — stwierdza stanowczo. Stawia
przede mną talerz.

— Dziękuję.

Sięgam dłonią w stronę talerza. Ze smakiem i uśmiechem
na ustach zjadam przygotowane przez nią kanapki.

— Poszukam dla ciebie ubrania. W tych wyglądasz jak... —
nie kończy, mierzy wzrokiem całą moją sylwetkę, wybałuszając
oczy. — Przypuszczam, że nie zapomniałaś, gdzie jest łazienka?

— Nie. Dzięki, już idę się ogarnąć. Mój widok każdego może
przerazić. — Zaczynam się śmiać. Daria jak zwykle nie jest
w stanie opanować swojej powagi i śmieje się cichutko. Niestety
mój śmiech przeradza się w histeryczny płacz
jak u skrzywdzonego dziecka. — Och, wybacz. — Wycieram
pospiesznie łzy płynące po skórze, wodzę ręką po śladzie, jakie
zostawiły, wycierając je do sucha.

— Tęskniłam — mówi, jej kąciaki unoszą się delikatnie. Oczy
wyrażają więcej niż usta. Chcą płakać, ale powstrzymuje łzy. Są
radosne, ale i zmartwione zarazem. Dostrzegam w nich
zmieszanie całą tą sytuacją.

— Wiem, ja również tęskniłam. Za tobą, za tym popapranym
życiem. Dopiero po czymś takim człowiek uświadamia sobie,

jakim był gburem. Nie doceniał tego, co miał pod nosem. Nie dostrzegał ludzi i swoich możliwości. Byłam nieobecna, zamknęłam się w sobie i żyłam w stagnacji. Liczę, że nie podążylaś za moim śladem.

— Przecież doskonale wiesz, że wiodę życie imprezowiczki. — Jej kąciki unoszą się coraz to wyżej w lekkim, wesołym grymasie.

— No tak. Pamiętam, szłaś na randkę. — Mierzę ją wzrokiem.

— Och tak, randka. Była wspaniała, ale długo to nie trwało. Przecież ja nie potrafię usiedzieć z jednym facetem. Miziać się co wieczór w ten sam sposób? Nie, to nie dla mnie.

— Masz rację, nigdy nie umiałaś usiedzieć na dupie. — Śmieję się na cały głos.

— Tak jak ty. Dobra, marsz do kąpieli — nakazuje i palcem wskazuje drzwi do łazienki.

— Tak jest, pani szeryf. — Salutuję i odchodzę od stołu.

Kąpiel przysparza bólu. Rany szczypią, jakby ktoś wysypał na nie sól albo kwas. Siniaki dają o sobie znać przy każdym najmniejszym ruchu ciała. Wiem, że nie mogę długo tu zostać, aby nie narażać Darii na niebezpieczeństwo. Muszę wrócić do tego lasu, odzyskać moduł, ostrzec ojca i Edwarda. Mam tylko nadzieję, że nie jest już za późno. Pewnie dadzą sobie radę z Robertem. Zresztą niewykluczone, że już dawno ich tam nie ma. Musieli zorientować się, że zniknęłam. Może przeczesują las albo Edward domyślił się, kto stoi za moim zniknięciem i szuka Roberta? To może oznaczać pustą chatę w lesie. I tak jestem zmuszona tam wrócić, gdzie indziej mogłabym teraz iść? Moje mieszkanie jest pewnie pod stałą obserwacją, tak samo jak mieszkanie Edwarda. Nie znam innego

miejsca, a tutaj nie mogę zostać. Mogłabym prosić o pomoc Matta, on z chęcią wyciągnąłby pomocną dłoń. Ale czym mniej ludzi wplątanych w tę sprawę, tym lepiej. Lepiej dla mnie i dla nich. Dla każdego, jeżeli lepiej może cokolwiek dla mnie znaczyć.

Czy kiedykolwiek będzie mi dane wrócić do normalności? Jeżeli tak, czym ona będzie? Zmieniłam się w środku, jestem inna. Nie fizycznie, chociaż blizny pozostaną na moim ciele, ale bardziej psychicznie. Stałam się twardsza. Obrosłam w skorupę bólu, która teraz jest moim sprzymierzeńcem. Aby ją przebić, trzeba będzie mnie złamać. Zabić.

Matka powiedziała mi kiedyś, że człowiek ma najczęściej dwie twarze, dwa oblicza. Poznając kogoś, mam być ostrożna. To co pokaże na samym początku, może być zmyłką. Zwykłą iluzją. Ta druga ukaże się w sytuacji, w której się nie spodziewasz. Wtedy może być za późno. Prosiła, bym nie ufała nikomu do samego końca. Człowiek to zachłanne zwierzę. By osiągnąć cel i upolować zdobycz, odsłoni najciemniejsze zakamarki swojej osobowości. Wtedy na światło dzienne wyjdzie jego drugie oblicze. Teraz rozumiem jej stwierdzenie. Musiała być głęboko zraniona, by wysuwać takie tezy.

Łazienka zaparowała od gorącej wody. Palce na dłoniach mam pomarszczone, skórę rozgrzaną do czerwoności, a gorąca krew pulsuje w żyłach. Wciskam się w szare, dżinsowe szorty i białą, zwiewną koszulkę Darii. Z szafki nad lustrem wyciągam nawilżający krem do twarzy. Smaruję wysuszoną skórę i strupy we włosach. Odkładam pudełeczko na miejsce i zamykam drzwiczki.

Słyszę dźwięk domofonu.

— Spodziewasz się kogoś!? — krzyczę, uchylając lekko drzwi, aby wypuścić gorące powietrze. Nie odpowiada.

Wycieram ręcznikiem mokre włosy, rozczesuję grzebieniem z szeroko rozstawionymi ząbkami, zaplatam mały warkocz.

— Jesteś tam? Daria? — Wychodzę z łazienki do salonu.

— Dobrze cię widzieć, Elio.

Włoski na karku zjeżyły się gwałtownie. To nie może być prawda, jak mnie znaleźli? Zimny pot zalewa moje czoło. Lokalizator. Robert wspominał o lokalizatorze. Czyli wszystkie te kobiety, które wtedy ze mną były na sali, też go mają. Biorę się w garść, przecież byłam przygotowana na to, że mnie znajdą.

— Czego chcesz!? — warczę wściekle, głos odbija się echem od ścian salonu, rozrywając ciszę w pół.

W powietrzu unosi się zapach strachu.

— Niełatwo cię odszukać — stwierdza nonszalancko. Twarz Daniela wygląda staro, jakby jego szaleństwo zawładnęło także ciałem. — Wiesz, jakie było moje zdziwienie, gdy przyszedłem po ciebie, a zastałem tylko związanego strażnika?

Trzyma Darię, zamykając jej usta jedną ręką, w drugiej ściska dziwny pistolet, którym celuje jej w głowę. Takiej broni jeszcze nie widziałam. Krótka lufa jest znacznie szersza, niż powinna. Czyżby Daniel zawładnął również tą dziedziną? Na dłoniach ma czarne, gumowe rękawiczki.

— Pójdiesz z nami. Mamy sobie wiele do wyjaśnienia i tak niewiele do zabrania.

— Zostaw ją! — krzyczę zapalczywie. — Ty draniu, ona jest niewinna!

Daria patrzy na mnie z przerażeniem, sapiąc przez nos. Płacze. Nogi uginają się pod nią. Ręce związane jej za plecami.

— Wiesz... Ja nie jestem do końca złym człowiekiem. Po prostu lubię mieć to, czego chcę. A teraz mam ochotę na cząstkę ciebie, żeby ją dać mojemu synowi.

— Dlaczego nie poprosiłeś? — Zwilżam usta i staram się delikatnie zacząć rozmowę. — Gdybyś mi powiedział, zgodziłabym się. Przecież to również mój brat.

— O nie, ja znam wasz temperament. Twoja matka była taka sama. Jesteś do niej bardzo podobna.

— Zabiłeś ją?! — Nie jestem w stanie się opanować, emocje są silniejsze. Jeśli spróbuję go zagadać, odwrócę uwagę, wtedy może odpuści.

— Nie, to nie byłem ja. Wiem, że szukasz winnego, ale go nie znajdziesz. Sama się zabiła. Podcięła sobie żyły. Zresztą i tak by umarła, jej choroby nie dało się wyleczyć. Nie zabiłem jej.

— Zabiłeś ją w dniu, w którym się poznaliście — stwierdzam szorstko. — Byłeś przyczyną, a ona jest najważniejsza. Nie musiałeś trzymać narzędzia, byłeś nim w jej umyśle — mój głos drży, musiałam wyłączyć te negatywne emocje.

— To nie tak. Kochałem ją już pierwszego dnia, gdy trafiłem do sierocińca, ale nasze losy potoczyły się inaczej.

— Myślałam, że była tam z twoją żoną. — Opieram się plecami o ścianę. Przez myśli przelatują setki różnych obrazów, ale w ani jednym z nich nie ma opowieści matki o sierocińcu.

Wlepiam wzrok w szarą, delikatnie połyskującą, betonową podłogę. Minimalistyczny styl wdarł się do wnętrza mieszkania, zawładnął wszystkimi pomieszczeniami. Nie warto przywiązywać się do zbędnych rzeczy. Z biegiem czasu niszczejają lub nie cieszą tak jak na początku.

— Dlaczego nikt mi nic nie mówił?

Nie odpowiada. Jego twarz wygląda, jakby przeniósł się do przeszłości.

— Byliśmy nierozłączni, ale pojawiła się Paulina, cicha osóbka, przeciwieństwo twojej matki. Była córką naszego opiekuna i moją nadzieją na ucieczkę z tamtej nory. Dorastaliśmy we trójkę, razem się ucząc. Sandra była bardzo inteligentna, jako nastolatka przejawiała niebawym talent matematyczny. Podobało mi się to, ale dorastając w sierocińcu, chciałem zaznać odrobiny normalnego życia. Być jak inne dzieciaki z normalnych domów.

— Paulina ci je dawała?

— Tak — odpowiada zdecydowanie.

— Sandra cię nie chciała i poczułeś się odrzucony? — atakuję.

— Nie. To nie tak jak myślisz. Ty nic nie wiesz. Twoją matkę, gdy miała szesnaście lat, zwerbowała agencja rządowa. Związałem się z Pauliną. Ona miała bardziej stabilną wizję swojej przyszłości, jaką bardzo ceniłem.

Agencja? Jaka agencja, co on plecie?

— A ty chciałeś zabawić się w dom? Czy to nie dla dzieci?

— Zawsze pragnie się tego, czego się nie miało. Poszedłem do szkoły medycznej, skończyłem ją z wyróżnieniem i masą przełomowych badań. Ustatkowałem się. Zapomniałem o tym, co było, żyłem chwilą. Parę lat później spotkałem Sandrę na uczelni, przyszła do mnie z pewną propozycją. Tam też poznała twojego ojca.

— Mogłam się domyślić, genetyk.

— Kochałem ją, nadal Kocham, obie je Kochałem.

— Ale ją zabiłeś. I Paulinę też! Teraz chcesz się zemścić na mnie?

— Paulina to inny przypadek. Edward powiedział ci, że umarła przez jakąś chorobę? Jesteś głupia, że we wszystko wierzysz. On wie, dlaczego umarła i tego mi raczej nie wybaczy.

— Zabiłeś ją, to oczywiste. Tak jak moją matkę i ojca.

— Bredzisz, dziecko!

— Widziałam nagranie! Drugi raz jestem dzięki tobie sierotą. Pocieszam się tym, że straciłeś Edwarda, twoje najcenniejsze dzieło. Wybrał mnie! I jak się mogę domyślić, to jest dla ciebie najgorszy cios.

Milczy. To musiało zabość.

Daniel prostuje się i szarpie stanowczo Darię, jego oczy pokrywa lód. Wrócił z marzeń na ziemię. Chęć zemsty oblewa jego twarz. Słyszę stukot ciężkich butów i zgrzyt otwieranych drzwi. Do pokoju wchodzi dwóch mężczyzn. Wiem, że przyszli po mnie.

— To twój plan? Zabić córkę swojej kochanki, uratować bękarta cudzym nieszczęściem?!

— Zamknij się! Nic nie wiesz.

Teraz wiem, skąd u Roberta taki podły charakter. Wdał się w ojca.

— Zabiłeś ją! Każdy, kto ma z tobą kontakt, powoli umiera. Jak możesz z tym żyć?!

— To, że z własnej winy straciłem bliskich, nie oznacza, że od razu muszę się powiesić. Mam wiele do zrobienia, wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia.

Strażnicy mnie łapią, nawet nie protestuję. I tak nie mam dokąd uciec.

— Po co majstrujecie w genach?! Co wam to daje?

— Marzycielka.

Wzdrygam się, słysząc dźwięk spustu.

— Daria!

Jest już za późno, jej ciało upada bezwładnie, jak wypchana lalka rzucona przez dziecko w kąt pokoju. To koniec, na skroni ma czarną plamę. Z nosa cieknie krew. Jej wzrok zamarł. Usta rozchylone nawet nie drgają.

— Co jej zrobiłeś, bydlaku?! Daria! — Szarpię się ze strażnikami. Chcę przyłożyć mu w tę zarozumiałą mordę. Już dwóch Lloydów prosi się o zemstę.

— Nie odpowie ci, jej mózg się usmażył. Dostyc gadania, bo podzielisz jej los. Zabierzcie ją!

— Daria! — wrzeszczę. — Proszę cię, wstań!

— Idziemy! — Szarpie za ramię mężczyzna.

— Morderca!

Prowadzą mnie długim, ciemnym korytarzem. Jest chłodno. W powietrzu unosi się zapach chemicznych środków czystości. Nie potrafię odpędzić od siebie myśli, że to przeze mnie zginęła Daria. Gdybym tylko do niej nie przyszła, nadal by żyła. Myliłam się, Daniel jest jednak okrutnym, ohydny draniem. Podłą łajzą, która patrzy tylko na wierzchołek swojego nosa. Nie obchodzą go ludzie, pewnie i swoje dzieci ma gdzieś.

Nie wiem już, co myśleć. Może to nie on niesie śmierć tylko ja? Gdziekolwiek się pojawię, zawsze ktoś umiera. Powoli nie mam dla kogo żyć.

Oczy przyzwyczajają się do półmroku. Nie ma okien ani drzwi. Tylko pusta przestrzeń ciągnąca się przede mną i za mną. I znowu te przekłete echo stukających butów, tym razem i moich. Nie widziałam, którędy wchodziliśmy, zdjęto mi opaskę dopiero w środku. Niekończący się hol przypomina jeden z ciągów podziemnego laboratorium. Te same kafelki, te same

lampy — chociaż są wyłączone, rozpoznaję je. Tak samo jak zapach i prześladowające uczucie strachu — córki niepewności.

Czy to ważne, gdzie tak naprawdę jestem? Co to da? Nie jestem na tyle odważna, by próbować swoich sił i uciec. Nie jestem na tyle silna fizycznie, by wyrwać się z uścisku. Nie pamiętam, aby na mapie narysowano wejście, którym mnie prowadzą. Pewnie czeka mnie jeszcze wiele do odkrycia, jeśli tylko będzie mi dane tego dożyć. Coś podświadomie mi mówi, że prowadzą mnie na rzeź. Jednak na ułamek sekundy coś odwraca moją uwagę. To ciasne szorty Darii, które mi ofiarowała. Opinają mnie i drapią w pasie, przywracając poczucie winy.

— Nie wierć się — ostrzega strażnik.

Zerkam na niego, jego pociągła twarz jest bez wyrazu. Usta ma ściągnięte, z kącikami opadającymi niczym banan. Na głowie ciasno osadzona czapka z krótkim daszkiem zasłaniającym czoło. Drugi z mężczyzn jest pulchniejszy, oczy ma blisko osadzone i orli nos, niepasujący do rysów twarzy. Spod czapki wylaniają się krótko przystrzyżone włosy na kilka milimetrów. Na szyjach przewiązane zielone chusty, jakby miały cokolwiek oznaczać. Wyglądają na zbrojną formację z rozróżnieniem na poszczególne stopnie i uprzywilejowania. Nie są zbyt rozmowni, ci dwaj są raczej tylko pionkami. Czy to ostanie twarze, jakie zapamiętam, nim zamknę oczy? Odchylam głowę, przy suficie świecą małe lampki rozstawione średnio co dwa kroki, dające żółtawą poświatę na korytarz.

Idę posłusznie z dumnie uniesioną głową, ze świadomością, że chociaż trochę zdołałam uprzykrzyć im plany. Wiem, że nie uda mi się wyrwać. Strażnicy idący przy moich ramionach kurczliwie oplatają swoje wielkie łapska powyżej moich lichych bicepsów. Na wysokości pasa trzymają to samo urządzenie,

którym Daniel zamordował Darię. Gdyby tylko zapytał. Pomogłabym temu dziecku, ale wątpię, że chodzi tylko o nie. To by było zbyt proste.

Korytarz się kończy, skręcamy w lewo i idziemy dalej prosto. Przede mną wylaniają się dwuskrzydłowe, wahadłowe drzwi z otworem na szybę. Dostrzegam kilkoro ludzi krzątających się wokół stołu operacyjnego. Zakładają gumowe rękawiczki i czepki medyczne. Niska, tęga kobieta rozkłada na metalowym wózku narzędzia chirurgiczne. Obok kobiety ktoś przyciąga sporej wielkości lampę. Ustawia jej wysokość, celując na łóżko, zapala ją. Światło razi przerażającą bielą.

Przełykam ślinę, serce łomocze, a żołądek skręca się ze strachu, powodując uczucie mdłości. Przed śmiercią chciałabym jeszcze raz zobaczyć Edwarda, powiedzieć mu to, czego nie zdążyłam.

— Dadzą mi potem odejść? — pytam naiwnie. — Czy umrę na tym stole? — dodaję cicho. Ich brak reakcji potwierdza moje domysły czarnego scenariusza.

— Nie musicie mówić, wiem to — stwierdzam oschle i milknę. Kroczę w kierunku mojego przeznaczenia.

W połowie drogi na salę przystajemy. Jeden ze zbirów szarpie gwałtownie moje ramię i ciągnie w bok. W jednej chwili ranny od kuli upada na podłogę, pociągając za rękę. Ze wstrętem odrywam jego palce. Drugi napastnik przykłada do mojej głowy broń. Wstrzymuję oddech. Sztywnieję. Odwraca się, ale jest już za późno. Przewraca się martwy od strzału w kark.

Oddech szaleje, serce wyrywa się ze strachu, patrzę przez ramię.

— Edward?! — Moja radość jest nie do opisanania. Staram się uspokoić, ciała mężczyzn leżą bezwładnie po obu moich

stronach, krew wypływa z ich tętnic. — Gdzie ojciec? — wołam, ale jego mina może oznaczać tylko jedno.

— Tak bardzo mi przykro. — Podbiega do mnie. Wyciąga w moją stronę rękę, ale jej nie przyjmuję.

— Gdzie on jest?! — naciskam.

— Elio... — W jego ciepłym głosie wyczuwam nutę żalu i zdenerwowania. Chowa pistolet z tyłu za pasek spodni, naciągając na niego koszulkę.

— Dopiero co go odzyskałam. A teraz znów go nie ma, naprawdę nie ma. — Mój wewnętrzny głos każe mi działać. Czuję przypływ adrenaliny, którą muszę gdzieś wyładować.

— Wiem, nie potrafiłem, nie zdążyłem. Przepraszam, nie chcę cię ponaglać, ale musimy już iść — zwraca uwagę. Ciągle trzyma wyciągniętą dłoń.

Grupka ludzi za drzwiami dostrzega sytuację.

— Hej! — ktoś krzyczy. — Co tu się dzieje?

— On nie odpuści... — Nie zwracam na nich uwagi. — Nie przestanie, dopóki nie damy mu tego, czego chce.

— Elio, Daniel to nie jedyny problem. Drugim jest mój brat, a on nie poddaje się tak łatwo. My też nie możemy. Chodź.

— Przynieście szybko nosze! — wydziera się jakiś mężczyzna. — Stójcie!

— Wezwij ochronę! — wrzeszczy kobieta.

Mijam dłoń Edwarda i staję z nim ramię w ramię.

— Masz rację. Może nie wygramy tej walki, ale uprzykrzymy mu życie.

GORSA PRAWDA

Moje serce pokrył lód. Krzyczy z bólu. Strach wybiela jego naczynia. Gruba skorupa cierpienia przedziera się jak sztylet, dżgając najważniejszy organ ciała. Bez niego nie można być tym, kim się jest. Jedynym ratunkiem jest ciepło.

Wychodzimy z podziemia. Dla niego nie jest to zbyt trudne, w końcu spędził tu większość swojego życia. Jedziemy skradzionym samochodem. Chyba tym samym, którym mnie wieźli do tego bunkra. Już myślałam, że nie będzie mi dane ujrzeć słońca ani poczuć zapachu lawendy. Wiercę się na siedzeniu, spodnie nie dają mi swobody. Rozpinam na boku, tuż pod talią na biodrze, jeden z guzików. Od razu czuję ulgę w obwodzie. Brzuch swobodnie porusza się w rytm mojego oddechu. Szperam w zakamarkach samochodu, szukając jakichkolwiek informacji, sama nie wiem jakich. Doskonale wiem, czego chce Daniel i kim byli napastnicy. Muszę zająć czymś palce. Ani jeden schowek nie skrywa żadnych tajemnic.

Wszystko puste, jakby samochód nie należał do nikogo.

Wlepiam wzrok w obraz za oknem. Słoneczny dzień, niezbyt upalny. Nie pytam, co się tam stało. Sama nie wiem, czy jestem gotowa. Czy chcę wiedzieć, jak umarł ojciec? Mam tylko nadzieję, że szybko.

— Gdzie jedziemy? — pytam zaciekawiona naszą trasą. Obgryzam niecierpliwie paznokcie.

— Do mojego domu — oświadcza bez ogródek.

— Świetnie, może uda mi się trochę odpocząć.

— Do mojego rodzinnego domu — poprawia.

— Co? Masz na myśli ten nad klifem? — Muszę przyznać, że mnie trochę zaskoczył. — Mówisz poważnie?

— Ta druga pamięć, tam coś jest. — Usadawia się wygodniej na siedzisku. — Pamiętasz soczewki, które mi dałaś?

— Zapomniałam o nich.

— Są kluczem do otwarcia nośnika — stwierdza.

— Ale jak? — spoglądam na niego z zaciekawieniem.

— Tego dowiemy się na miejscu. Nienadaremnie Daniel dał go twojej mamie.

Ma rację, za tym musi się kryć coś więcej niż opowieść, jaką nakarmił mnie ostatnio. Piękna, ckliwa historyjka o sierocińcu i nieosiągalnej miłości. Och, jakie to romantyczne. Nie wierzę tej łajzie. Wykorzystał ją, taka jest prawda. Innej nie przyjmuję do wiadomości.

— Dobra, nie chciałam wiedzieć, ale teraz muszę. — Patrzą mu w oczy, aby mieć pewność, czy nie kłamie. — Co się tam stało?

Zerka na moją twarz, po czym wraca na drogę. Oblizuje usta, przygryzając zębami dolną wargę.

— Za wcześnie, żebym ci opisał. — Kręci głową. — Zresztą nie chcesz tego usłyszeć. — Grymas na twarzy kłóci się z tym, jak zachowują się jego ręce. Jego ruchy stają się gwałtowniejsze.

— Nie ty powinieneś o tym decydować. Jestem gotowa.

Nie patrzy na mnie, skupia wzrok na drodze.

— To nie jest dobry pomysł.

— Cholera Edward, mów!

— Chcieli pamięć twojej matki, nie udało im się wyciągnąć od nas informacji o tym, gdzie się znajduje. Zamknęli nas i trzymali w osobnych pokojach, wtedy usnąłem... — przerywa, nastaje cisza. W tle dudni silnik samochodu. Usta Edwarda są otwarte.

Widzę, że chce kontynuować, ale zdaję sobie sprawę, jakie jest to dla niego ciężkie. Opisać to, jak umarł. Nagle przełyka ślinę, jakby pozbył się ogromnej przeszkody stojącej w gardle. Jabłko Adama porusza się z gracją w dół i wraca natychmiast na swoje miejsce.

Czekam, nie naciskam, tylko czekam.

— Robert mnie obudził. To była egzekucja. — Jego oczy nagle ciemnieją od złości. — Obudził mnie i kazał na to patrzeć. Trzymaj się mocno, droga robi się trudniejsza.

— Mów dalej — ponaglam delikatnie. Im prędzej to z siebie wydusi, tym lepiej dla nas obojga.

— Twój ojciec klęczał przede mną, miał knebel na ustach, ale jego oczy były spokojne, jakby wiedział, że to już koniec. Robert przyłożył mu nóż do gardła i przeciągnął.

Moim ciałem wstrząsa zimny dreszcz, szok ogarnia umysł.

— Bydle — cedzę. Zamykam oczy. Widzę jego twarz. Oddycham spokojnie, nie chcę płakać, nie teraz.

— To moja wina. Mogłem go ocalić. — Kręci głową, dłonią przeczesuje opadające na oczy włosy.

Uderzamy w ogromny kamień, Edward skręca energicznie kierownicą. Jedną ręką łąduje na desce rozdzielczej, drugą na szybie moich drzwi. Przytrzymuję się. Nie zapięłam pasów, ale to teraz nieważne. Podwozie zgrzyta, coś musiało utkwąć pod spodem. Nie zatrzymujemy się, jedziemy dalej.

— Mało brakowało — odczuwam ulgę. — To nie twoja wina, łudziłam się, że go odzyskałam. On wiedział, ja też wiedziałam, jak może się to skończyć. Wolał oddać życie, niż pozwolić mu wziąć to, co chciał. Zabili ojca, zabili Darię. Co jest cenniejsze od ludzkiego życia? Musimy zobaczyć, dowiedzieć się, jakich informacji tak zażarcie szukają.

— Dowiemy się niebawem.

— Jest jeszcze jedna sprawa, o której muszę ci powiedzieć. — Kładę rękę na jego barku.

— Nic nie musisz... — kręci głową. — Naprawdę — dodaje cicho.

— Ale chcę, inaczej będzie mnie to dręczyło. Zamknęli mnie w tym małym pokoiku. Myślałam, że z tobą.

— Elio, przestań!

— To nie byłeś ty, poznałam dopiero... Potem, po oczach... Robert... On...

— Elio! Ja wiem, przestań do cholery! — Bieleją mu knykie, mocniej zaciska dłonie na kierownicy.

— Nie wiedziałam, że to on. Idealnie wcielił się w ciebie.

— Nie daruję mu tego, ale proszę cię, nie mów już o tym.

Zaciskam usta i milczę, opieram głowę o zagłówek fotela. Odpędzam myśli, oddycham głęboko. Łzy cisną się do oczu, staram się utrzymać je w ryzach, ale jedna mała cholera ucieka, spływając po prawym pliczku, łaskocząc delikatne miejsce przy uchu.

Resztę trasy przemierzamy w milczeniu. Przeszłam już w młodości żałobę po ojcu, dlatego teraz mogę skupić się na naszym celu. Żałuję jedynie tej brakującej chwili, jaką mieliśmy poświęcić tylko dla siebie. Nie zdążyłam z nim

porozmawiać... Przytulić się, chociaż ten jeden raz, by poczuć jego bliskość w moim życiu.

Po chwili ciężkiej jazdy po górskim zboczach, przed nami wyłania się ogromny dom. Jest przeciwieństwem stylu, jaki preferuje Edward. Dwupiętrowa konstrukcja, drewno, beton i szkło. Drewniany parter odróżnia się od betonowo-szklanego piętra.

Budynek na klifie wskazuje na silny charakter właściciela. Samo postawienie go w tym miejscu było decyzją szaleńca albo samotnika. Konstrukcja zdradza wizjonerski zmysł. Jest oszałamiająca; wprawdzie nie jestem zwolenniczką olbrzymich posiadłości, w których większa część pomieszczeń stoi pusta, ale ta naprawdę zapiera dech w piersiach. Mam wrażenie, że to dzieło sztuki kłóci się z osobowością Daniela. Ktoś taki jak on nie zwraca uwagi na detale, a na pewno nie na wygląd. Sam Edward przyznał, że on nie lubi zmian. Czy ktoś taki z własnej woli zbudowałby takie imperium nad przepaścią? Chyba bałabym się mieszkać z dziećmi w takim miejscu z obawy o niefortunny wypadek. Z pewnością architekt maczał w tym palce. Odzwierciedlił własne ambicje, tworząc coś tak niezwykłego.

— A jak nas przyłapią? — pytam.

— Daniel jest w lustrzanym gmachu, więc mamy trochę czasu.

Zatrzymuje się gwałtownie na zwirowej wysepce. Ciemne, groźne chmury zwiastują gradowy deszcz.

— Wiedziałeś o lokalizatorze, prawda?

Milczy, wyskakuje z samochodu i zmierza w kierunku domu. Otwieram drzwi, wysiadam i doganiam go, podbiegając.

— Wiedziałeś? — naciskam, drążąc temat.

— To nie jest teraz ważne.

— Wiedziałaś!? — Przystaję na chwilę.

— Tak samo jak inni. Nie zmienię przeszłości, chociaż bym bardzo chciał. Tak samo, jak ty.

— Edward...

— Dobra... — Zatrzymuje się, odwracając w moją stronę. — Wiedziałem. Dzięki niemu nieraz mogłem cię odnaleźć.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Co by to zmieniło?! — podnosi głos, rozdrażniony. — Możemy iść? Czas ucieka.

— Wiem, przepraszam. Jeśli mamy sobie ufać musisz mi mówić o wszystkim. Obiecuj mi. — Dotykam jego policzka. — Obiecuj.

— Obiecuję.

Długa ścieżka prowadzi do frontowych drzwi. Zbaczamy z niej. Wspinając się po kamieniach, przechodzimy na tył domu, tuż nad przepaść. Patrzę w dół otchłani. Na dole — skały. Nie wiem jak to daleko od miejsca, w którym stoję, ale upadek z tej wysokości roztrzaskałby człowieka, pozostawiając jedynie czerwoną plamę. Przechodzą mnie dreszcze. Nie wiem, czy się unoszę, ale nagle czuję, jakby moje nogi lewitowały. Jakbym wisiała w powietrzu, wznosząc się. Przestaję oddychać, kręci mi się w głowie. Odczuwam dziwne przyciąganie tej otchłani. Może ona chce mnie tam, na dole. Właśnie mnie?

— Nie patrz za długo, bo spadniesz.

Mój umysł trzeźwieje. Przetykam ślinę. Odchodzę od krawędzi i doganiam Edwarda.

— I co teraz? — pytam, ale nie słyszę odpowiedzi.

Wkłada soczewki kontaktowe i podchodzi do skanera.

— Bingo!

Szklane drzwi rozsuwają się automatycznie.

— Witaj Danielu, wczesnie dzisiaj wróciłeś. Włączam kuchenkę, kolacja będzie za kwadrans. Wykrywam coś na twoim lewym oku. Umówię wizytę u specjalisty na przyszły tydzień. We wtorek masz najmniej napięty terminarz. Ktoś przyjedzie między 12:00 a 13:00. Życzę miłego popołudnia.

Edward pokazuje palcem, żebym się nie odzywała. Po wysłuchaniu komunikatu akceptuje informację na panelu.

— Widzę, że nie zmienił zabezpieczeń.

— Skąd wiedziałeś?

— Trochę go znam, wszędzie wciska tę swoją nową technologię.

— Technologię? A skąd wiedziałeś o tym? — wskazuję palcem na jego oczy.

— Twój ojciec przed śmiercią powiedział mi, że Sandra miała dostęp do wszystkich pomieszczeń dzięki soczewkom.

— I? — pytam, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

— Zrobiłem kiedyś kopię egzemplarza ojca.

— Nie skanował własnej siatkówki?

— Nie. — Unosi jeden kącik ust ku górze, wykrzywając je w śmieszny sposób, w jaki jeszcze tego nie robił, jakby szydził z postępowania ojca.

— Dlaczego? — naciskam. Jak zwykle muszę ciągnąć go za język, aby doszedł do meritum.

— Obawiał się, że może dojść do sytuacji takiej jak porwanie. Wiesz, co robią z oczami, gdy okazują się jedynym kluczem?

— Nabijają na widelec?

— Coś w tym rodzaju — śmieje się.

— Domyślam się.

— Odnowilem powłokę soczewek twojej mamy. — Wyciąga pudełeczko z kieszeni dżinsów.

— Miejmy nadzieję, że zadziałają — pomrukuje.

Edward wchodzi pierwszy do środka, zaraz za nim ja. Surowe wnętrza przyprawiają mnie o gęsią skórkę. Kierujemy się prosto do biura, kamiennymi schodami na piętro. W jego wnętrzu panuje totalny chaos. Sterty papierów porozrzucanych po kątach, niepokładane książki i segregatory. Nie myliłam się, ten dom nie jest w jego stylu, widocznie do tego pomieszczenia nie mają wstępu sprzątaczk. Jak na prawdziwego badacza przystało, ma niesamowity burdel. Nawet kobieta ma większy porządek w torebce. Jedyna w miarę wolna przestrzeń znajduje się na biurku. Wychodzący z blatu ekran jest jedną z nielicznych znajdujących się tam rzeczy.

— Nie kładź dłoni na biurko — ostrzega, stając przed nim.

— Co? — Marszczę czoło.

— Nie wiem, czy nie naszpikował go kolejną elektroniką.

— Jak to? — dziwię się.

— Kiedyś w laboratorium przyłapał ucznia na włamaniu do komputera. Od tamtego momentu każdy miał biurko, które czytało linie papilarne jego rąk.

— Pomogło?

— I to jak. Wiedzieli o tym nieliczni i wielu wpadło na wykradaniu danych dla konkurencji.

— Zawsze taki był? — Dotykam poślizniętych kartek, niechlujnie włożonych w wąski regał pod oknem.

— Jaki?

— Uprzedzony do wszystkich?

— Odkąd go znam. Zawsze.

— Uprzedzony, nieufny, idealny czarny charakter. — Czy ja to powiedziałam na głos? Tak, powiedziałam. Przygryzam usta, za dużo paplam na głos w obecności Edwarda. Przecież to jego ojciec.

Krażę wokół pokoju. Rozglądam się. Żadnych zdjęć, tylko stosy papieru.

— Po prostu... Nie dotykaj, to nic się nie stanie. W przeciwnym razie biurko wyśle sygnał o intruzie do macochy, którą poznaliśmy przed wejściem — tłumaczy. Niecierpliwie obraca w palcach pudełeczko z soczewkami matki.

— Dobra, dobra, nic nie robię. — Podnoszę dłonie w akcie bezradności i poddania się. — Działaj, w razie czego nie będzie na mnie.

— Dowcipna.

— Jak zawsze. — Uśmiecham się łagodnie, by rozładować napięcie.

Edward wyjmuje z kieszeni nośnik i kieruje go na czarny okrąg znajdujący po prawej stronie ekranu. Obwód podświetla się na niebiesko. Komputer się włącza. Edward nachyla się nad powłoką biurka, opierając na niej dłonie.

— *Witaj Sandro, potwierdź swoją tożsamość* — wita nas macocha.

— Cholera, nie spodziewałem się tego już na początku.

— Co teraz? — pytam.

— Soczewki.

— Może ja spróbuję?

— No nie wiem...

— Podobno mam jej oczy i rysy twarzy.

— To nieistotne. Dobra, nie mamy innego wyjścia. — Prostuje się, strzelając karkiem ze zdenerwowania. Podaje mi

pudełeczko.

Wyjmuję soczewki, patrzę chwilę na maleńkie, niebieskawe kropki na moich opuszkach. Zastanawiam się, czy to boli. Przykładam palec do oka i wpycham jedną, potem drugą. Nie myślałam, że założenie soczewek jest takie nieprzyjemne. Uwierają mnie i czuję się nieswojo. Siadam niepewnie na skórzanym fotelu.

— Oczy przed monitor — rozkazuje Edward. — Wysunie się mały panel wielkości paznokcia i zeskanuje tęczęwki czerwonym światłem, nie przestrasz się.

Posłusznie wykonuję polecenie i kieruję twarz w stronę ekranu. Stało się dokładnie, jak przewidział.

— To działa — mówię. Czerwone światełko przesuwają się z lewego oka na prawe, po czym znika. Panel zamyka się.

— *Witaj Sandro, myśleliśmy, że nie żyjesz.*

— O cholera! — Zakrywam usta dłonią.

— *Potwierdzam tożsamość. Miło cię znowu gościć. Potwierdzam dostęp do protokołu. Potwierdzam zgodność danych. Pozwalam na dostęp do wszystkich plików i obszarów symulacji.*

— Jakich symulacji? — patrzę na Edwarda, ale jego wyraz twarzy wskazuje na to, że również nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

Pojawiają się rzędy plików.

— *Rozpoczynam skanowanie nośnika w celu eliminacji błędów. Kontynuuję scalanie sekwencji danych z plików F, H i L. Czas zakończenia symulacji nastąpi za: 25 minut i 42 sekundy. Miłej zabawy, Sandro.*

— Czy to jest sztuczna inteligencja? — pytam z rozdziawionymi ustami.

— W pewnym sensie to AI, jeśli nie zniesiono jej blokady.

— Jak to blokady?

— Jest samodzielna, myśli, tworzy, działa, wnioskuje, ale jej blokada nie pozwala na ingerencję w inną jednostkę.

— Czyli nic nam nie robi? — upewniam się.

— Jest inteligentna, ale nie ma mocy sprawczej. To jakby wiedzieć jak się rozpala ogień, ale nie mieć do tego narzędzi.

— A jeżeli je zdobędzie?

— To będzie problem, ale żeby takowy się znalazł, człowiek musiałby nie mieć w sobie...

— Człowieczeństwa — kończę za niego. — Wydaje mi się, że jednego chyba takiego znam.

— AI jest niegroźna, ma dobre intencje. Możemy się od niej bardzo dużo nauczyć, nawet o sobie samych...

— Widzę, że znasz się na tych urządzeniach. Pokaż, co tu mamy. — Ustępuję miejsca w fotelu, a on szybko zaczyna grzebać w zawartości pamięci.

Mnóstwo plików, każdemu z nich przypisano podstawową literę alfabetu łacińskiego. Dwadzieścia sześć różnych plików, tyle niewiadomych.

— Może zobaczymy, co znajduje się pod plikami F, H i L. Twoja AI mnie zainteresowała.

— *Brak dostępu. Do końca symulacji pozostało: 22 minuty.*

— Spróbuj plik H — mówię.

— *Brak dostępu. Do końca symulacji pozostało: 21 minut i 32 sekundy.*

— Nie ma szans. Musimy zaczekać, aż zakończy pracę.

— No to pozostało nam sprawdzać po kolei, dawaj plik A — rzucam.

— Już się robi, mała.

Klepinięciem otwiera wybrany plik.

— Co to jest?

— Zobaczmy. — Edward wchodzi w ikonkę zawartą w folderze. — Pierwszy plik skrywa jakiś program.

— Program, ale do czego? — zbliżam twarz do szklanego ekranu. Dłonią przesuwam po wierszach, zmierzam w dół.

— Chyba spełnia funkcję ogromnego rejestru. Jego zawartość to spora ilość imion i nazwisk, dat urodzenia, a nawet grupy krwi, przebyte choroby czy zgony.

— Spójrz. — Wskazuję palcem na dolny wiersz otwartego okna. — Pojawił się nowy wpis: 14 maja 2125 r. Mikołaj Lew. Da się wejść w ten wpis?

— Spróbujmy. — Przeciąga palcem po wierszu.

Otwiera się boczna rubryka i pokazuje się hologram osoby, do której należy. Na przemian pojawia się kilka różnych wersji człowieka. Od narodzin przez młodość, dorosłość i starość. Boczny panel pokrótce przedstawia jego życiorys.

— Co to jest...? Popatrz na opis zakładki — wskazuję palcem. — Narodziny, ocena psychologiczna, zdolności, grupa krwi, zabieg wycięcia wyrostka, który jest standardem w wieku szesnastu lat.

Jadę niżej, szukając cennych informacji.

— Miejsce pracy i stanowisko: lustrzany gmach, inżynier maszynowy. Na emeryturze od dziesięciu lat, do wczoraj.

— Coś tu śmierdzi — mówi Edward.

— Jesteśmy śledzeni? Wszyscy?

— Na to wygląda. — Marszczy groźnie brwi, opierając się o oparcie fotela.

Stoję tuż obok. Krzyżuję dłonie na piersiach, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. To już nie dotyczy tylko mnie i mojej nerki.

— Co moja matka ma z tym wspólnego? Pokaż inne pliki, zanim nas nakryją.

Kolejny jest chyba czymś osobistym, prace naukowe o tematyce ludzkiego DNA, to akurat mnie nie dziwi. Z każdym następnym moja brew unosi się coraz wyżej. Czytam w milczeniu, głowiąc się, co to wszystko może oznaczać. Architektura krajobrazu, wykorzystanie hologramów w architektonice i wiele innych, matematycznych pozycji. Samo wypowiedzenie ich nazw jest niezwykle trudne.

Patrzę na Edwarda.

— To książki, po prostu książki, prawda? — pytam, czekając na jego potwierdzenie.

Edward nie odpowiada, tylko pospiesznie przechodzi do kolejnego pliku. Nad biurkiem pojawia się ogromny, niebieski hologram. Wyciągam w jego stronę rękę, żeby móc obrócić go tak, jak pokazał mi to wcześniej na mapie ojca. Nachylam się, aby zobaczyć dokładniej, czy przypadkiem nie mam halucynacji.

— Czy to jest...?

— Lustrzany gmach — mówi.

— Co się tu, do cholery, dzieje?

Kolejne foldery są szokujące, mnóstwo makiet budynków. Wszystko, co otacza miasto, było jedną, ogromną konstrukcją. Moja kamienica także znajduje się na jej planach. Bliźniacze laboratoria również tutaj są.

— Była konstruktorem — stwierdzam krótko.

— Jak to?

— Patrz na podpis, Sandra L. Madej. To jej dzieło, była twórcą. Bliźniaki, czyż od początku nie chodziło o bliźniaki? Nawet tutaj je widać. — Znowu zaczynam nerwowo krążyć po pokoju. Staram się poukładać wszystko w głowie.

— Te konstrukcje są dziwne. Popatrz — zachęca, machając ręką, abym wróciła.

Wracam do Edwarda, skupiam wzrok na czymś dziwnym, co przykuło jego uwagę.

— To jest mapa. Gdy chwycisz coś, co dobrze znamy, na przykład most — Edward łapie drugą część zniszczonego mostu i wyrzuca go — popatrz, co się stanie.

— Pustynia? — pytam.

— No właśnie. Pustynia. Ten piasek jest bladoczerwony.

Czuję, jakbym w głowie miała blokadę. Chcę wgłębić się w myśli, ale coś nie pozwala mi na to. Zamykam oczy i z całych sił staram się sobie przypomnieć coś, co ukazywało mi się w snach. Laboratorium, te głosy i dziwne miejsca. Nie potrafię złamać tej bariery.

— Nie chciałeś nigdy gdzieś jechać i się oderwać? — pytam.

— Tak, dlatego zbudowałem jacht.

— To nie to. Chodzi mi... Jak mam to powiedzieć, samo sformułowanie słów jest zbyt trudne. Jakby coś mi zakazywało.

— Jesteś stuknięta, wiesz?

— Nie pomagasz. Chodzi mi o podróż. Tak, o podróż.

— Podróż?

— Podróże, gdzieś daleko. — Stukam palcami w głowę.

— Takie jak na jachcie?

— Nie, dalej. Nie chciałeś nigdy podróżować? Za granicę?

— Nie, dlaczego? I po co bym miał chcieć? — patrzy zdziwiony.

— Nie wiem. To siedzi we mnie, takie dziwne uczucie. Jakbym coś utraciła, jakbym miała być gdzie indziej.

— Wiesz, że to się leczy? Co to ma wspólnego z tym, co widzimy na mapie?

— Myślę, że jest to związane z naszymi hologramami. —
Już chcę wytłumaczyć, ale przerywa nam AI.

— *Błąd zgodności danych, potwierdź tożsamość.*

W ostatnim momencie od zablokowania modułu Edward otwiera plik Z. Reszta automatycznie się blokuje. Wpatrujemy się uważnie kilka minut.

— Ziemia i coś, czego nie rozpoznaję.

— Ziemia? — pytam zdziwiona. — Dwa globy, ale ten drugi jest...

— Większy. Patrz na kontynenty, są...

— Inne — kończę. — To nie jest Ziemia. Co oznaczają te czerwone punkty? Potrafisz je przybliżyć?

Stara się rozszerzyć, ale sztuczna inteligencja mu nie pozwala:

— *Błąd zgodności danych, potwierdź tożsamość.*

— Nie umiem, musisz zeskanować siatkówkę.

Przykładam oczy do skanera, wysuwa się mały panel i wtedy czuję, że coś jest nie tak. Promień jest inny. Zasłaniam szybko dłońmi oczy. Strumień lasera parzy mi palce, ale dosięga prawej soczewki. Ból jest ogromny, jeszcze trochę i moje oko spłonie. Upadam na podłogę i, trzymając się za twarz, wyję z bólu.

— Aaa... Cholera, to piecze, zrób coś! — krzyczę.

— Zaraz, wytrzymaj! Na dole jest lód, tylko nie drap!
Po prostu nie dotykaj!

Wybiega jak szalony, a ja dalej jęczę, głowa pulsuje jak diabli, oczodół płonie.

— *Błąd zgodności danych. Symulacja nie powiodła się. System jest zagrożony* — głos robota rozchodzi się. Dźwięk staje się zniekształcony, jakby został zainfekowany — *C... entr... ala zo... stała powiadomiona, pro... szę zachować spo... k... ój.*

System pada.

DIABEŁ

*W uszach słyszę kołysankę. Melodyjna piosenka buja do snu moje myśli.
Jej słowa jednak nie mają dobrego przekazu.*

Kłujący ból rozchodzi się po mojej twarzy. Opieram czoło o kolana, jęczę. Staram się uspokoić oddech. Skóra palców szczypie, na szczęście nie leci z nich krew. Chwilową ciszę przerywa dźwięk lądującego helikoptera. Do uszu dobiega charakterystyczny zgrzyt rozsuwanych szklanych drzwi.

— Choćbyś uciekała na inny kontynent i tak wpadniesz w moje ręce. Możesz się starać, ale to ci nie pomoże, twoja egzystencja zależy tylko od mojej zachcianki! — głos męczyzny huczy w mojej głowie i brzęczy niczym wściekła osa.

— Odwal się!

— Byłaś tylko córką swojej matki. Tolerowałem cię, teraz już nie muszę! Nie jesteś mi już potrzebna. Samolubna, mała dziwka!

Daniel drze się w niebogłosy. Kątem zdrowego oka zauważam, jak wyciąga pistolet.

— Tylko na tyle cię stać? Kula w łeb i po bólu? — wrzeszczę, wyładowując złe emocje, jakie towarzyszą okrutnemu pieczeniu oka. Nie widzę go, nic nie widzę.

— Zabiłaś go, był moim najlepszym dziełem, a ty go zabiłaś!

— Karol?

— Tak, zmarł wieczorem — odpowiada sucho. — Nie było mnie przy nim w ostatnich godzinach jego życia, znowu przez ciebie! Nie zasługujesz na to, by żyć!

Unoszę głowę. Drugim okiem widzę zarysy jego osoby. Wyostrzają się. Bawi się nerwowo bronią. Nie wiem, czy jest na tyle niestabilny emocjonalnie, by mnie zabić, czy musi po prostu wylać swoje żale. Wolę nie igrać z diabłem.

Edward wpada do pokoju, nie zwracając uwagi na ojca, podbiega do mnie i przykłada mi lód do oka.

— Będzie dobrze, nie widzę wielkich szkód. Soczewka została zniszczona, ale oko jest w porządku. Będzie dobrze — zapewnia.

— Nic nie będzie w porządku, nie będzie dobrze! — stwierdza roztrzęsiony Daniel.

— Czego chcesz?! — wrzeszczy do ojca.

— Dwie osoby, które kochałem, nie żyją. Teraz tkwię sam na tej planecie, wiedząc, że jeden syn mnie nienawidzi, a drugi chce przejąć moje imperium, chociaż sam nie wie, w co się pakuje! Więc nie, nie będzie dobrze! — wrzeszczy, wymachując bronią, jakby miał zaraz zrobić sobie krzywdę.

— Nie interesuje mnie twój żal.

— Że też ze wszystkich kobiet na świecie wybrałeś właśnie ją! — patrzy na Edwarda.

— To nie twój interes! Od zawsze chciałeś nas rozdzielić, więcej na to nie pozwolę.

— Mam dwóch synów i każdy z nich odwrócił się ode mnie.

— Sam do tego doprowadziłeś! — ciskam.

Daniel zastyga, wpatruje się w broń, którą trzyma w dłoni.

— O co chodzi z tą inną planetą? Co się do cholery tutaj dzieje? Wytlumacz! — Edward wstaje, podchodzi do ojca

i potrząsa nim. Oczekuje odpowiedzi, ale ten milczy. Jakby wiedział, że za dużo chlapanął. Odpycha od siebie syna.

— Co mi tam, to i tak już nie ma sensu. — Jego oczy wypełnia pustka.

— Co nie ma sensu? — pytam.

— Zaczęło się dawno temu. Opowiadałem ci o sierocińcu, Elio. Twoja matka po latach przyszła do mnie z pewną propozycją rządową.

— Matka Elii? — pyta Edward.

— Tak.

— Jaką propozycją? — drażni Edward.

— Było nas za dużo. Technologicznie byliśmy bardzo rozwiniętą rasą, ale nie wiedzieliśmy, że sami doprowadzamy do zagłady naszej planety. Oczywiście były akcje działające na rzecz ekologii i inne bzdety, ale to za mało. Ludzie mieli za nic matkę naturę, więc ta się im odwdzięczała.

— A impuls? — wtrącam.

Chyba rozumiem, do czego zmierza, ale wolę usłyszeć to od niego.

— Tak, nie do końca był prawdą.

— Był przykrywką, ale do czego? — pyta Edward.

— Owszem, zastosowano go w ważnym celu, ale nie tutaj. — Uśmiecha się szyderczo Daniel.

— Nie? — robię wielkie oczy.

— Widzicie — urywa, chrząkając — my wcale nie znajdujemy się na Ziemi. — Obraca się w stronę szklanych drzwi i patrzy jakby z tęsknotą na horyzont rozpościerający się za nim.

— Nie rozumiem — wtrąca Edward.

— Teraz będzie najlepsza część. Nie urodziliście się na planecie, którą znacie jako Błękitną Planetę, Matkę Ziemię.

— A gdzie...? — pytam niepewnie, zastanawiając się, czy chcę poznać odpowiedź.

— Jawir jest planetą podobną do naszej Ziemi. Jest sporo większa, ale powierzchnia kontynentów jest mniejsza. — Daniel siada w fotelu, bierze głęboki wdech. Chowa broń pod grafitową marynarką, a prawą dłoń kładzie na biurku. Na jego serdecznym palcu dostrzegam cieniutką, złotą obrączkę.

— Ona nie działa, AI nie działa — rzucam. — To jakiś wirus.

— Tak, masz rację. Kochana Sandra, dzięki tobie dokończyła zadanie. To było jej ostatnie tchnienie.

— Jakie zadanie?

— Nie chciała, by na Jawirze rządy sprawowano jak na Ziemi. Sandra nie żyje. Może dokończyła zadanie, ale nie przeszkodzi mi w dalszych planach. — Uśmiecha się do siebie. — Zniszczyła AI i wiele innych cennych dla mnie programów.

Stuka dwukrotnie palcami o blat, po czym otwiera ruchem ręki hologram planety, taki sam, jaki znaleźliśmy na module.

— Te cztery ogniska na globie to stany zapalne. Tak nazwała je twoja matka — wskazuje na małe, czerwone punkty, znacznie od siebie oddalone.

— Nowe miasta? — pytam.

— Bystra jesteś.

— Kolonie? — mówi Edward.

— Tak, to nasza nowa cywilizacja. Małe miasteczka uzależnione od głównej siedziby, która kontroluje przepływ danych i wszystko, co nas dotyczy. Nieważne... — macha dłonią i spuszcza wzrok.

— Jaki to ma związek z DARWINEM? — drązę, póki jest w stanie się wypowiedzieć.

— Widzę, że jesteście bardziej poinformowani, niż zakładałem.

— Nie doceniałeś nas — warczy Edward.

— DARWIN... — zawiesza się na chwilę. — Synu, znalazłeś klucz...? — Zerka w jego stronę, jakby zapomniał o wszystkim, co się dotychczas stało.

Ja również o tym zapominam.

— Naprawiłeś sekwencję? — dopytuje ojciec.

Edward nie odpowiada. Chrząka, prostuje się, napinając mięśnie i zaciskając dłonie w pięści.

— Wiem, że tak. Jesteś zdolniejszy ode mnie. Żal mi tylko twojej wybranki, uszkodzony stymulator może narobić naprawdę sporo szkód. — Wyszczерza zęby. Stary Daniel wychodzi z kryjówki.

Edward nie wytrzymuje i już usiłuje biec w jego stronę, ale w ostatniej sekundzie łapie jego dłoń. Staje, nic nie mówiąc.

— Odpowiedz jej — nakazuje Edward ojcu.

— Ty chyba już wiesz, Elio. DARWIN był moim dzieckiem. Tak powstał Edward i Robert.

— Testowałeś swoje badania na żonie? — pytam.

— Na kimś musiałem.

Nie wierzę w to, co słyszę. Przecież ojciec temu zaprzeczył.

— Niestety — kontynuuje — błąd kosztował mnie zetknięcie się z dwoma rozbieżnymi charakterami. Z jednej strony dobrze się stało, ponieważ mądrała zdołał, jak się domyślasz, naprawić błąd mój i twojego ojca. Świętej pamięci — znowu szczyrzy kły.

— Łzesz! — wrzeszczę. — Ojciec mówił, że chodziło o bezpłodność Pauliny. Rozbieżność powstała dopiero teraz, gdy wykradliście Edwardowi dane.

— Czyżby? — uśmiecha się w tajemniczy sposób.

— Powiedz prawdę! — nakazuję.

— Po co? Zostawię cię w niepewności, kochana. Tutaj jestem górą, wygrywam i nic nie możesz z tym zrobić. — Unosi dumnie głowę.

— A ja wierzyłam, że pod tą skorupą zimnego sukinsyna tli się iskierka dobroci. Cieszę się, że tylko jeden syn wdał się w ciebie! — Tym razem Edward łapie mnie za ramię i przytrzymuje. Nie chcę go prowokować, ale nie potrafię słuchać jego tłumaczenia.

— Widocznie jesteś głupsza niż twoja matka.

— Dalej nie odpowiedziałeś na moje pytanie — naciskam.

— Nie muszę, ale wasza mina jest tego warta. Przez kilka lat pracowaliśmy nad skonstruowaniem miasta na tej planecie. Cztery, długie lata nieprzespanych nocy. Paulina tego nie rozumiała. Chciała dziecka. Staraliśmy się, ale na marne.

— Więc majstrowałeś w genach? — podjudza rozmowę Edward.

— Zacząłem równolegle pracować nad problemem bezpłodności u kobiet i chciałem dać jej to, o czym tak zawzięcie marzyła.

— Kosztem jednego z bliźniąt? — dopytuję.

— Tego ci nie powiem. Zostanie to moją tajemnicą.

— Ale bliźnięta? — kręci głową Edward.

— Była samotna — wzrusza ramionami. — Dlatego stwierdziłem, że ucieszy ją dwoje dzieci. I tak się stało. Z Ziemi

ukończyliśmy zdalnie budowę czterech miast na Jawirze, a ona zaszała w ciążę.

— Urodziła już tutaj? — pytam.

— Tak. Pamiętaj, że jest jeszcze Tina w całej tej opowieści.

— Tina — powtarzam za Danielem. — Przecież jest starsza o rok.

— Zgadza się.

Moje domysły wywołują uśmiech na twarzy Daniela.

— Nie rozumiem. Nie wiem, czy chcę. — Zerkam na Edwarda. On wie, ale czy Tina wie? To dlatego Darwin miał błędy? Miał być idealny, nie dopuścić do poronienia ani jednego płodu?

— A co tu rozumieć, testy nigdy nie wychodzą pozytywnie za pierwszym razem.

— Co wy najlepszego narobiliście? — pyta Edward.

— Tak czy siak, rządowi spodobały się moje badania. Stwierdzili, że nie będą przesiedlać ludności z Ziemi, bo po co? Przecież nie zasłużyli sobie na to. Wysłaliśmy tu najlepszych.

— Ale jak? — drązę niecierpliwie.

— To proste, pamiętasz cokolwiek z tego, jak trafiłaś do szpitala?

— Nie... — odpowiadam.

— No właśnie. Oni również, a zwłaszcza ci, co zapomnieć musieli. Niestety, jedna osoba nie potrafiła żyć w zakłamaniu.

— Amnezja. Ojcu nie podobała się ingerencja w świadomość człowieka — mówię.

— On nigdy tego nie rozumiał.

— Dlatego go zabiłeś? Dwa razy? — Narasta we mnie coraz większa złość, ale staram się trzymać emocje na wodzy.

— Sam się zabił. Wiedział, na co się pisze... — Śmieje się szyderczo Daniel.

— A hologramy? — przerywa mu Edward.

Chyba tak samo jak ja, nie chce słuchać jego wymówek.

— Przetransportowanie ludzi było łatwe. Wybraliśmy małą osadę z doliny krzemowej. Taką, w której całe pokolenia żyją w jednym miejscu.

— Zbiór wykształconych osób — szepczę.

— Zatruliśmy wodę, skierowano ich wszystkich na kwarantannę. Kiedy obudzili się po podróży, nie byli świadomi, że są na innej planecie. Byli naznaczeni do przedłużenia naszego gatunku. Ludzkości.

— Mieliście się za Boga? Jak to jest możliwe, że o takich sprawach decyduje garstka osób? — wtrąca Edward.

— Kogo to teraz obchodzi? Co mieliśmy zrobić, losowanie? Nastałby chaos — tłumaczy Daniel.

— To niesprawiedliwe wobec innych. Może ludzie nie chcieliby opuszczać domów — mówię.

— Nie łudź się.

— Po co mieliby to robić? To miejsce jest idealną kopią Ziemi, więc niczym nowym by dla nich nie było. — Wzrusza ramionami Edward.

— Dla niektórych może tak. Nowym rozdziałem w życiu — stwierdzam stanowczo.

— A ludzie żyjący tutaj? — pyta Edward.

— Wmówiliśmy im, że to miasto to ich jedyne życie. Dlatego nie mieli ochoty wyjeżdżać. Wszystko było idealne.

— Chyba nie, skoro hologramy mają błąd — stwierdzam.

— Błąd? — pyta Edward.

Daniel również patrzy z zaciekawieniem.

— Pamiętasz burzę? — podnoszę wzrok na Edwarda. — Ten ptak, chyba papuga.

— Znikała... — szepcze Edward.

— Tak. — Unoszę delikatnie prawy kącik ust.

Daniel nie wygląda na zadowolonego, chyba nie miał pojęcia o tej usterce.

— Myślę, że matka znalazła błąd, AI scalała sekwencję symulacji. Nie znam się na tym, ale wiem, że ona była perfekcjonistką. Jeżeli w systemie istnieje błąd, to ludzie i tak się dowiedzą.

— Już raz się dowiedzieli, nastąpił chaos. Musieliśmy coś wymyślić — wyjaśnia Daniel.

— Impuls... Kłamliwe bajki wbijane do głów. Jak mogliście? — Staram się uspokoić, wzrost ciśnienia powoduje ból oka.

— Ludzie w to nie wierzyli. Chcieli zobaczyć na własne oczy, co jest poza wyznaczonymi granicami. Każdy z nich miał wszczepiony chip odpowiedzialny za sterowanie pamięcią.

— Pięknie, niewolnicy nowej Ziemi — mówię.

— Prawie. Usunęliśmy ten obszar, w którym dowiadywali się prawdy, zastępując go czymś... nielogicznym.

— Wojna technologiczna, Egida, uwolnieni przez impuls elektromagnetyczny, zaczęliśmy żyć od nowa — mówi Edward.

— Sfabrykowaliście kolejną wojnę światową? A te śmieci, które przetrzepywałam codziennie?

— Jak już wspomniałem, Ziemianie byli idiotami. Nie dbali o to, co mają. Dlatego w desperacji dorzucili nam ładunek. Sandra stwierdziła, że mogą się kiedyś przydać, więc nie protestowałem. Reszta to wszystko, co zostało po wypadku w pierwszym laboratorium.

— Oznakowania na pudłach, teraz rozumiem! Symbole oznaczały miejsca, skąd przybyły. A te przedmioty, jakie miałam odnaleźć? — śmieję się histerycznie. — To takie oczywiste... Wszystko to były śmieci z poprzedniej placówki. Kapsułka z symbolem omegi to chip. Egida chciała was zgładzić. A ty chciałeś mieć dostęp do wszystkiego, co robiła moja matka.

Milczy, ale wszystko zaczyna sklejać się w całość.

— To ma być wolność? Nowe życie? — pytam, kręcąc głową.

— Wolność to tylko puste słowo, niemające żadnego odzwierciedlenia w naszym świecie. Pragnienie nieosiągalnego. — Wyjaśnia Daniel, mówiąc tonem jakby miał przed sobą aulę pełną studentów.

— Jest tym, co nas określa. Odebraliście ją nam — mówię.

— Wolność niesie za sobą konsekwencje, czy tego chcemy, czy nie. Bo czym jest wolność, jak nie złudzeniem? Rodząc się, zaczynamy umierać. Potrafisz zdefiniować słowo wolność?

— To coś, co nam odebrałeś. Wybór spośród wielu opcji — warczę, a krew gotuje się w moich żyłach.

Edward milczy, wsłuchując się w tłumaczenie ojca. Ja nie potrafię tak stać.

— Jakich opcji? Zniewoleni przez nasze ciała nie możemy zaznać wolności już na pierwszym etapie naszej egzystencji. — W jego oczach dostrzegam obłąd i zaślepienie.

— To się nazywa życie, wolność jest jedną z jego składni — mówi beznamiętnie Edward.

— Tak, życie — kontynuuje Daniel. — Dalej dochodzą inne okoliczności czyniące z nas niewolników w świecie pełnym pól i żniwiarzy — rozkłada ręce na boki. — Są władcy i marionetki. Ciągnie się to od wieków.

— Nie możesz ot tak włamać się do czyjegoś umysłu i zmieniać w nim, co ci się żywnie podoba! — wrzeszcze rozwścieczona.

— Owszem mogę, ponieważ potrafię to zrobić.

— To nieludzkie. Tak po prostu się nie godzi. Robisz z innych zniewolone zwierzęta. Zamykasz je w klatce i tresujesz jak psa. Pamiętaj, że te psy są mądre, gdy tylko nadarzy się chwila twojej nieuwagi, odgryzą ci rękę.

Wpatruje we mnie z dumą swoje fałszywe ślepie. Doskonale wie, że osiągnął wszystko, czego chciał. Ja również jestem tego świadoma. Nie chcę tylko myśleć, czego może jeszcze dokonać.

— Mogę się domyślić, że rząd od dawna nie ma z wami kontaktu? — pyta Edward, patrząc na swojego ojca.

Jawir. Dziwnie się czuję na samą myśl, że całe moje życie było w połowie kłamstwem. Uczono nas jak wszystkie dzieci o Ziemi. I po co? Przecież to bez sensu. Pogoda jest tutaj inna, ziemia jest odmiennego koloru, pewnie i zapach się różni.

— Oczywiście, że nie — odpowiadam za niego, parskając śmiechem. — A czy ta Ziemia w ogóle jeszcze istnieje? Może wciska nam kit, a my wierzymy mu jak małe dzieci. — Nerwowy śmiech powoduje lekką hiperwentylację, staram się złapać miarowy oddech.

— Ojczy, widziałem, że wró... ciłeś. — Robert wpada do pokoju z nonszalanckim uśmieszkiem na twarzy. — Ho, ho, kogo my tu mamy? Widzę, że rodzinka w komplecie, plus bonus, mała dziwka.

— Morderca, zakłamany... — Nie jestem w stanie dokończyć, Edward odciąga mnie na bok. Rzucam w stronę Roberta worek roztopionego lodu. Nie widzę na jedno oko, nie zwracam również

uwagi na towarzyszący ból. — Chodź, to ci zaraz pokażę, co ta „dziwka” może zrobić!

Edward nie wypuszcza mnie, a ja tak bardzo pragnę dać mu w pysk!

— Już ja dobrze wiem, na co cię stać, kochana. — Puszcza oczko w moją stronę. Jego obrzydliwy wyraz twarzy przyprawia mnie o mdłości. — Widzę, że poznałaś Lunę. Chyba cię troszkę, jakby to powiedzieć... Przypiekła? — Z twarzy nie schodzi mu uśmiech.

— Odwal się — warczy Edward.

— No patrzcie, rycerz w zbroi bez swojego konia, czyżby siodło nie pasowało?

— Doigrasz się! — ostrzega brat.

— Zakończcie wreszcie ten cyrk! — przerywa Daniel.

— Ach... No tak... Czasem zapominam, że odzywa się w tobie kochany ojczulek. Opamiętaj się, dziadku! Pamiętasz umowę?

— Jaką umowę? — pyta zdziwiony Edward.

— Jeśli przyniosę naprawiony stymulator, to... Będę jego prawą ręką — przypomina Robert.

— On nie wie? — śmieje się Edward. — Serio? Karmisz go takimi kłamstwami jak mnie? Co z ciebie za człowiek? Co z ciebie za ojciec?

— Nie chciałem dzieci! — broni się.

— Ale Karola chciałeś? — rzuca mu w twarz. — Oczywiście, że tak, przecież nie kochał swojej żony, jego miłość to szesnastoletnia dziewczyna zabrana przez agencję.

— Mówicie o tych pierdołach, o Ziemi? — pyta Robert. — Wiem o wszystkim i mam w dupie to, gdzie jesteśmy! Liczy się tu i teraz. Łap! — woła do ojca i rzuca w jego stronę małą kulę, ale jego brat jest szybszy.

— Zapomnij...! Braciszku.

Nawet nie wiem, kiedy się to zaczyna. Jakbym patrzyła na człowieka walczącego z lustrem. Na pierwszy rzut oka odróżniają ich tylko buty, ale po zachowaniu jestem w stanie rozróżnić ich z daleka. Jeden łapie drugiego za pas i popycha w stronę szklanych drzwi. Obawiam się, że scena rozbicia powtórzy się, ale szklane panele rozsuwają się automatycznie. Obaj wpadają na betonową posadzkę balkonu, tłukąc się nawzajem po twarzach. Okładają się pięściami. Nienawiść aż kipi w ich oczach. Edward miał rację, są totalnym przeciwieństwem. Nie wiem, który z nich wpada głową na metalowe płozy helikoptera. Wszystko tak szybko się dzieje. Podchodzę do rozsuniętych drzwi, zataczają się w stronę barierki.

— Przestańcie! — krzyczę.

Daniel blokuje pilotem wyjście. Robert chwytą brata za gardło i stara się wypchnąć go przez metalową poręcz. Połowa jego ciała znajduje się już po drugiej stronie. Nie mogę na to patrzeć.

— Edward... Proszę! Przestań... — krzyczę histerycznie w ich stronę, ale nadaremnie, przecież i tak mnie nie słyszą.

Edward kopie brata w goleń i ciągnie za koszulkę, ten wypada wraz z nim. Rękoma siłuję się, rozsuwając szklane drzwi. Wciskam stopę pomiędzy panele, zapieram ramieniem i odpycham od siebie skrzydło. Wypadam na drugą stronę. Podbiegam do krawędzi. Upadli na ratanowy stół, rozwalając go. Widzę, że brak im sił, ale emocje wygrywiają, żaden z nich nie chce odpuścić.

— Zrób coś, Danielu! — wrzeszczę w jego stronę.

Milczy, jakby czekał na to, aż się pozabijają.

— Zrób coś, do cholery, albo będziesz tego żałował do końca życia!

Patrzy mi w oczy, jego spojrzenie jest mroczne.

— Co z ciebie za ojciec?! Jesteś bestią, niczego niewartą istotą...

Krzyk zamienia się w płacz. Czy to naprawdę musi się tak skończyć? Tracę ich z pola widzenia. Przechodzę na drugą stronę lądowiska. Nadal ich nie widzę. Co jakiś czas z oddali dobiega dźwięk tłuczonych ogrodowych wazonów i wyzwiska. Nie wiem, jak długo to trwa.

Nagle czuję ogromny ból. Ciężka, metalowa rękojeść jego pistoletu ląduje na mojej potylicy. Nie tracę przytomności od razu. Osuwam się na zimne, betonowe podłoże. Miejsce uderzenia pulsuje, dotykam je opuszkami, pod palcami wyczuwam coś wilgotnego. Guz rozrasta się błyskawicznie. Powoli tracę świadomość, widzę skórzane, brązowe buty Daniela, jakby czekał, aż zamknę powieki.

SZOK

Czekając na nadchodzący koniec, myślimy o przeszłości. Staramy się przywołać wspomnienia dzieciństwa. Niewinne i tak bardzo naiwne wspomnienia, do których chciałoby się powrócić i zacząć wszystko od nowa.

Czy jeżeli istniałaby siła pozwalająca nam zmienić to, co nie wyszło, zrobilibyśmy to? Chciałabym, ale obawiam się, że w głębi duszy jestem tchórzem.

Wierzę w plan. Wierzę, że ktoś lub coś ułożyło ten plan. Ingerując w niego, zburzymy teraźniejszość.

Tak bardzo starałam się nie zmarnować swojego życia. Obawiam się, że daremne były moje trudy.

Czy można przegapić swoje życie? Chyba tak.

Otwieram oczy. Nie wiem, czy to były sekundy, minuty, czy też godziny trwania w letargu. Podnoszę się z betonowej podłogi i chwiejnym krokiem schodzę na parter. W domu nikogo nie odnajduję. Frontowe drzwi są otwarte na oścież. Pospiesznie podążam wzdłuż ścieżki prowadzącej do samochodu, którym przyjechaliśmy. Kabina jest pusta. W samochodzie Roberta także żadnych śladów.

Słyszę krzyki. Biegnę co sił w kierunku głosów, ale brakuje mi już tchu. Upadam na ostre kamienie. Kaleczę nagie nogi. Kamienie rozcinają skórę jak skalpel, dłonie krwawią. Wszystko zaczyna wirować, wtedy słyszę pierwszy, głośny strzał.

Widzę, jak Daniel stoi przed nimi z pistoletem skierowanym w górę.

— Nie rób tego, będziesz żałował! Błagam cię! — krzyczy jeden z braci.

Nagle rozbrzmiewa drugi wystrzał. Tym razem kula przeszywa bok głowy jednego z bliźniaków.

— Edward! — krzyczę w ich stronę.

— Robert! — woła brat.

Lufa pistoletu nadal skierowana jest na wprost, lecz naprzeciw niej znajduje się już tylko pustka. Odrzut kuli zepchnął Roberta z urwiska.

Zamykam oczy i nabieram powietrza. Kamienie wbijają mi się w uda i dłonie, nie mam już siły stawiać oporu, muszę się położyć. Świat przed oczyma wiruje niczym rozpedzona karuzela. Płacz miesza się z uczuciem ulgi. Nie chciałam, żeby tak się potoczyły nasze losy.

— Ojcze, coś ty zrobił?! — krzyczy ze wściekłością Edward w stronę Daniela.

Kamienie osuwają się Danielowi spod nóg. Stoi nieruchomo. Widać, że on sam jest w szoku po tym, co zrobił. Wszystko dzieje się tak szybko... Edward podbiega ostatkiem sił do urwiska, ale nie ma już czego szukać. Strużka krwi spływa Danielowi po policzku. Odsuwa się nieporadnie od krawędzi i upada na kolana. Szok powoli zamienia się w płacz. Przykłada pistolet do skroni, jeszcze ciepła od wystrzału lufa lekko go parzy. Naciska spust, ale słychać tylko zgrzyt pustej komory. Nic więcej. Patrzy Edwardowi w oczy, można w nich wyczytać żal i złość.

Zbieram się i dowlekam swoje ciało, by być blisko niego.

— Co będzie z Danielem? — pytam.

Edward odwraca się do mnie i przechodząc obok ojca, przystaje na chwilę, aby ostatni raz na niego spojrzeć. Już nie jest dla niego tym, kim powinien być. W jego oczach staje się obcym człowiekiem. Teraz zrozumiałam, dlaczego odszedł od rodziny, chociaż do końca nie wiem, czy to przypadkiem rodzina nie odwróciła się od niego.

— Będzie musiał z tym żyć, ale jeżeli będzie próbował w jakiś sposób nam zaszkodzić, to obiecuję, że nie doczeka kolejnego dnia.

— A z nami?

— Pozbieramy się, a po jakimś czasie zapomnimy.

PRZEZNACZENIE

Jak płatki śniegu, wszystko wygląda identycznie, ale jeśli przyjrzeć się dokładniej — są różne. Tak jak ten świat, nowy świat, w którym teraz żyjemy i stary, który musieliśmy opuścić. Jak Robert i Edward.

Nic nie może być identyczne, nawet kopia jest tylko kopią. Oryginał jest jeden. Nasz nowy dom powinien być przykładem dla innych, dowodem na to, że wszystko, co dobre, ma również ciemne strony.

Czy możemy się nazwać okupantami nowej Ziemi? Czy mamy prawo do tego, by tutaj być? Nie znamy odpowiedzi na wszystkie pytania i raczej ich nie poznamy. Możemy jedynie tkwić w przekonaniu o dobrych zamiarach ludzi. Tylko nie pozwólmy, by nasze własne cele zawładnęły naszymi duszami.

Chociaż nie znałam poprzedniej Ziemi, nie wiem, czy mając taką możliwość, chciałabym tam zamieszkać. Moje miejsce jest tutaj, z nimi. Pytanie tylko, czy da się przetrwać po tylu kłamstwach, którymi nas karmili? Ale jakie mamy inne wyjście?

Jeszcze do niedawna ludzie obawiali się inwazji kosmitów, a teraz? Nasze obawy stały się naszą rzeczywistością. To my jesteśmy tą obcą rasą na innych planetach. Kolonizujemy. Zasiedlamy bezczelnie to, co się nam spodoba. Mieszkamy w ludzkiej naturze. Wiem, że ludzie mają prawo poznać prawdę o tym, co się stało. Tylko... Jaki miałyby to skutek? Wątpię, aby wszyscy przyjęli to spokojnie.

Czy po ogromnym szoku, jaki im przysporzymy, zaakceptują prawdę? Prawdopodobnie nastąpi chaos. W końcu człowiek człowiekowi wilkiem. Jesteśmy drapieżnikami, żądnymi władzy i krwi, ale nie nam to oceniać. Nie możemy mieć władzy nad wszystkimi, nasze przetrwanie zależy tylko od ogółu. Jesteśmy stadem. Może samolubnym i ignoranckim, ale posiadamy również dobre cechy — dobroć, miłość i piękno.

Żeby być szczęśliwym, trzeba płakać, takie jest prawo natury. Równowaga we wszechświecie teraz staje się dla nas ważniejsza i bliższa sercu. Teraz wszechświat może być naszym domem, gwiazdy będą naszym szlakiem, w końcu nadal jesteśmy ludźmi. Nie możemy o tym zapominać.

Niespełna miesiąc po wydarzeniach na klifie, życie przysparza nam kolejnych zagadek. Edward opracował lek na działanie stymulatora. Niestety, dla mnie jest już za późno. Nie zastanawiamy się, co będzie dalej. Moja bliźniacza ciąża może się okazać cudem albo kolejną katastrofą. Przeplakałam noce ze strachu, czy nie odwróci się ode mnie i mnie nie zostawi. Robert nie żyje, a ja nie mam pojęcia, czy przypadkiem nie urodzę jego potomstwa. Za bardzo boję się testów. Może to by mi pomogło, ale co, jeżeli okaże się, że to jednak dzieci Roberta? Zostawiamy tę sprawę do rozwiązania. Wtedy przyjdzie moment na kolejne decyzje.

Teraz stoimy przed ważniejszym dylematem. Od naszej decyzji zależą losy naszej rasy. Nie wiem, czy czynimy dobrze, czy źle. Nasze postępowanie zweryfikują kolejne lata naszego istnienia. Wybór należy do nas. Brzemie ewentualnej porażki będzie na nas ciężać. W najgorszym ze scenariuszy zatoczymy koło i stanimy w punkcie wyjścia.

Ludzie zasługują, by poznać prawdę. Zasługują na kolejną szansę.

— A ty chciałbyś wiedzieć? — patrzę na Edwarda. Od wyjawienia prawdy dzieli mnie jeden odcisk linii papilarnych na skanerze.

— Zrób to.

Jego stanowczy ton jest przekonujący, ale nie mogę zrobić tego sama. Nie potrafiłabym unieść sama takiej odpowiedzialności. Jego wsparcie jest dla mnie wyznaniem jego uczuć.

— Nie. — Chwytam jego rękę i patrzę uważnie na niego.

— Elio... — Patrzy w moje oczy. — Kocham cię. Bez względu na to, co się stanie, zawsze będę przy tobie, jeśli tylko tego zechcesz.

— Wiedziałam od początku i ty również wiesz, że nasza miłość zaczęła się tam, gdzie skończyło się nasze dzieciństwo. Dlatego zrobimy to razem.

Tajemnica, każdy z nas ma coś do ukrycia. Czasami są to błahe, nieistotne bzdety, niemające większego znaczenia. Gdy jednak odkryjemy mroczny sekret czyjejs osoby, zadajemy sobie pytanie, co powinniśmy zrobić. Uczono nas odróżniać dobro od zła, ale nie powiedziano, jak żyć ze świadomością przyzwolenia na zło. Nie mając możliwości wpływu na to, co będzie skutkiem zła, zaczynamy bać się własnego cienia.

Świat jest jedną wielką tajemnicą, nieodgadnioną kartą. Nauka zaś pozwala ją poznać. Badania to nie wszystko, czasami trzeba poddać się chwili, przeznaczeniu, wtedy odnajdziemy odpowiedź na wszystko.

Światła gwiazd zdają się teraz zupełnie inne niż wtedy, gdy pierwszy raz tak naprawdę się w nie wpatrywałam. Uświadomiłam sobie jedno — pomimo że nie przygotowano nas na dorosłość, a co dopiero na coś takiego, odczuwam radość. Jestem nie tyle szczęśliwa, ile dumna z tego, kim jestem: po prostu, człowiekiem.

Straciłam wiele w ciągu życia, ale zyskałam jeszcze więcej i zyskam znowu. Już niebawem.

Kieruję wzrok na gwiazdy, wiedząc, że najgorszą rzeczą na świecie jest zapomnienie. Człowieczeństwo jest darem. Trzeba dbać o ten dar. Największą siłę ma się nie jako jednostka, ale grupa. Stado, które może nie zawsze się ze sobą zgadza. Tylko razem możemy przezwyciężyć całe zło, w przeciwnym wypadku pochłonie nas nicość.

— Jawir, nasza nowa Ziemia.

Spis treści

CZĘŚĆ I	7
Kolejny szary dzień	8
Polecenie służbowe	15
Bar	22
Zastępstwo	28
Ucieczka	34
Chatka	37
On	48
Przystanek	51
Kryjówka	58
Rozejm	64
Lustrzany gmach	73
ON	77
Wspomnienia	79
Intruzi	87
CZĘŚĆ II	92
Uwięziona	93
W pułapce	99
Obłąd	107
Prawda	115
Laboratorium	124
CZĘŚĆ III	138
Edward	139
CZĘŚĆ IV	158
Obcy	159
Przed burzą	164
Powrót do piekła	173

Konfrontacja	187
Ocalenie	202
Nadzieja	216
W matni	229
Obdarta z godności	233
Drań	245
Daria	258
Gorsza prawda	275
Diabeł	291
Szok	305
Przeznaczenie	308